Nastroje przed Marszem 11.11 • KO się podnosi? • W Żabce od zaplecza
Udry o Odrę • Ruch kryptoolimpijski • Bal u Trumpa • Dzieje spelunek

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

© ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM, SHUTTERSTOCK

TYGODNIK, nr 45 (3539), 5.11–11.11.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



Wstydliwa emerytura prezydentury

Jak Dudowie uczą się codzienności

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500

4 5

Wydanie w sprzedaży do 11.11.2025

eprasa.pl/bb931bc7ab

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!

Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa







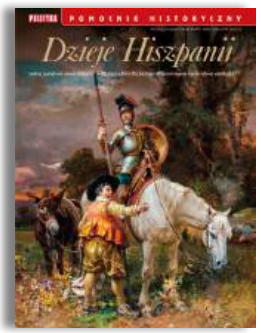

Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze



Już od 10,75 zł / wydanie

Kupuj nasze książki w cenie promocyjnej

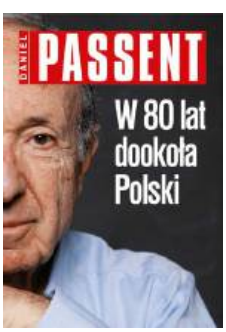



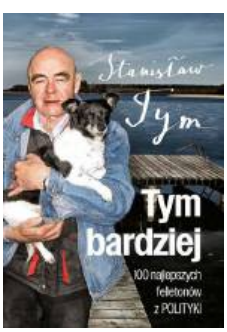

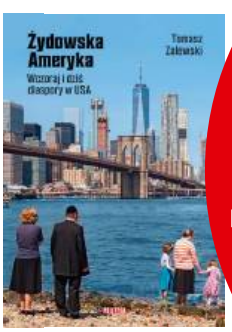

Wszystkie książki z 40% rabatem

* Od ceny detalicznej

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl bb931bc7ab



© SHUTTERSTOCK

22
Bitwa o Odrę

Polityka

12 Anna Dąbrowska **Co robią prezydenci na emeryturze**
16 Rafał Kalukin **11 listopada: na prawo marsz**
19 Mariusz Janicki **KO–PiS: mecz wznowiony**

Temat tygodnia

22 Jędrzej Winiecki **Spór o projektowany Park Narodowy Doliny Dolnej Odry**

Społeczeństwo

26 Zbigniew Borek **Żabka od zaplecza**
30 Agnieszka Sowa ODCHODZIĆ PO LUDZKU **Horror w domach seniora**
34 O głośnej kradzieży obrazu Moneta z Muzeum Narodowego w Poznaniu opowiada **Maciej Odoliński**
37 Marcin Kołodziejczyk **Jak mieszkaniec Podlasia odgrodził się od ciemnoskórych płotem granicznym**

Rynek

40 Joanna Solska **KOWR: czas na gruntowe porządki!**
43 Marcin Piątek **Polski komitet kryptoolimpijski**

Świat

46 Paulina Wilk MADAGASKAR, PERU, NEPAL, SERBIA... **Bunt pokolenia Z pod piracką banderą**
50 Agnieszka Lichnerowicz, Stas Kozliuk **Ukrainki w rosyjskich koloniach karnych**
54 Tomasz Zalewski USA **Nowy Jork na nowo?**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Fragment książki **Agnieszki Krzemińskiej** „Homo nie tylko sapiens. Inna opowieść o naszych przodkach"
60 Michał Witt **Jak chronić nasze dane genetyczne**
64 Rozmowa z dr. inż. **Markiem Wodzińskim**, laureatem tegorocznej Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki techniczne

Historia

66 Łukasz Wójcik **Cieśniny Duńskie – barometr europejskich niepokojów**
69 Dariusz Łukasiewicz **Burzliwe dzieje pijackich spelunek**

Kultura

76 Aneta Kyzioł **„Heweliusz" – poruszający serial katastroficzno-sądowy**
80 **Grzegorz Piątek** o architekturze cienia i jego nowej książce „Świątynia i śmietnik"
84 Mariusz Zawadzki **Demolka Donalda, czyli o budowie nowej sali balowej w Białym Domu**
86 **Kayah** o trudnych chwilach przed wydaniem przełomowej płyty „Kamień", obchodzącej 30 lat
89 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Mleko z ziemniaka** • **Aktorka awatarka** • **Odszopenienie** • **Aragonia: kraina dwóch kultur** • **Jesienny kulebiak**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz • **90** Lis • **91** Sulej • **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI • **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl bb931bc7ab



Cofka

Jerzy Baczyński

Jarosław Kaczyński chyba nie jest sentymentalny, ale być może jeszcze zatęskni za Andrzejem Dudą, którego przez lata tak jawnie lekceważył, a na koniec jeszcze dodatkowo upokorzył, nie pozwalając swoim ludziom, aby dali mu jakąś pracę czy choćby kawałek miejsca na zapleczu polityki. Były prezydent nie został nawet zaproszony na „wielką konwencję programową" PiS w Katowicach. Po prostu – nie ma człowieka. Trudno współczuć Andrzejowi Dudzie i byłej Pierwszej Damie, bo ich dwie kadencje mocno zdegradowały, a nawet ośmieszyły najwyższy urząd w państwie. Ale prestiżu prezydentury szkoda. Według konstytucji i ojców założycieli III RP to miał być urząd ponadpolityczny, pozapartyjny, symbolicznie jednoczący wszystkich Polaków. Chyba najbliżej tej formuły był Aleksander Kwaśniewski; bardzo starał się Bronisław Komorowski, że przypomnę organizowane przez niego 11 listopada marsze „Dla Niepodległej", trasą łączącą pomniki dawnych politycznych rywali – Dmowskiego, Witosa, Paderewskiego, Piłsudskiego. Dziś niewyobrażalne.

> Partia Kaczyńskiego po raz pierwszy jest okładana równo z obu stron: od prawa i od centrum.

Odkąd prezydentów zaczął wskazywać Jarosław Kaczyński, konstytucyjne złudzenie prysło, urząd stał się narzędziem partyjnej polityki i polaryzacji. I niby teraz jest tak samo, bo nowego prezydenta też wskazał prezes PiS, a Karol Nawrocki z zaangażowaniem realizuje linię walki z „reżimem Tuska", to jednak sytuacja jest zasadniczo odmienna. Dudę wybierał „ogół ludu pisowskiego", Nawrocki został prezydentem tylko dzięki „antytuskowemu" sojuszowi wyborców PiS i Konfederacji. PiS to było za mało. Paradoksalnie daje to Nawrockiemu przewagę nad Kaczyńskim.

Jest tu też kolejna zła wiadomość dla prezesa: wybory parlamentarne nie mają drugiej tury, a udana kampania Konfederatów spowodowała, że prawicowy elektorat rozpadł się, głównie według linii pokoleniowych. Co oznacza także podział ideowy: młodzi prawicowcy są – w kontraście do PiS – na ogół antysocjalni, areligijni, libertyńscy obyczajowo i przede wszystkim „antysystemowi". Po wyborach ten podział na starą i nową prawicę tylko się utwardza. A PiS właśnie przypomniał o sobie jako o partii „dziaderskiej" (festiwal partyjnej nomenklatury w Katowicach), ale przede wszystkim jako skrajnie, patologicznie systemowej.

Tematy ostatniego tygodnia: afera ze sprzedażą w prywatne ręce działki przeznaczonej pod CPK (artykuł na s. 40); postawienie Zbigniewowi Ziobrze przez prokuraturę 26 zarzutów (s. 6), głównie o sprzeniewierzenie środków z Funduszu Sprawiedliwości; zarzuty wobec finansowanego przez ziobrystów hejtera, dziś posła PiS, Dariusza Mateckiego, a nawet bulwersujący kibiców polskiego sportu sojusz prezesa PKOl z giełdą kryptowalut („Kryptol" s. 43) – przypomniały, na czym polegał budowany przez PiS quasi-feudalny ustrój, w którym Suweren, ze swojego grodu na Nowogrodzkiej, rozdzielał baronom majątkowe lenna. Ziobro i jego Solidarna i Suwerenna Polska dostali władztwo m.in. nad Funduszem Sprawiedliwości i Lasami Państwowymi; Adam Bielan i jego rozłamowi Republikanie dostęp do milionów w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju; Sasin – spółki Skarbu Państwa, z tym że faworyt prezesa Daniel Obajtek otrzymał osobne księstwo Orlenu; Morawiecki – Rządową Agencję Rezerw Strategicznych itd.

Ten układ senioralny rozgałęział się potem w dół: każdy ze szczytu hierarchii poprzez system fundacji, dotacji, zleceń, prowizji, ustawianych konkursów budował własną sieć klientów. Matecki, Bąkiewicz, Sakiewicz, Rydzyk, Szopa – dziesiątki i setki nazwisk beneficjentów, którzy za rządów PiS dorobili się fortun.

Prokuratura powoli rozsupłuje te powiązania i chociaż zapewne nie doczekamy się ani kar, ani zwrotu pieniędzy, to same akty oskarżenia i procesy sądowe będą miały – już mają – polityczne konsekwencje. Przede wszystkim pozwalają wyjść z powyborczej traumy wyborcom Trzaskowskiego, przywracają im moralne i polityczne racje (tekst Mariusza Janickiego na s. 19). Także Konfederacja, co oczywiste, wykorzystuje kłopoty PiS, aby budować się na prawicy jako nieskalana władzą alternatywa dla „tamtych przekręciarzy". Partia Kaczyńskiego po raz pierwszy jest okładana równo z obu stron: od prawa i od centrum.

Ale jest jeszcze coś: przez lata miejsce koncesjonowanej przez Kaczyńskiego skrajnej prawicy zajmowała partia Ziobry – radykalnie antyunijna, antyimigrancka, antyukraińska, i wszystkie inne „anty". Jednak prezes zlikwidował Suwerenną Polskę, Ziobro zaś i niemal wszyscy jego ludzie są i będą pod oskarżeniami – i tak oto zniknęła alternatywa dla Konfy. Coraz silniejsze werbalne i emocjonalne spięcia między PiS i Konfederacją to także dyskomfort dla Nawrockiego, który na razie próbuje zamilczeć kłopoty i wpadki PiS, ale w wojnach na prawicy coraz trudniej będzie mu zachować neutralność. A każde opowiedzenie się to strata punktów u jednych lub u drugich. Co się tak brzydko rozpada, ciężko będzie posklejać.

Jest w polityce mało naukowa teoria „fal" – to trudno mierzalne zmiany społecznych nastrojów, zbiorowej psychologii, trendów, które jednych polityków i ich formacje unoszą, innych podtapiają. Pewnie za wcześnie mówić, że prawicowa fala się odwraca, ale jak widać, sam PiS zalicza właśnie spektakularną cofkę.

eprasa.pl bb931bc7ab

Albatros travel

Rejs po rzece Douro
szlakiem winnic z Porto

Pełne wyżywienie na statku

Wyjątkowy rejs z Porto, miejsca narodzin wina porto, do objętego patronatem UNESCO regionu winiarskiego Doliny Douro z barokowymi miastami, winnicami i malowniczymi krajobrazami.

Wybierz się w wyjątkowy rejs rzeką Douro na pokładzie statku **MS Douro Queen** i odkryj najpiękniejszy region winiarski Portugalii, wpisany na listę UNESCO. Popłyniemy trasą, którą od wieków transportowano słynne wino porto. Po drodze zachwycą Cię tarasowe winnice i meandrująca rzeka, a w pakiecie wycieczkowym zwiedzisz: m.in. **Lamego, Porto** oraz barokowy **pałac Mateus**.

8 dni
Wyloty z Warszawy
30/04, 17/09 2026
10.798,-





USA – Wschodnie Wybrzeże

Filadelfia, Waszyngton, Nowy Jork, Boston, Nowa Anglia czyli podróż do kolebki USA z bogatą historią i wielkimi miastami oraz wodospad Niagara – potęga natury.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Nowy Jork – Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia – Baltimore – Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **Dz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport – Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Framingham – Boston – Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy 15/05, 04/09 2026 | 14.498,-



Degustacja serów, ostryg i calvadosa

Normandia i Bretania z Mont St. Michel

Poznaj północne wybrzeże Francji z jej słynnymi plażami oraz uroczymi zakątkami pachnącymi calvadosem, serem camembert i ostrygami.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Paryża. W drodze do Caen zwiedzanie ogrodów Moneta w Giverny w Normandii. Kolacja w normandzkiej restauracji. **Dz. 2** Caen – Bayeux i miejsca związane z desantem wojsk alianckich w Normandii w 1944 roku. **Dz. 3** Caen. Degustacja normandzkich serów, calvadosa i cydru. Zwiedzanie urokliwego Honfleur. **Dz. 4** Z Normandii w kierunku Bretanii. Ogród Christiana Diora w Granville i wyjątkowa wyspa Mont St. Michel. **Dz. 5** Mont St. Michel. Ostrygi w Cancale, zwiedzanie otoczonego murami obronnymi pirackiego miasta Saint-Malo oraz domy szachulcowe w Dinan. **Dz. 6** Normandia – Chartres ze słynną katedrą – Paryż. **Dz. 7** Paryż. Wylot do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 13/05, 17/06 2026 | od 6.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL41**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl bb931bc7ab



Wizyta Ziobry na Węgrzech „zbiegła się" z postawieniem mu w Polsce zarzutów. Na fot. z premierem Orbánem.

Podliczanie Ziobry

Prokurator generalny skierował do Sejmu wniosek o uchylenie Zbigniewowi Ziobrze immunitetu w celu postawienia zarzutów i tymczasowego aresztowania w związku z obawą utrudniania postępowania. Zarzutów jest 26. To:

- **Zarzuty związane z utworzeniem grupy przestępczej i działaniem w niej** wraz z Michałem Wosiem i Dariuszem Mateckim w celu „przywłaszczania" środków z Funduszu Sprawiedliwości. A co za tym idzie: „Osiągnięcia korzyści majątkowych przez inne osoby oraz korzyści osobistej i politycznej", czym Ziobro przekroczył uprawnienia i nie dopełnił obowiązków służbowych. Ziobro wyśmiewa zarzut, mówiąc, że niczego dla siebie nie wziął. Jednak sformułowanie „przywłaszczył" dotyczy wydawania pieniędzy z Funduszu na cele polityczne partii Ziobry. Przekazywano je, dotując projekty wskazane w ustawionych konkursach. Część z dotacji przyznawał osobiście, poza konkursem. Ziobro nie kontrolował też wydatkowania środków, mimo że miał taki obowiązek. Nawet jeśli wyznaczył do kontroli inne osoby (Marcin Romanowski), to miał obowiązek sprawdzać, czy i jak się z tego obowiązku wywiązują.
- **Zarzuty związane z dofinansowaniem zakupu Pegasusa dla CBA** (25 mln zł). Broniąc się, Ziobro wskazuje, że w ramach nowelizacji dopisano do celów Funduszu Sprawiedliwości zapobieganie przestępstwom, a inwigilacja służy zapobieganiu. Jednak jako dysponent FS Ziobro nie dopilnował zagwarantowania sobie prawa do kontroli, czy dotacja na system inwigilacyjny wykorzystywana jest prawidłowo, do czego zobowiązują go przepisy.
- **Kolejny zarzut: Ziobro nie miał prawa dotować CBA**, bo – według ustawy – CBA finansowane jest „z budżetu państwa". Ziobro broni się, że w przepisie nie ma słowa „wyłącznie". To spór prawny, który rozstrzygnie sąd. Jest też zarzut dotowania zakupu Pegasusa, mimo że ABW ostrzegało, że dane z systemu przechowywane są na serwerach w Izraelu, co godzi w bezpieczeństwo państwa.
- **Zarzut niedopełnienia obowiązków.** Ziobro nie odsunął wiceministra Marcina Romanowskiego od nadzoru nad realizacją dotacji celowych przyznawanych Instytutowi Wymiaru Sprawiedliwości, którego Romanowski był dyrektorem.
- **Zarzut przekroczenia uprawnień** za zgodę na dotację 14 mln zł z Funduszu na remont budynku Prokuratury Krajowej, czego nie można podciągnąć pod żaden z celów FS.
- **Zarzuty niedopełnienia obowiązku nadania biegu dokumentom** adresowanym do Ziobry jako ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego, które przetrzymywał we własnym mieszkaniu. (ES)

Ciemność w tunelu

Jedna z najważniejszych krajowych inwestycji kolejowych, czyli nowa trasa Warszawa–Wrocław, nie może ruszyć z miejsca. Ponad roku temu drążenie tunelu biegnącego przez śródmieście Łodzi wstrzymano, bo zawaliła się kamienica. Kilkuset mieszkańców wysiedlono na czas ustalenia, w jaki sposób zabezpieczyć okoliczne budynki. Dostali od wykonawcy – czyli Przedsiębiorstwa Budowy Dróg i Mostów – wybór: przeczekać na koszt firmy w hotelach albo wynająć mieszkania. Mieli wrócić po dwóch miesiącach, nie udało się. Podawano im kilka kolejnych terminów, żadnego nie dotrzymano.

Stan na dziś: drążąca tunel tarcza jest gotowa do pracy, ale najpierw musi zakończyć się przeciąganie liny w trójkącie: wykonawca–inwestor (PKP Polskie Linie Kolejowe)–mieszkańcy. Wykonawca zaproponował wzmocnienie fundamentów trzech sąsiadujących kamienic za pomocą żelbetowej belki. Wymaga to zgody mieszkańców. Ci zaś nie są co do tego przekonani; domagają się gwarancji skuteczności i bezpieczeństwa operacji, jak również warunków rekompensat w razie fiaska tej operacji oraz zadośćuczynienia za straty moralne związane z przymusową relokacją, strachem o własny dobytek i niepewnością, czy będą mieli do czego wracać. Swoje postulaty kierują do PKP PLK. Spółka jednak płacić im nie zamierza, przerzuca odpowiedzialność na wykonawcę. Wykonawca pyta ubezpieczyciela. Ubezpieczyciel analizuje, czy zakres polisy obejmuje owe straty moralne. Pat trwa.

Nawet gdyby mieszkańcy dali zielone światło na wznowienie prac, wszystko jest uzależnione od wyniku rozmów na temat waloryzacji kontraktu podpisanego w 2017 r., opiewającego wówczas na 1,6 mld zł. Rozmowy zaś toczą się od 2023 r., bez efektu. Oficjalnie obie strony przyznają, że są dobrej myśli, ale nad mediacją unosi się widmo paraliżu ogarniającego kolejowych urzędników na myśl o tym, że mają zatwierdzić wykonawcy wypłatę dodatkowych kilkuset milionów złotych. Co rusz domagają się więc uzasadnienia roszczeń i zracjonalizowania podejścia – czyli tego, aby PBDiM



spuścił z tonu. Przedstawiciele firmy twierdzą tymczasem, że już dołożyli do inwestycji pół miliarda złotych. A na domiar złego licznik kosztów relokacji mieszkańców wciąż bije (do tej pory PBDiM zapłacił za relokację mieszkańców ponad 40 mln zł).

Według pierwotnych założeń tunel miał powstać w drugiej połowie 2021 r. Odpowiedzialny za kolej wiceminister infrastruktury Piotr Malepszak rzucił niedawno nowy termin: 2029 r. Ale trudno się do niego przywiązywać. (MP)

eprasa.pl bb931bc7ab

Fantazje o mediach publicznych



Wybierane w konkursach odpartyjnione władze mediów publicznych, likwidacja Rady Mediów Narodowych oraz abonamentu radiowo-telewizyjnego, odpartyjniona Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji – to główne założenia rządowego projektu nowej ustawy medialnej, które przedstawiła ministra kultury **Marta Cienkowska**. Pomysły zawarte w ustawie natychmiast spotkały się z krytyką PiS, więc nie od rzeczy jest oczekiwanie, że po wyjściu z parlamentu nowe prawo zostanie bez wielkich wahań zawetowane przez Karola Nawrockiego. Pytanie, czy nad ustawą, która wydaje się martwa jeszcze przed uchwaleniem, należy ronić łzy.

Niemal dwa lata po usunięciu zaciągu pisowskiego z mediów publicznych rząd zaproponował bardzo wąskie i archaiczne rozwiązania. Wymogi dla osób na kierowniczych stanowiskach mówiące o braku przynależności do partii politycznej przez pięć lat wstecz, a także braku kandydowania w wyborach powszechnych przez 10 lat są oczywiście słuszne, ale w praktyce sprowadziłyby się do tego, że szefem TVP nie mógłby zostać Jacek Kurski, ale za to Tomasz Sakiewicz już jak najbardziej. Bo w dyskusji o mediach publicznych kręcimy się w kółko, tymczasem rzeczywistość coraz bardziej ucieka. Projekt ustawy przypomina podróż wehikułem czasu do lat 90., gdy kluczowe dla debaty i polityki było główne wydanie „Wiadomości" o 19.30 i telewizyjna publicystyka. To już zamierzchła przeszłość.

Konsumpcja mediów coraz bardziej przesuwa się do internetu i owocuje nie tylko triumfem masowego chłamu, ale także wartościowymi treściami spełniającymi wszelkie kryteria misji publicznej. Z tym że ciężar poszukiwania i finansowania takich publikacji został przez polskie państwo zepchnięty na czytelników i widzów. Walka z dezinformacją, fact-checking, pogłębione rozmowy i analizy, jakościowe formaty dotyczące polityki światowej, nowych technologii, historii – to wszystko znajdziemy w sieci jako treści wspierane przez odbiorców. To nowe media publiczne, co państwo zdaje się zupełnie ignorować. Co więcej, ta iluzja prowadzi do sytuacji, gdy wartościowe treści są dostępne wyłącznie dla ludzi, którzy mają wystarczające kompetencje, by je znaleźć i wyselekcjonować, dla reszty w sieci zostają kotki, pieski i dyktatura algorytmów.

Dopóki nowy ład medialny nie zostanie zaprojektowany jako odpowiedź na nową rzeczywistość, wszelkie nowe ustawy będą tylko ciekawostkami, o których zapomnimy pięć minut po tym, gdy zostaną unicestwione w politycznej wojnie.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Bliskie spotkania nad Bałtykiem



Trzy razy, w odstępie kilkudziesięciu godzin, polskie myśliwce musiały w ubiegłym tygodniu wylatywać w celu przechwycenia rosyjskich maszyn z obwodu królewieckiego, zbliżających się bez planu, bez łączności i bez ostrzeżenia do naszych granic morskich. Wrogo nastawiony sąsiad zdecydował się tym razem użyć nieuzbrojonych **maszyn rozpoznawczych Ił-20**, które nie naruszyły polskiej przestrzeni powietrznej, a ich lot wskazywał na wykonywanie rutynowych zadań. Ze strony Rosji były to więc nie ukłucia, ale „muśnięcia" systemu NATO. Jednak dokonywane w zaplanowany, bezceremonialny, prowokacyjny sposób, z naruszeniem reguł i zwyczajów – wymagały reakcji.

Najbliższą „nadmorską" bazą systemu szybkiego reagowania obrony powietrznej (QRA) jest Królewo Malborskie i to stamtąd podrywały się myśliwce MiG-29, nieliczne już w służbie, ale wciąż najszybsze maszyny w polskiej flocie powietrznej. MiG-i to typowe samoloty przechwytujące, z łatwością osiągające naddźwiękowe prędkości (niestety kosztem zasięgu i długości lotu). Po podarowaniu 10 z nich Ukrainie w Polsce zostało kilkanaście sztuk. Bazują już tylko pod Malborkiem, bo ich największe „gniazdo" w Mińsku Mazowieckim opanowały koreańskie „fafiki" – FA-50.

Odrzutowe MiG-i są dużo szybsze od turbośmigłowych Iłów, więc polscy piloci szybko dogonili Rosjan. Ale nie o ściganie się tu chodzi. Sojusznicza procedura przewiduje identyfikację niezgłoszonego lub podejrzanego statku powietrznego, właśnie po to, by zapobiegać nieporozumieniom, które niosą ryzyko starcia. Samoloty NATO podlatują do nieproszonego gościa i próbują z nim nawiązać kontakt: jak nie radiowy, to wzrokowy, wykonywanymi gestami, czasem manewrami całej maszyny. Takie „przechwycenia" to typowe działania w ramach powietrznej policji (*air policing*), których celem jest wyjaśnienie sytuacji, a nie jej zaostrzanie. W obecnych realiach to też manifestacja stanowczości NATO w ochronie i obronie granic państw Sojuszu.

Chuligańskim włamaniom najlepiej zapobiega widok uzbrojonego powietrznego patrolu. „Bliskie spotkania" z rosyjskimi Iłami zakończyły się tym razem bez ekscesów – samoloty zostały odeskortowane poza polski rejon odpowiedzialności. Rosjanom mogło chodzić o sprawdzenie naszego systemu, gdy w tym samym czasie bombardowali Ukrainę. Ale nie wszystkie przechwycenia wyglądają tak spokojnie i nie o wszystkich dowiadują się media. Rosyjscy piloci umieją prowokować i tylko czekają na rozkaz: eskalować! (MS)

© HTTPS://WWW.FACEBOOK.COM/ORBANVIKTOR, LESZEK ZYCH, JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, DOWÓDZTWO OPERACYJNE RSZ

eprasa.pl bb931bc7ab

TYDZIEŃ W POLITYCE

Błąd listopadowy



Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii

Gdyby ktoś zapytał w pierwszej połowie lat 20. XX w. przypadkowego przechodnia o to, kiedy dokładnie narodziła się II Rzeczpospolita, uzyskałby zaskakująco odmienne odpowiedzi. Uzależnione zarówno od regionu, w którym zadałby pytanie, jak i poglądów politycznych indagowanego.

Pełną tego świadomość miał Józef Piłsudski. Dlatego po wojskowym zamachu stanu, którego setną rocznicę będziemy obchodzili w maju przyszłego roku, szybko zabrał się za wtłaczanie Polakom odpowiedniej daty. Oczywiście tej, na której mu najbardziej zależało. Z kilku możliwych wybrał moment przekazania mu przez Radę Regencyjną kontroli nad podległym jej wojskiem, której termin zbiegł się z dniem podpisania kapitulacji przez Niemcy i końcem pierwszej wojny światowej. Z woli Marszałka już w 1926 r. dzień 11 listopada stał się dniem wolnym dla urzędników państwowych, nieco później dla uczniów, a w 1937 r. uchwalono ustawę o uznaniu tej daty za najważniejsze święto państwowe. Do najostrzejszych krytyków tych działań należeli endecy, trafnie upatrując w tym przemyślanej polityki historycznej piłsudczyków.

W warunkach sanacyjnej dyktatury narodowcy nie mogli jednak nic na to poradzić. W przeciwieństwie do komunistów, którzy niemal natychmiast po przejęciu władzy zastąpili to święto datą 22 lipca. Przywrócono je w 1989 r. i przez szereg lat jego obchody polegały głównie na okolicznościowych przemówieniach kolejnych prezydentów wygłaszanych na pl. Piłsudskiego. Kolejne ekipy rządzące nie kwapiły się zaś z zaproponowaniem Polakom, by w tym dniu zrobili coś więcej, niż tylko wywiesili flagę.

Szansę zwietrzyli nacjonaliści, którzy – rozproszeni w licznych zwalczających się organizacjach – długo nie potrafili w III RP odbudować wpływów, jakimi w jej poprzedniczce cieszyła się Narodowa Demokracja. Paradoksalnie pomogło im w tym właśnie święto uważane przez ich protoplastów za przejaw szkodliwego i historycznie fałszywego kultu Piłsudskiego. Do 2010 r. podejmowane przez nich próby zorganizowania 11 listopada większego marszu w Warszawie nie przynosiły efektu. Dopiero w roku katastrofy smoleńskiej i gwałtownego spotęgowania polaryzacji – co mogło mieć pewne znaczenie – działaczom Młodzieży Wszechpolskiej i ONR udało się zgromadzić kilkutysięczny tłum.

Od początku towarzyszyły też Marszowi Niepodległości, występujące z różnym nasileniem w kolejnych latach, starcia z policją i lewicowymi aktywistami. To one uczyniły imprezę atrakcyjną dla wielu młodych ludzi, specjalnie z tej okazji przyjeżdżających do Warszawy. Kiedy w 2013 r. prezydent Bronisław Komorowski próbował zorganizować konkurencyjny marsz, było już za późno. Ani on, ani próbujący później przejąć na różne sposoby Marsz Niepodległości politycy PiS, nie zdołali już jednak odebrać nacjonalistom największej imprezy organizowanej w dniu Święta Niepodległości.

Błąd popełniony przez kolejne rządy, nieumiejące przez dwie dekady III RP zaproponować, zwłaszcza młodym Polakom, żadnych atrakcyjnych sposobów manifestowania ich patriotyzmu, nie będzie łatwy do odwrócenia. Co gorsza, w polityce obecnej koalicji nie widać nawet chęci działania w tym kierunku. Wydaje się to o tyle zaskakujące, że Donald Tusk poświęcił swoją pracę magisterską właśnie zjawisku kultu Piłsudskiego.

Asystencja coraz bliżej

Rząd przyjął ustawę o asystencji osobistej. „To długo wyczekiwana i pierwsza regulacja, która wprowadza stały, stabilny i dostępny w całym kraju system wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami" – powiedział rzecznik rządu Adam Szłapka. Asystenci będą pomagali osobom z niepełnosprawnościami w taki sposób, aby te mogły aktywnie uczestniczyć w życiu społecznym. Może to być np. pomoc w wyjściu z domu, na zakupy na spacer czy do teatru. Ale także – wsparcie w dotarciu do pracy czy na uczelnię. Nie mniej ważne będzie pomaganie w czynnościach związanych z higieną czy przy przesiadaniu się z łóżka na wózek, zamykaniu lub otwieraniu drzwi, bo tych czynności nie wykonają samodzielnie choćby osoby z dziecięcym porażeniem mózgowym, które nie są w stanie poruszać rękami.



© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

W projekcie przyjętym przez rząd podana jest minimalna i maksymalna długość pracy asystenta: od 20 do 240 godz. miesięcznie, oraz stawka godzinowa: 49–55 zł. Jeżeli ustawa zostanie uchwalona przez parlament i podpisana przez prezydenta, usługi asystenckie mają ruszyć od kwietnia 2027 r. Z programu skorzysta początkowo ok. 100 tys. osób – ale wsparcie asystenta będzie też szansą na odpoczynek dla członków rodzin, na których dotychczas spoczywał cały ciężar opieki. Do usług asystenta dostęp będą miały osoby od 18 do 65 r.ż., które uzyskały co najmniej 80 punktów w skali potrzeby wsparcia. A w 2030 r. ustawa obejmie także młodzież od 13 r.ż. Osoby z niepełnosprawnościami (OzN) będą miały prawo wyboru asystenta, wsparcie będzie zaś przysługiwało przez co najmniej rok do maksymalnie trzech lat.

Szanse na przegłosowanie ustawy są wysokie. Trudno znaleźć posła, który otwarcie występowałby przeciwko przepisom mającym zapewnić wsparcie OzN. Weta – jak do tej pory – nie zapowiedział także prezydent Nawrocki. Jedyną przeszkodą we wprowadzeniu ustawy może więc być tylko jej wysoki koszt – Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej szacuje, że w ciągu 10 lat wyniesie on ponad 63 mld zł. Jest jednak nadzieja, że dzięki ustawie na rynek pracy wróci wielu opiekunów OzN, którzy dotychczas nie mieli takiej możliwości, bo poświęcali czas potrzebującej pomocy osobie najbliższej. Ustawodawcy liczą także, że dzięki pomocy asystenckiej uda się aktywizować zawodowo wiele osób z niepełnosprawnościami. (F. ZAG.)

eprasa.pl bb931bc7ab

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY





+ KALENDARZ na 2026 ROK

z planami podróży LogosTour



WYJĄTKOWE OKŁADKI
Pięć różnych wzorów do wyboru

PRZEJRZYSTE KALENDARIUM
Idealny na co dzień

WYGODNY PLANNER
Na co dzień, w podróży i na wakacjach

ZWIERCIADLO.PL

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

eprasa.pl bb931bc7ab

Atomowy mieczyk Trumpa



Prezydent USA ogłosił znienacka, że po ponad 30 latach Stany Zjednoczone, na jego rozkaz, natychmiast wznowią testy broni atomowej, by dotrzymać kroku Rosji i Chinom. **Donald Trump** zszokował świat bez wyraźnego powodu, bo żaden z globalnych rywali USA nie przeprowadził ostatnio pełnoskalowej próby jądrowej. Analitycy nadpobudliwej natury Trumpa natychmiast wszczęli śledztwo, czy bardziej chodziło mu o rozdrażnienie chińskiego przywódcy **Xi Jinpinga** w przeddzień szczytu w Korei Południowej, czy o odpowiedź na rosyjskie testy napędów atomowych w pociskach manewrujących Burewiestnik i torpedach Posejdon, którymi chwalił się Władimir Putin.

Efektu „wow!" jednak Trump nie osiągnął. Xi najwyraźniej nie przejął się wyobrażeniem atomowego grzyba w USA, bo zawarł z Trumpem na rok „zawieszenie broni" w wojnie handlowo-surowcowej i obiecał dalsze rozmowy. A rzecznik Putina uznał zapowiedzi Trumpa za niewarte uwagi. Rosja dobrze wie, że po moratorium z 1996 r. Ameryka w praktyce rozmontowała swoją infrastrukturę służącą testom podziemnym w Nevadzie, a eksplozje w atmosferze czy nad oceanem są zakazane traktatowo i wywołałyby masowy sprzeciw zarówno w USA, jak i na świecie. Co najwyżej Trump może zintensyfikować testy uzbrojenia potencjalnie przenoszącego głowice jądrowe, co Rosja i Chiny i tak robią.

Sygnałem prawdziwej zmiany podejścia USA do spraw nuklearnych byłoby uruchomienie testów z użyciem materiału rozszczepialnego, zwanych nadkrytycznymi, o które Departament Stanu od lat oskarża Rosję. Pytanie jednak, czy sam Trump, nienawykły do analizowania naukowych danych, rozumie ich naturę, której bez wyjaśniania wykresów i liczb nie da się pokazać opinii publicznej. Na nerwy muszą mu jednak działać nuklearna nonszalancja Rosji i ekspansja Chin.

Moskwa opuściła traktat INF zakazujący broni nuklearnej w Europie i zapowiada rozmieszczenie jej na Białorusi. Za kilka miesięcy bez przedłużenia wygasnąć może układ New START. Chiny, nieobjęte strategicznymi limitami ustalonymi między USA i ZSRR, do końca dekady mają zbudować arsenał porównywalny z supermocarstwami. Ameryka od dekad nie rozbudowywała swojego arsenału jądrowego, ale przez lata nie była w stanie zdecydować o jego modernizacji. W praktyce pozostała w tyle zarówno za Rosją, która w tym czasie bezkarnie zwiększała ilość taktycznej broni jądrowej, jak i za Chinami, inwestującymi w rakiety średniego zasięgu i hipersoniczne. Wołanie Trumpa o testy może być w praktyce hasłem do nowego wyścigu zbrojeń nuklearnych.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Odwiecznik



92-letni prezydent Kamerunu **Paul Biya** (na zdjęciu z żoną **Chantal**) rządzi od 42 lat, a teraz ma szansę na kolejne siedem, czyli prawie do setki. Rada Konstytucyjna ogłosiła, że uzyskał w wyborach 53,7 proc. głosów, a jego główny konkurent Issa Tchiroma Bakary – 35,2 proc. Bakary ten wynik podważa, ogłosił, że to on jest zdecydowanym zwycięzcą. Doszło do rozruchów, są zabici, a prezydencki konkurent został ostrzeżony, że zostanie zatrzymany za „podburzanie do zamieszek".

Ten scenariusz był już parę razy ćwiczony. Biya, ówczesny premier, został prezydentem w 1982 r. zgodnie z konstytucją, kiedy zrezygnował z urzędu Ahmadou Ahidjo – i władzy już nie oddał. W dwóch pierwszych wyborach dostał ponad 99 proc., bo był jedynym kandydatem. W kolejnych pięciu było gorzej, ale zawsze się udawało. Umiał dobrze żyć z Zachodem i pozwalał zarobić dawnym kolonizatorom, dzielił się kasą z rodakami i nie bił rekordów kleptokracji, umiejętnie skłócał opozycję (w Kamerunie jest 300 partii), a kiedy trzeba, uderzał pięścią. Nieprzejednany autokrata, w rankingach przestrzegania demokracji i wolności mediów Kamerun ląduje nisko, ale nigdy nie kłuł w oczy.

Szczególnie dramatyczna był ostatnia kadencja, poprzedzona próbą secesji dwóch anglojęzycznych prowincji. W scentralizowanym, głównie frankofońskim Kamerunie anglofoni czuli się obywatelami gorszej kategorii, a pomysł prezydenta, żeby ich przestawić na francuski, przyspieszył wybuch. Krwawo stłumiony, ale tlący się do dziś. Podobno Biya nie chciał już ósmej kadencji, powoływał się na kłopoty Joe Bidena, ale otoczenie przekonało go, żeby grał dalej. Od lat zresztą przebywał w cieniu, coraz rzadziej pokazywał się publicznie, w ostatniej kampanii tylko mignął, większość czasu spędzając w Genewie, którą sobie od dawna upodobał. W sumie jako prezydent przebywał za granicą pięć lat, podsycając plotki, że jest ciężko chory lub nie żyje.

Ledwie 76-letni Bakary, jego konkurent, jeszcze w czerwcu był rzecznikiem rządu i wieloletnim ministrem. Teraz na wiecach energicznie denuncjował korupcję i kumoterstwo władzy, tłumacząc, że przyjrzał się temu z bliska. Czy porwie tłumy, trudno przewidzieć, wiele może się wydarzyć. W poprzednich wyborach inny konkurent, który ogłosił, że je wygrał, trafił na osiem miesięcy do aresztu, gdzie zmienił zdanie. To zadziwiający paradoks, że w Afryce, gdzie mediana wieku wynosi 19 lat, rządzą najstarsi przywódcy (17 z nich ma ponad 70 lat). Jest wśród nich 83-letni Alassane Ouattara, wybrany właśnie na czwartą kadencję w Wybrzeżu Kości Słoniowej. A najmłodszy, 45-letni Bassirou Diomaye Faye, nowy prezydent Senegalu, niewiele obniży średnią.

© ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES, ZOHRA BENSEMRA/REUTERS/FORUM, SHUTTERSTOCK, SUI XIANKAI/XINHUA NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl bb931bc7ab

Holenderska tama

Patent na poskromienie rozpędzonych prawicowych populistów znalazł **Rob Jetten**. Jego postępowe ugrupowanie D66 zwyciężyło w wyborach do izby niższej holenderskiego parlamentu. Zanotowało znaczny skok, z dziewięciu mandatów w poprzedniej kadencji zrobiło się 26. Co prawda tyle samo miejsc zajmie drużyna radykała Geerta Wildersa, ale jego stan posiadania stopniał o 11 posłów. No i Wilders nie ma zdolności koalicyjnej, więc to Jetten zajmie się składaniem prawdopodobnie liberalno-chadecko-umiarkowanie konserwatywnego rządu. Zgodnie z tradycją rozdrobnionej sceny targi mogą potrwać wiele miesięcy, bo będą wymagały ułożenia się co najmniej czterech partii.

Jeśli mu się uda, 38-latek będzie najmłodszym premierem w historii Holandii i pierwszym gejem na tym stanowisku. Jego narzeczonym jest grający na trawie argentyński hokeista, para na sierpień planuje ślub. Jetten pochodzi z Nijmegen. Wcześnie zaczął. Był najmłodszym radnym w mieście.



Szefował partyjnej młodzieżówce swojej partii – D wzięło się od „demokraci", 66 to rok jej powstania. Był przewodniczącym klubu parlamentarnego i ministrem ds. klimatu i energii w rządzie wieloletniego premiera Marka Ruttego, obecnego sekretarza generalnego NATO.

Rutte też wielokrotnie zmagał się z Wildersem, prekursorem eurosceptycznego, antyimigranckiego i izolacjonistycznego dyskursu, podchwyconego i rozwiniętego na całym kontynencie. Najpierw sposobem Ruttego, który jako pierwszy mierzył się z podobnymi narracjami, było otoczenie populisty kordonem sanitarnym, a po jego przerwaniu coraz mocniejszy przechył w prawo. Wreszcie partia Ruttego zawiązała z Wildersem koalicję. Ta okazała się dysfunkcjonalna, gabinet upadł, wszystkie tworzące go ugrupowania w przedterminowych wyborach odnotowały straty.

Głosy poprzednio oddane na Wildersa pozostały na prawicy, ale przejęły je partie mniej radykalne. Wyborców centrum przechwycił Jetten oraz chadecy z CDA, którym przewodzi Henri Bontenbal, rocznik 1982. Nie umizgiwali się do Wildersa, np. program ugrupowania Jettena postuluje intensywne pogłębianie integracji Unii Europejskiej i ekspresowe rozszerzenie o nią Ukrainy, nawet kosztem spełnienia tzw. kryteriów kopenhaskich, powstanie europejskiej armii oraz zazielenienie i ucyfrowienie gospodarki.

To rozdanie oznacza także zmianę pokoleniową w holenderskiej polityce, dotąd zdominowanej przez polityków urodzonych w latach 60. Obok Wildersa i Ruttego to także pamiętany w Polsce Frans Timmermans. Pod jego wodzą sprzymierzeni z Zielonymi socjaldemokraci wypadli gorzej, niż prognozowały sondaże, i w wieczór wyborczy Timmermans zrezygnował ze stanowiska.

Faraonowie pod piramidami

Po ponad dwóch dekadach oczekiwania, siedmiu przesunięciach terminu i miliardzie dolarów wydanych na budowę Egipt otworzył **Grand Egyptian Museum (GEM) w Gizie**. Inaugurację przesuwano tyle razy, że sama w sobie stała się częścią legendy. Pierwsze plany budowy największego muzeum archeologicznego świata powstały w 2002 r., lecz kolejne kryzysy – od rewolucji 2011 r., przez pandemię, po wojnę w sąsiednim Izraelu – raz po raz wstrzymywały prace. Do tego dochodziły problemy finansowe, bo inwestycję opłacano z japońskich kredytów, a każda zmiana umów czy rządu wymagała nowych negocjacji. Co prawda w 2024 r. otwarto 12 galerii, ale czekano z udostępnieniem kolekcji Tutanchamona i królewskich łodzi Cheopsa – prawdziwej wizytówki nowego muzeum. Egipcjanie pragnęli spektakularnej inauguracji; miał to być pokaz siły i ciągłości państwa.

Dla chrześcijan 1 listopada to bardzo wymowny dzień, by otworzyć muzeum



pełne królewskich grobowców i pamiątek po tych, którzy wierzyli w nieśmiertelność, ale dla Egipcjan ten weekendowy termin sprzyjał obecności zagranicznych gości. Na oczach delegacji z 79 krajów, w tym 39 na szczeblu głów państw i rządów fasada muzeum o powierzchni 500 tys. m kw. zajaśniała w blasku tysięcy świateł i dronów w rytm muzyki kompozytora Heshama Naziha. Po półtoragodzinnym spektaklu i przemówieniach w monumentalnym atrium otwarto drzwi do galerii z ponad 100 tys. artefaktów, w tym po raz pierwszy – pełną kolekcję przedmiotów znalezionych w grobie Tutanchamona.

Gospodarz wydarzenia, prezydent Abdel Fattah as-Sisi, mówił o „nowym rozdziale historii Egiptu". Po latach zawirowań z kraju odpłynęli turyści, nie przypadkiem więc muzeum znajduje się nie tylko tuż obok piramid, lecz także w pobliżu nowego lotniska Sphinx International Airport, i ma zostać połączone z Kairem nową linią metra. Władze liczą na 8 mln gości rocznie, co ma uczynić z GEM także motor gospodarki. W sobotę starożytni Egipcjanie na chwilę wrócili – w postaci światła, dźwięku, narodowej dumy i nadziei na nadejście koniunktury oraz mody na faraonów.

eprasa.pl bb931bc7ab



Byli chcieliby być

Andrzej Duda jest już zainteresowany tylko kasą i dlatego stał się lobbystą – mówią jego znajomi. Państwo nie ma pomysłu na byłych prezydentów, a ich własne pomysły bywają zadziwiające.

ANNA DĄBROWSKA

Andrzej Duda przyznał niedawno w wywiadzie dla „Pulsu Biznesu", że nie będzie walczył o to, żeby zostać premierem, a jeśli pojawi się „rzeczywiste zapotrzebowanie, to odpowiednie osoby same się do mnie zgłoszą z pytaniem, czy rozważyłbym podjęcie takiego zadania". – *Andrzej wie, że w polityce nie będzie odgrywał już żadnej roli i sam nie ma na to ochoty. On myśli już tylko o zarabianiu kasy* – mówi znajomy małżeństwa Dudów.

– *Są dwie ważne osoby w życiu Andrzeja, które wywierały na niego presję. Ojciec, najpierw o doktorat i prestiż, by wreszcie coś znaczył, i żona – o pieniądze.* Ambicje ojca zostały zaspokojone, bo syn był dwie kadencje prezydentem Polski, o czym w jego mniemaniu zdecydowała wola boża. – *Teraz jest czas na to, by zaspokoić finansowe ambicje Agaty. On uważa, że poświęciła się, by Andrzej mógł zadowolić ojca, i teraz oczekuje odpłaty* – twierdzi nasz rozmówca.

Były prezydent w Kanale Zero wspominał ostatnio, że Agata zrobiła mu awanturę ze łzami, kiedy jesienią 2014 r. oznajmił jej, że jest kandydatem PiS na prezydenta. Dorobił do tego opowieść o tym, że „Agata wiedziała, co to oznacza, bo byłem ministrem w Kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego,

© SERGIUSZ WOJCIECHOWSKI/NEWSPIX (2)

eprasa.pl bb931bc7ab



i ona widziała, co media robiły" i „Że to oznacza całkowitą zmianę życia i taką trochę rodzinną katastrofę". Osoba znająca Dudów zapamiętała to nieco inaczej. – *W maju 2014 r. Andrzej został posłem do Parlamentu Europejskiego i Agata była z tego wybitnie zadowolona. Na wydanej przez nich z tej okazji kolacji w Krakowie mówiła, że Andrzej zacznie wreszcie dobrze zarabiać. Była wściekła, że to eldorado skończyło się po roku, gdy mąż został prezydentem* – wspomina nasz rozmówca. W ciągu tego roku europosłowania udało im się odłożyć prawie 55 tys. euro, ale prezydentura oznaczała pogorszenie ich sytuacji finansowej.

Po dekadzie spędzonej w Pałacu Prezydenckim Agata i Andrzej Dudowie uznali, że mogą odcinać finansowe kupony. Chcą szybko spłacić kredyt hipoteczny i zabezpieczyć się finansowo na czas prawdziwej emerytury. W pierwszym tygodniu tej prezydenckiej emerytury przeprowadzili się do swojego mieszkania w Krakowie. „Musiałem rozpakować rzeczy, które przywiozłem z Warszawy. Z wielkiego mieszkania do znacznie mniejszego trudno się było przeprowadzić. Z kilkuset metrów do mniej niż 150 metrów" – żalił się Andrzej Duda w wywiadzie u Bogdana Rymanowskiego. Dodawał, że musieli wynająć specjalny magazyn na wszystkie pamiątki i kilkanaście garniturów prezydenckich, które polubił.

Z ostatniego prezydenckiego oświadczenia majątkowego wynika, że Dudowie mają apartament o powierzchni 132 m kw. i 19 m kw. garażu na krakowskim Białym Prądniku. Kilka lat temu, w czasie prezydentury, zaciągnęli na niego kredyt w wysokości 497 tys. zł. Andrzej Duda zeznał w ostatnim oświadczeniu, że taki kredyt zaciągnął i taką jego wysokość podaje już od kilku lat. Analizując jego oświadczenia majątkowe z ostatnich pięciu lat, można zauważyć, że tylko raz, w 2022 r., odnotował, iż do spłaty małżeństwu pozostało wówczas 385 tys. zł. Zapewne do 2025 r. kredyt hipoteczny stopniał.

Na koniec 2024 r. wspólnie posiadali oszczędności – około 150 tys. zł, 400 euro i 1,5 tys. dol., a także polisę ubezpieczeniową (III filar emerytalny) o wartości 85 tys. zł. Dysponują też kartą kredytową z limitem 20 tys. zł i jako majątek odrębny Andrzej Duda ma działkę o powierzchni 325 m kw. w użytkowaniu wieczystym. Nie mają żadnych dodatkowych mieszkań na wynajem i wówczas nie mieli też samochodu, ale dziś przysługuje im na zawsze od państwa, jak wszystkim byłym prezydentom, ochrona SOP z samochodem, ale tylko na terytorium kraju. W 2024 r. Andrzej Duda jako prezydent zarobił 304 283,80 zł brutto, a po wyprowadzce z Pałacu dostał odprawę w wysokości trzech pensji, czyli ok. 85 tys. zł brutto.

To dzięki Lechowi Wałęsie wszyscy byli prezydenci dostają dziś comiesięczną wypłatę. W styczniu 1996 r., wkrótce po tym, jak Wałęsa wyprowadził się z Pałacu, złożył demonstracyjną wizytę w Stoczni Gdańskiej i zadeklarował, że powraca na swoje dawne stanowisko pracy, na posadę elektryka. To uświadomiło wszystkim, że status osób, które sprawowały najwyższy urząd, i to z wyborów powszechnych, nie jest w Polsce w żaden sposób określony. I tak na mocy ustawy z maja 1996 r. przysługuje im dziś część uposażenia obecnego prezydenta. Najpierw otrzymywali połowę jego pensji, ale w 2011 r. Bronisław Komorowski podpisał ustawę, która zwiększyła tę kwotę do 75 proc. Dziś więc byli prezydenci otrzymują ok. 12 tys. zł netto dożywotnio.

Do tego – jak już wspomnieliśmy – przysługuje im ochrona SOP na terenie kraju z samochodem służbowym, a jeszcze ▶

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ 10 lat temu także za granicą. Eksprezydenci otrzymują też pieniądze na prowadzenie biur, tyle co posłowie – 23 310 zł miesięcznie. Mogą też razem ze swoją najbliższą rodziną korzystać z publicznej ochrony zdrowia na zasadach takich jak polityczne VIP-y. Tych uprawnień były prezydent może być pozbawiony jedynie przez Trybunał Stanu, gdyby sędziowie uznali, że złamał konstytucję.

Niedawno Andrzej Duda powiedział, że te 12 tys. zł netto to „niewygórowane pieniądze". Tu akurat jest zgodny z Bronisławem Komorowskim, który stwierdził w „Fakcie", że „ojczyzna byłych prezydentów nie rozpieszcza". Słusznie zauważył, że „premierzy ratują się, wyjeżdżając do instytucji europejskich (to – jak twierdzą w KO – przytyk do Donalda Tuska), żeby dostać lepszą emeryturę, natomiast prezydentom nie bardzo wypada jechać do Parlamentu Europejskiego czy na inne synekury". Na uwagę, że z głodu chyba nie umiera, Komorowski mówił, że „zarabia pieniądze na różnych wydarzeniach".

Andrzej Duda prawdopodobnie miał już dograną pracę pod koniec swojej prezydentury. W połowie czerwca poleciał w ostatnią podróż zagraniczną do Singapuru i Malezji. Zabrał w nią – jak się okazało teraz – swojego chlebodawcę Dawida Rożka. Wówczas w oficjalnej wypowiedzi dla mediów Duda mówił: „Także bardzo ważna wizyta z wielu punktów widzenia, która – mam nadzieję – przyniesie wymierne korzyści dla Polski, dla polskiego biznesu, dla naszego rozwoju". A na pewno dla rozwoju finansowego Andrzej Dudy.

20 października oficjalnie ogłosił, że wszedł do „międzynarodowej rady nadzorczej" fintechu, spółki ZEN.com, którą w 2018 r. w Rzeszowie (dziś ma centralę na Litwie) założył Rożek. Biznesmen w czerwcu wyrażał wdzięczność „Prezydentowi Polski Andrzejowi Dudzie za możliwość uczestniczenia w tak ważnych rozmowach dotyczących przyszłości finansów cyfrowych i innowacji technologicznych". Podkreślał, że udział w delegacji przypada na kluczowy etap rozwoju firmy w Azji. Często, choć trochę na wyrost, nazywana jest „polskim Revolutem", działa w prawie 30 krajach i oferuje m.in. karty płatnicze, wymianę walut, a także płatności internetowe. Były współpracownik Dudy z Kancelarii Prezydenta mówi rozgoryczony: – *Doświadczenia w biznesie nie ma żadnego, a nawet jak był prezydentem, to nie ma sukcesów, jeśli chodzi o wspieranie polskich innowacji w świecie. Rożkowi chodzi tylko o nazwisko i lobbing na rzecz swojej firmy, a Dudzie o kasę, i to niemałą.*

ZEN.com jest sponsorem Kanału Zero Krzysztofa Stanowskiego, na którym też już jakieś pieniądze zarabia eksprezydent Duda. – *Pewnie to element jakiegoś dealu między Rożkiem, Dudą i Stanowskim. Duda na Zero ma własny program, w którym promuje swoją książkę, i sprzedaż rośnie, na czym też grubo zarabia* – mówi osoba z otoczenia Dudy. Stanowski w swoim profilu na X w czerwcu opublikował zdjęcie Rożka z prezydentami Polski i Singapuru z komentarzem: „No i ekstra! Super współpracować z takimi firmami!".

Były prezydent w połowie września pojawił się w Zero jako autor i bohater cyklu 16-odcinkowego programu, w którym pokazuje siebie jako człowieka mocno zadowolonego ze swoich osiągnięć, które opisał w książce „To ja". Książkę wydała firma byłego dziennikarza Macieja Zdziarskiego, który był także ghostwriterem Dudy. To m.in. on znalazł się wśród fikcyjnych doradców w PZU za rządów PiS i za fikcyjną pracę miał zarobić ponad milion złotych, o czym spółka zawiadomiła prokuraturę.

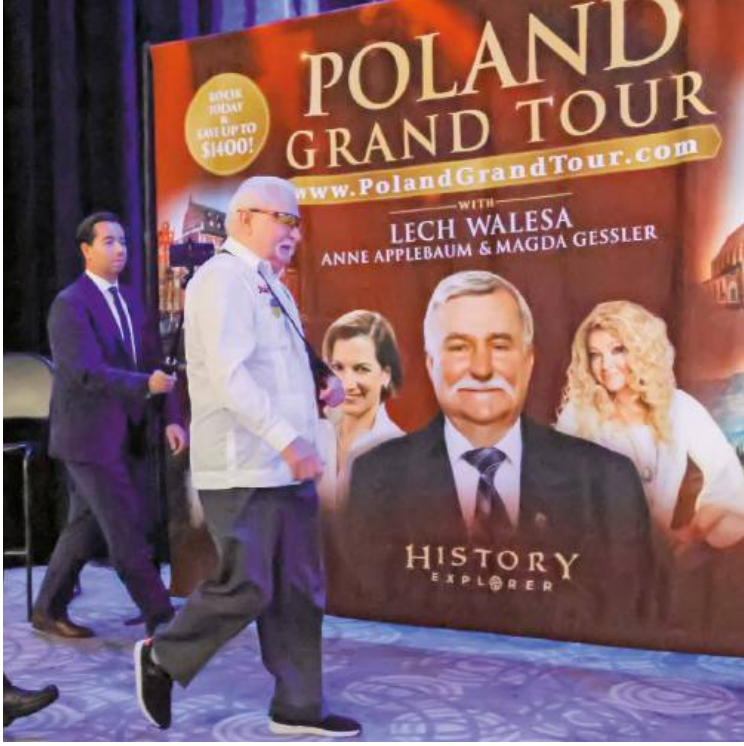

Zdziarski razem z Dudą sporo zarobią na książce, bo można ją kupić tylko przez stronę internetową, więc nie dzielą się zyskami z dystrybutorami. Sama książka kosztuje 99 zł, a pakiet premium – autorskie ozdobne pudełko i autograf w książce – 159 zł. Podobno sprzedaje się świetnie, były już trzy dodruki. Duda może na niej zarobić nawet 3–4 mln zł.

W wywiadzie dla „Pulsu Biznesu" przypomniano, jak w 2015 r. Bronisław Komorowski razem z Lechem Wałęsą polecieli reklamować do USA inny fintech, dziś znany jako niesławny cinkciarz.pl. Jego właściciel jest ścigany listem gończym, a kilka dni temu sąd ogłosił upadłość spółki. Na pytanie, czy Duda nie obawia się ryzyka reputacyjnego związanego z wejściem w biznes, odpowiadał: „Tamta sytuacja dotyczyła komercyjnej reklamy, co zresztą zostało wtedy ocenione jako dosyć kontrowersyjne". I dodał, że to „zupełnie co innego niż instytucjonalna rola w radzie nadzorczej".

Prof. UW Rafał Chwedoruk ocenia tę sytuację nieco inaczej, bo udział w reklamie cinkciarz.pl, choć nie był chwalebny, stanowił jednak krótkotrwały mariaż z marką. – *Natomiast wejście prezydenta do spółki o rozległych ambicjach międzynarodowych to kłopotliwa z punktu widzenia interesów państwa sytuacja. Nic nie wiadomo na temat tego, by Andrzej Duda posiadał szczególne kompetencje biznesowe. Nie jest specjalistą od finansów, marketingu czy rynków światowych, więc po prostu będzie dawał nazwisko działaniom lobbingowym jednej firmy* – uważa prof. Chwedoruk. Podobnego zdania jest prof. SGH Grzegorz Makowski, który od lat zajmuje się zagadnieniami polityki antykorupcyjnej. – *Nie wiemy, czy prezydent nie podejmował, jeszcze będąc na urzędzie, decyzji, które miały wpływ na działalność spółki, która go dziś zatrudnia. Może tu mieć miejsce lobbing, a więc też i konflikt interesów. Ale te kwestie w żaden sposób nie są uregulowane w naszych przepisach.*

Ile Duda zarobi w radzie nadzorczej prywatnej spółki, nie wiadomo, ale być może ocenił, że za mało, więc znalazła się też praca dla Agaty Kornhauser-Dudy. Pod koniec października TVN24 poinformował, że była pierwsza dama została doradcą prezesa NBP Adama Glapińskiego, z pensją ok. 30 tys. zł.

© ALEXANDRA BUXBAUM/REXFEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl bb931bc7ab



Lech Wałęsa z Noblem na koncie i swoją legendą zgarnia za udział w zagranicznych eventach spore gaże. Właśnie kończy tournée po USA.

Na fot. **Lech Wałęsa wchodzi na scenę w Centrum Kongresowym Donalda Stephensa w Rosemont w stanie Illinois, 4 października**

Na dowód tego opublikowano zrzut ekranu z wewnętrznego rejestru pracowników. Kiedy sprawa wyszła na jaw, zniknęła z rejestru i pojawiło się dementi rzecznika, że „nie jest w tej chwili zatrudniona w NBP". Podobno prezes Glapiński odpuścił, ale pewnie coś intratnego dla byłej prezydentowej się znajdzie. Tak samo dla Andrzeja Dudy, który już zapowiedział w „PB": „nie wykluczam, że mogę pojawić się w jakichś kolejnych boardach różnych instytucji".

Pomoże mu w tym pewnie wieloletni przyjaciel mecenas Rafał Kos, który jest uważany za wybitnego eksperta od prawa gospodarczego i ma doskonale prosperującą kancelarię prawną. Był jednym z głównych ekspertów komisji w resorcie aktywów Jacka Sasina, która wymyślała reformę nadzoru nad spółkami Skarbu Państwa. Ta społeczna praca dawała się spieniężyć, bo ten, kto pracuje w komisjach kodyfikacyjnych, jest potem chętnie wynajmowany przez klientów. Jego klientem był m.in. państwowy Tauron. Kos miał zatrudnienie także w radzie nadzorczej PKO BP. Został również społecznym doradcą Dudy, a w 2023 r. prezydent powołał go na ambasadora – specjalnego przedstawiciela Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej do spraw Rozwijania Międzynarodowej Współpracy Handlowej i Wspierania Polskich Inwestycji za Granicą. – *Teraz Kos będzie holował Dudę* – twierdzi ich znajomy.

Na pewno Dudowie nie wrócą tam, gdzie pracowali przed prezydenturą. Andrzej Duda od 1997 r. był zatrudniony na Wydziale Prawa i Administracji UJ. Na czas sprawowania urzędu wziął bezpłatny urlop, a kiedy tylko zakończył kadencję, umowa o pracę została rozwiązana za porozumieniem stron. – *Profesorowie z UJ uznali, że łamiąc konstytucję, sam zamknął sobie drzwi na uczelnię. A on wspominał często, że córkę Kingę na wydziale prawa spotykał z jego powodu hejt, więc nie chce mieć z uczelnią nic wspólnego* – twierdzi jeden ze współpracowników Dudy.

Powrotu do szkoły nie ma też Agata Duda, zatrudniona od 1998 r. w II LO w Krakowie jako nauczycielka języka niemieckiego. Relacje z nauczycielami z pracy zepsuły się, kiedy w czasie strajków napisali do niej list. Poprosili, by jakoś odniosła się publicznie do problemów szkolnictwa, ale ona wtedy milczała.

Prezydent Duda nie doczekał się jakiejś intratnej zagranicznej propozycji zatrudnienia. Liczył na posadę w ONZ, a także w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim, oraz na to, że będzie kimś ważnym w jakiejś instytucji odbudowującej Ukrainę. Wszędzie niepowodzenia. – *To niesamowite, że Andrzej tak naiwnie wierzył w to, że jego „przyjaciel" Trump załatwi mu robotę. Wiadomo było, że jak przestanie być prezydentem, to stanie się dla Trumpa bezużyteczny* – mówi osoba z otoczenia Dudy.

Tak jak inni prezydenci, Andrzej Duda otworzył swoje biuro w Krakowie, planuje kolejne w Warszawie. Podobno liczy na to, że niebawem zaczną do niego spływać zaproszenia na udział w wydarzeniach, gdzie za pieniądze będzie mógł wygłosić przemowę. Lech Wałęsa z Noblem na koncie i swoją legendą zgarnia za udział w tego typu eventach spore gaże. Nie wybrzydza i przyjął zaproszenie na imprezę z okazji 20-lecia McDonald's w Polsce czy uświetnienie konwencji antyunijnej międzynarodówki. Właśnie kończy tournée po USA, reklamowane nawet w CNN, gdzie opowiada o „wyzwaniach dla demokracji oraz o wojnie Rosji z Ukrainą". Wszystko organizują History Explorer i AP Event Serviced, a najtańsze bilety sprzedają za 100 dol.

Z odczytami po świecie jeździ też Aleksander Kwaśniewski, ale on więcej zarobił chyba na doradzaniu prezydentowi Kazachstanu. Ponoć prezydent Nazarbajew zabiegał o pozyskanie europejskich polityków jako lobbystów mających poprawić wizerunek jego kraju uważanego za dyktaturę. Bronisław Komorowski jest najmniej aktywny, zaszył się w swojej ukochanej Budzie Ruskiej, ale też zdarza mu się dorobić jak innym. „Jeżdżę za granicę na jakieś imprezy, w Polsce tak samo, gdzie wynajmują mnie w celu uświetnienia jakiegoś wydarzenia albo przyjemności kontaktu z ludźmi" – powiedział kilka dni temu w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim. Przez krótki czas był szefem Centrum Praktyki Politycznej swojego imienia na warszawskiej Collegium Civitas, ale Centrum szybko zamknięto.

Nie dorobiliśmy się jako państwo sensownego modelu zaangażowania byłych prezydentów. – *Problemem nie jest to, że nasz system polityczny nie potrafi ich zagospodarować, ale to, że byli prezydenci nie potrafią podołać roli, w jakiej się znaleźli, gdy skończyli swoją kadencję w Pałacu* – mówi prof. Rafał Chwedoruk. Zwraca uwagę, że to partie polityczne powinny wziąć za to odpowiedzialność, bo to dzięki nim ludzie, często z drugiego politycznego szeregu (licząc ostatnich trzech lokatorów Pałacu), zostali prezydentami.

Były prezydent mógłby np. objąć patronat nad think tankiem politycznym, który myślałby w dłuższej perspektywie niż tylko bieżąca polityka, przygotowywał wartościowe ekspertyzy, polemizował z podobnymi ośrodkami innych partii. Pojawiają się też pomysły powołania rady byłych prezydentów, dziś zasiadaliby w niej Andrzej Duda, Bronisław Komorowski, Aleksander Kwaśniewski i Lech Wałęsa. Każdy z nich, już politycznie niezależny, wnosiłby swoje doświadczenie z innego etapu funkcjonowania państwa, wiedzę i kontakty międzynarodowe.

To byłoby coś, gdyby razem podjęli próby odbudowy zrujnowanego dziś poczucia wspólnoty społeczeństwa, co ma wielkie znaczenie w tak niespokojnych czasach. Tylko zapewne musieliby się zgodzić na mniejsze pieniądze niż te, które dostają za wykłady, doradzanie czy sprzedawanie swojego nazwiska biznesmenom.

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl bb931bc7ab

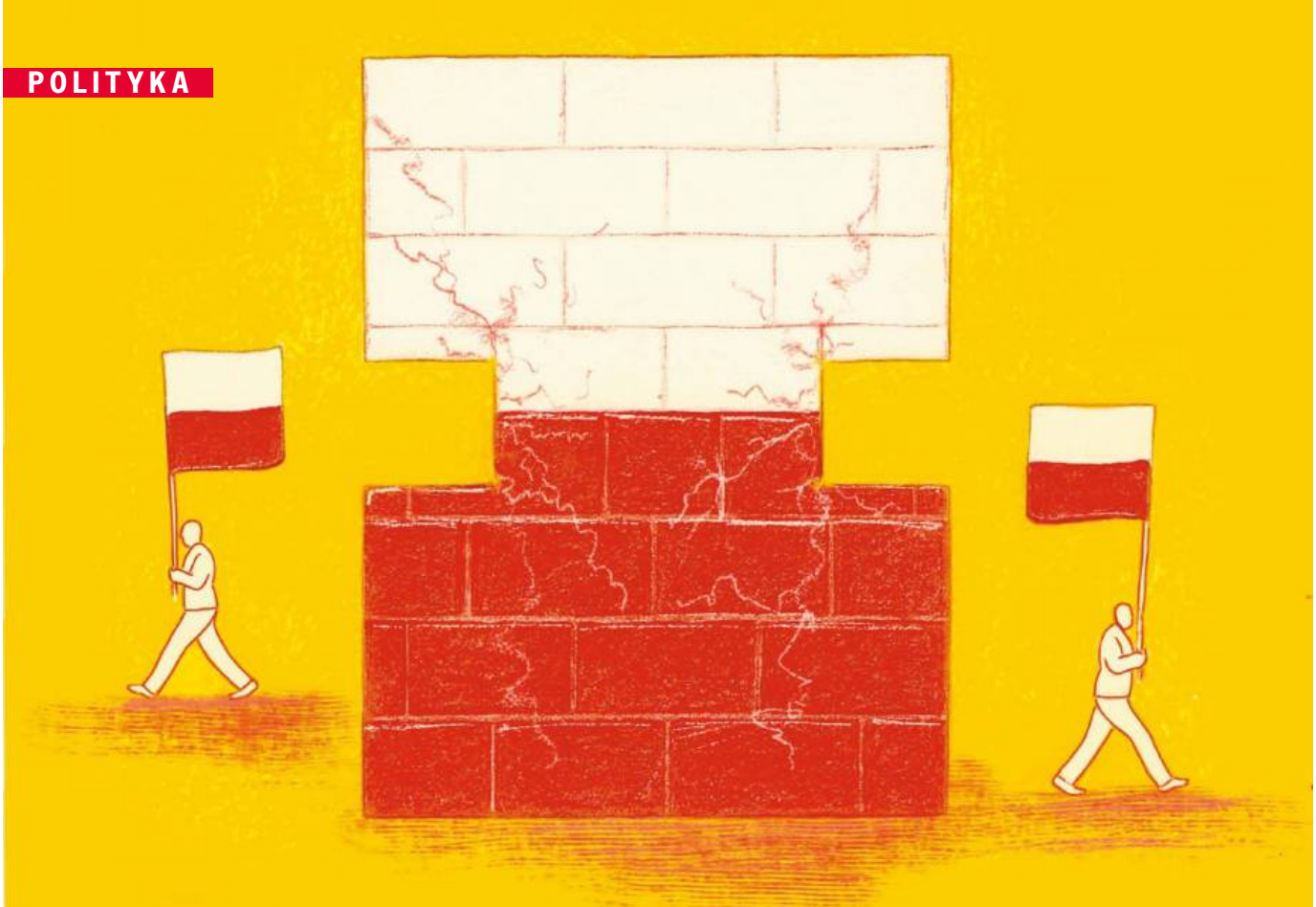

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Chętni do marszu

Jeden naród, ale trzy prawice. I to ostro ze sobą rywalizujące, co kładzie się cieniem na przygotowaniach do zbliżającego się Marszu Niepodległości. Kto, z kim i przeciwko komu będzie w tym roku maszerować?

RAFAŁ KALUKIN

Z prawdziwą polskością tak już jest, że nabiera właściwych barw dopiero w zderzeniu z zewnętrzną opresją. Marszowi Niepodległości zawsze więc dobrze robi jakaś kłoda rzucona pod nogi przez władzę. Bo wtedy od razu widać, kto jest kim. Czyli z jednej strony obcy namiestnik, który boi się własnego narodu, a z drugiej – autentyczni polscy patrioci, którym odbiera się prawo do świętowania niepodległości na dorocznym wielkim marszu w stolicy.

Tak było chociażby w ubiegłym roku, kiedy organizatorzy ze Stowarzyszenia Marsz Niepodległości sami sprowokowali konflikt podesłanym do warszawskiego magistratu planem wielodniowych obchodów z kulminacją na 11 listopada. Oczywiście z góry zakładając, że ratusz nie wyrazi zgody na tak długotrwały paraliż miasta. Tym bardziej że Rafał Trzaskowski szykował się wtedy do kampanii prezydenckiej, więc miał dodatkowy powód, żeby odbić piłeczkę i pokazać swoim zwolennikom niezłomność. Zrobił się z tego widowiskowy spór, który obie strony wytrwale rozgrywały. I o to dokładnie chodziło.

Ale w tym roku Trzaskowski niestety nie stanął na wysokości zadania. Wyszedł ze swojej tradycyjnej roli, nie podejmując najmniejszej choćby próby zablokowania marszu. I w sumie trudno mu się dziwić, że po przegranej kampanii wolał mieć święty spokój, skoro aktualnie o nic konkretnego nie musi walczyć. Niemniej organizatorów marszu wyraźnie to zdeprymowało, bo najprawdopodobniej liczyli na jakieś zwyczajowe starcie.

Nie składają jednak broni, chwytając się każdej szansy na podkręcenie emocji. Pewną szansą był remont Dworca Centralnego, skutkujący jego tygodniowym wyłączeniem akurat w czasie święta niepodległości. „Skandaliczna zagrywka władz! (...) To nie jest przypadek! To nie jest »remont«! To jest celowe działanie władz, wymierzone prosto w serca patriotów!" – napisano na społecznościowym profilu Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. I dalej: „Chcą nam utrudnić, przeszkodzić, zmusić do rezygnacji ze wspólnego świętowania Narodowego Święta Niepodległości! Czy pozwolimy, by polityczne gierki zniszczyły nasz najważniejszy dzień? (...)

eprasa.pl bb931bc7ab

Nie dajcie się zastraszyć! Udostępnij ten post i zabierz znajomych na Marsz".

Kluczowe w tym wszystkim było oczywiście ostatnie zdanie. Tyle że nagromadzenie wykrzykników nie poszło w parze z sensem. Bezpośrednim adresatem interwencji były bowiem władze stolicy, niemające nic wspólnego z remontem. Od tego jest PKP, które poinformowało w suchym komunikacie, że prace modernizacyjne były planowane od dawna, a termin dobrano faktycznie nieprzypadkowo, gdyż o tej porze obciążenie składów jest akurat stosunkowo niewielkie. Emocja szybko się zatem wypaliła.

Z braku lepszej amunicji usiłowano jeszcze zaczepiać Trzaskowskiego o jego deklarację osobistego udziału w marszu. Tę sprzed paru miesięcy, kiedy przed drugą turą wyborów odwiedził Sławomira Mentzena i został przez niego wywołany w tej sprawie do tablicy. Tyle że jego gotowość do maszerowania już wtedy została obwarowana warunkiem nadania imprezie wspólnotowego charakteru („o ile pójdziemy wszyscy"). Jak wiadomo, niemożliwym do spełnienia, co było teraz pretekstem do wycofania się. Trzaskowski trzeźwo zresztą zauważył, że nie byłby na marszu narodowców mile widziany.

Ale po komentarzach na konfederackich profilach można było odnieść wrażenie, że patrioci właściwie o niczym bardziej nie marzyli, jak właśnie o wspólnym świętowaniu z niedawnym kandydatem KO na prezydenta. Toteż dawali dowód swemu rozczarowaniu, że Trzaskowski kolejny raz stchórzył. W tonie rzecz jasna szyderczym, ale to też jednak było trochę za mało, żeby podpalić prawdziwe emocje. I jak w takich warunkach mobilizować do patriotycznego czynu?

Konfederaci mimo wszystko nie ukrywają, że wiążą z tegorocznym marszem spore nadzieje. Jeśli wypali, byłby to mocny akord na zakończenie ogólnie bardzo dla nich pomyślnego roku. Po wyborach prezydenckich i dobrym wyniku Sławomira Mentzena chyba już na dobre zajęli miejsce trzeciej siły na scenie, która po kolejnych wyborach może im dać decydujący wpływ na kształt przyszłej koalicji rządzącej. Sukces frekwencyjny 11 listopada byłby potwierdzeniem dobrej passy, co można propagandowo wykorzystać w rywalizacji po prawej stronie.

Problem w tym, że Marsz Niepodległości tak naprawdę nigdy nie był imprezą wyłącznie konfederacką. Nawet jeśli za organizację od samego początku odpowiada stowarzyszenie związane z Ruchem Narodowym i Młodzieżą Wszechpolską, które od sześciu lat stanowią część ekosystemu Konfederacji. Nie byłoby jednak fenomenu listopadowego marszu z pierwszych lat, gdyby nie masowe uczestnictwo całego ludu prawicowego. Z jednej strony mobilizowanych za pomocą nacjonalistycznych haseł środowisk bojówkarsko-kibolskich, które zazwyczaj szukają zadymy. A z drugiej – owych mitycznych „rodzin z dziećmi", czyli milczącej (a przynajmniej nie tak głośnej) konserwatywnej większości, dla której marsz z braku lepszych alternatyw jest po prostu sposobnością wyrażenia patriotycznej emocji. Ona z kolei zawsze była bliższa PiS.

Z tego podziału wzięła się wieloletnia rywalizacja ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego z narodowcami o przejęcie marszu. Szczególnie ostra po 2015 r., kiedy nowa prawicowa władza podejmowała kolejne próby upaństwowienia imprezy. Tyle że nieudane, bo wywrotowa natura imprezy zawsze brała górę. Szczególnie w covidowym 2020 r., kiedy to z powodu epidemicznych obostrzeń marsz został zakazany, ale i tak jak zawsze się odbył. Jako zgromadzenie nielegalne i w postaci ulicznej burdy. Tylko że teraz kostki brukowe wymierzone już były w pisowską władzę, która „sanitaryzmem" odbiera prawdziwym Polakom wolność.

I nie zaradził temu nawet przekupiony państwowymi decyzjami ówczesny szef Stowarzyszenia Marsz Niepodległości Robert Bąkiewicz. Chociaż dwoił się i troił, to nie udało mu się skanalizować oddolnego buntu. Usunięty później z organizacji, w środowisku konfederackich narodowców funkcjonuje dzisiaj jako *persona non grata*, chociaż PiS stale go używa do radykalnych licytacji na prawicowym froncie. Ostatnio Bąkiewicz błysnął skandalicznym wystąpieniem o „wyrywaniu chwastów" i „napalmie" na pisowskim wiecu w Warszawie, frekwencyjnie zresztą nieudanym.

Co dla organizatorów Marszu Niepodległości musiało być wskazówką, że wewnętrzne tarcia na prawicy nie służą ulicznym mobilizacjom. Dla wielu potencjalnych uczestników są one mało zrozumiałe, w końcu prawdziwy wróg jest przecież gdzie indziej. Stąd pewnie kolejne próby podkręcania emocji antyrządowej. Ale na razie to prawicowe separatyzmy wydają się dużo silniejsze.

W końcu PiS też nie zamierza odpuszczać tegorocznego marszu. Podobnie jak w ubiegłym roku zamierza w nim wziąć udział Jarosław Kaczyński wraz z całą pisowską świtą, o czym mówił już publicznie Mariusz Błaszczak. Przy okazji dolewając oliwy do ognia komentarzem, że to nigdy nie była impreza narodowców, lecz wszystkich „polskich patriotów". Co naturalnie skłoniło obecnego szefa Stowarzyszenia Marsz Niepodległości Bartosza Malewskiego do ostrej polemiki, w której zarzucił prawicowemu konkurentowi próbę wygumkowania tak bardzo przecież świetlanej tradycji Narodowej Demokracji.

„Nikt pana nie zapraszał, ale wypraszać też nie będziemy" – dorzucił jeszcze w mediach społecznościowych pod adresem prezesa PiS Michał Urbaniak, wcześniej poseł Konfederacji, a obecnie szef biura prasowego. Raczej jednak wybiegając przed szereg, gdyż sprowokował lawinę komentarzy polityków PiS, sympatyzujących z tą partią komentatorów oraz szeregowych zwolenników, którzy szyderczo pytali, do kogo mają się w takim razie zwrócić o specjalne zaproszenie, bo nie chcieliby maszerować na gapę.

I tak to się w ubiegłym tygodniu kręciło. Właściwie cały prawicowy internet stał się areną wzajemnego wymierzania sobie kuksańców. Argumentów nie zabrakło, gdyż obie strony mają za uszami dosyć świeże sprawy, które można sobie do woli wypominać. PiS akurat boryka się z aferą sprzedanej działki, która nie trafiła do CPK, chociaż została ujęta w planie inwestycyjnym. Co konfederaci ochoczo eksploatują, a szczególnie celuje w tym najbardziej mający z Kaczyńskim na pieńku Sławomir Mentzen. Też zresztą wybierający się na listopadowy marsz, chociaż zarówno on, jak i jego środowisko Nowej Nadziei jakoś nigdy się z tą imprezą przesadnie nie kojarzył. A nawet zdarzyło mu się kiedyś przyznać, że po raz pierwszy wziął w niej udział dopiero w 2022 r., czyli z dekadą poślizgu względem prawdziwych wiarusów. I oczywiście jest mu to wyciągane.

Przede wszystkim jednak Konfederacja musi się ostatnio tłumaczyć z pikantnej aferki swojego prominentnego posła Konrada Berkowicza, który robiąc zakupy w Ikei, „zapomniał" zapłacić za patelnię, talerze i parę innych przydatnych akcesoriów. Sieć ma w związku z tym wielkie używanie, produkując na potęgę memy ▶

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ z Berkowiczem. Które, jak nietrudno się domyślić, przy okazji stały się również orężem w prawicowej rywalizacji o symboliczny patronat nad Marszem Niepodległości.

Potęgując i tak już mocno zatrutą atmosferę po prawej stronie. Bo listopadowe święto to oczywiście kolejny etap prawicowej wojny, która na całego wybuchła po wyborach prezydenckich. Podobnych spięć jest teraz mnóstwo, a pokłócić się można praktycznie o wszystko. Nawet o imigrację, o której obie prawicowe formacje mówią praktycznie jednym głosem, co nie przeszkodziło Ewie Zajączkowskiej-Hernik oraz pisowcowi Patrykowi Jakiemu wzajemnie wbijać sobie grubych szpil w trakcie niedawnej debaty w ramach Krynica Forum.

Dla najbardziej koncyliacyjnie zorientowanych narodowców to spory problem, tyle że prawicowego topora na obecnym etapie najwyraźniej nie sposób po prostu zakopać choćby na chwilę. Ale być może pod tym właśnie kątem wywołali prezydenta Karola Nawrockiego, który jest dzisiaj praktycznie jedynym autorytetem dla całej prawicy. Z sugestią, że być może głowa państwa zaszczyci marsz swoją obecnością, co zresztą już się Nawrockiemu w przeszłości zdarzało. I można się spodziewać, że w nowej politycznej roli raczej nie zmarnuje okazji, żeby potwierdzić swój symboliczny prymat. Chociaż w trakcie pisania tego tekstu pałac wciąż zwlekał z ostateczną deklaracją.

Pod hasłem „Jeden naród – silna Polska!" najczęściej przemycany jest silny antyimigrancki resentyment. Podobnie zresztą było w ubiegłych latach, co zapewne wynika nie tylko z politycznej kalkulacji, lecz również z naturalnych odruchów organizatorów z Ruchu Narodowego. Jeśli coś bowiem dzisiaj łączy rozmaite prawicowe nurty, to w pierwszej kolejności chyba właśnie radykalizująca pod wpływem wewnętrznej licytacji wizja monokulturowej Polski. Pytanie o granice tej radykalizacji.

Bo od jakiegoś czasu można odnieść wrażenie, że temat został już trochę przegrzany. Wcześniej eksploatowany na potęgę w kampanii prezydenckiej przez cały wianuszek prawicowych kandydatów, którzy na wszelkie sposoby próbowali skojarzyć Trzaskowskiego z unijnym paktem migracyjnym. Co padło na podatny grunt: w badaniach opinii publicznej nawet trzy czwarte Polaków wyrażało wtedy swój sprzeciw przeciwko przyjmowaniu jakichkolwiek imigrantów. Ksenofobiczny nastrój niewątpliwie miał później wpływ na wynik wyborów.

Ale po wyborach rozochocony PiS popełnił błąd, jeszcze głębiej wciskając pedał gazu i wypuszczając na zachodnią granicę Bąkiewicza wraz z grupą jego sfanatyzowanych towarzyszy z Ruchu Obrony Granic. Próba wywołania histerii wokół rzekomo masowego odsyłania migrantów z Niemiec do Polski spaliła na panewce. Z masowo oglądanych filmików w internecie zbyt jasno bowiem wynikało, że to tylko nieudolna inscenizacja polowania na fantomowych obcych. Temat urwał się równie nagle, jak się wcześniej pojawił, a po wakacjach już trudno go było z powrotem wskrzesić.

Czego PiS właśnie doświadczył na niedawnej antyimigranckiej demonstracji na placu Zamkowym, której główny temat w ostatniej chwili próbowano zresztą przezornie rozrzedzić hasłami sprzeciwu wobec unijnej umowy handlowej z Mercosurem. Tak jakby sztabowcy z Nowogrodzkiej już wtedy podejrzewali, że migranci przestają mobilizować. A na koniec zgasił jeszcze pisowską świeczkę premier Tusk, kiedy poinformował, że Polska została okresowo zwolniona z udziału w solidarnościowym mechanizmie relokacji uchodźców.

Skądinąd nie byłaby to wyłącznie polska specyfika. Z badań Eurobarometru już od jakiegoś czasu wynika, że w całej Unii obawy przed nielegalną migracją zaczynają powoli słabnąć. Coraz bardziej liczą się za to bezpieczeństwo i gospodarka. Oczywiście nie wszędzie, bo każdy kraj ma swoją specyfikę i nie jest przesądzone, że Polska dopasuje się do ogólnego trendu. Z wnioskami należy więc pewnie poczekać, chociaż pierwsze symptomy zmiany już się pojawiły także u nas.

I w ogóle można odnieść wrażenie, że prawica zaczyna cierpieć na narracyjne wypalenie, nie bardzo dzisiaj wiedząc czym, z korzyścią dla siebie, polaryzować w najbliższej przyszłości scenę. Bo chociaż w sondażach nadal utrzymuje strategiczną przewagę nad rządzącą koalicją, spodziewanej ofensywy po zwycięstwie Nawrockiego jakoś nie widać. PiS wręcz ostatnio stracił parę punktów, Konfederacja w najlepszym razie wydaje się stabilna, a Koronie Brauna nawet zdarza się trochę rosnąć. Wszystko to są jednak przepływy w ramach ogólnego prawicowego zasobu, który od jakiegoś czasu już nie rośnie.

Można więc postawić ostrożną tezę, że radykalizacja przekazu po prawej stronie po prostu dotarła do kresu swoich możliwości i wiele więcej nie da się tu wykrzesać. Dalsze podbijanie bębenka i rozniecanie kolejnych lęków co najwyżej będą więc sprzyjać Braunowi, co obu głównym siłom na prawicy nie jest na rękę. Bo po pierwsze, same na tym tracą, a po drugie, hodują sobie na przyszłość wyjątkowo kłopotliwego koalicjanta. Jego blisko 10-procentowy wynik w ostatnim badaniu CBOS to sygnał ostrzegawczy.

I niewykluczone, że ostatecznie to Braun okaże się głównym beneficjentem listopadowego marszu. W którym też już zdążył zapowiedzieć własny udział, oczywiście w osobnej kolumnie. Chociaż pewnie będzie mu trudno poważnie zaistnieć w wielotysięcznej ciżbie, bo przecież raczej nie dostanie miejsca na głównej scenie i mikrofonu. Ale mimo wszystko to właśnie ruch Brauna wydaje się dzisiaj najlepiej dopasowany do radykalnej ornamentyki Marszu Niepodległości, jego ksenofobicznych i rasistowskich haseł, ogólnie antysystemowej emocji. Konfederacja trochę już jednak odbiła się od swoich korzeni i zgrzeczniała, a Kaczyński nigdy nie będzie do końca autentyczny w swojej wędrówce na dalekie prawicowe rubieże.

Organizacyjne zawirowania zapewne nie odbiją się na frekwencji. Listopadowa impreza stała się przez lata samoodtwarzającym się rytuałem. Tyle że po drodze stępiło się jej polityczne i kulturowe ostrze. W czasach heroicznych marszu było to wydarzenie formacyjne dla sporej części młodego pokolenia, które w kontrze wobec liberalnego państwa chłonęło wyciągnięte z dziejowego lamusa prawicowo-nacjonalistyczne kody. Co niewątpliwie pomogło prawicy Kaczyńskiego zdobyć władzę w 2015 r., a parę lat później zdążyło jeszcze uwolnić emocję sprzyjającą alternatywnej prawicy Bosaka i Mentzena. W miarę skracania się dzielącego je dystansu nasila się jednak polityczna rywalizacja pomiędzy nimi, odsuwając na dalszy plan wspólne ideologiczne cele.

I kładzie się to również cieniem na tegorocznym Marszu Niepodległości. Demokratów nie powinno to szczególnie martwić, nawet jeśli listopadowe zgromadzenie tradycyjnie okaże się dla nich trudnym wyzwaniem estetycznym.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl bb931bc7ab



ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Wznowiony mecz

MARIUSZ JANICKI

Od czasu wyborów prezydenckich wzbierała ze strony wyborców antyPiSu wielka fala krytyki wobec rządów koalicji 15 października i samego Donalda Tuska. Jakby obóz demokratyczny znielubił sam siebie. Czy ta tendencja właśnie się odwraca?

Niemal każdy argument używany w atakach na dzisiejszą władzę wydawał się krytykom słuszny, a nawet bardzo surowe oceny – w pełni zasłużone. Nie ma co ich powtarzać, pojawiały się od długiego czasu, popularność rządu spadła do stanów niskich, a kondycja koalicji jako całości wygląda dość marnie. Ale też takie postrzeganie sytuacji ma swoje konsekwencje: wówczas właściwie wszystko, co robią rządzący, jawi się jako się złe, nieporadne, niewłaściwe, nietrafione i bezsensowne. Tworzona jest atmosfera upadku i beznadziei.

Zwycięstwo Karola Nawrockiego dokonało spustoszenia w obozie demokratów. Mimo że wiadomo, jak działa mechanizm takiej sterowanej traumy i że właśnie o to chodzi partii Kaczyńskiego, wielu się jej poddało, uległo politycznej melancholii i rezygnacji. A orientacja w mechanizmach politycznych oznacza również odporność na sugestie przeciwników, odróżnianie własnych przemyśleń od konstruktów marketingowych sztabów i zastosowanych algorytmów.

Wiele wskazuje na to, że demokraci w dużej części popadli w zaawansowaną ojkofobię – jak niechęć do „swoich" nazwał kiedyś Jarosław Kaczyński – i brak silnego przekonania, że nadal warto zabiegać o liberalny system. Stale się mówi o tym, że „wszystko się zmieniło", „niczego się nie nauczyliśmy", „świat liberałom odjechał", „Europa idzie na prawo", o USA nie wspominając. Pojawiają się zatem pytania, co dalej, dokąd prowadzi ciąg myślowy, w którym dominuje negacja tego, co się wydarzyło po 2023 r. Pogłębiają się rozczarowanie, marazm i frustracja. „Moje rozczarowanie rządzącą koalicją, która jest bezsilna, bezradna i bierna wobec PiS, powoduje obrzydzenie do polityki w ogóle. Jedynie minister Żurek błyszczy jaśniej" – napisała jeszcze kilka dni temu jedna z użytkowniczek X.

Czy zatem liberalna demokracja nadal wydaje się lepszym systemem od tego, co proponują PiS, Konfederacja i prezydent Nawrocki? I czy błędy rządów Tuska i słabości partii koalicyjnych są dostatecznym argumentem za odpuszczeniem walki i cichą zgodą na powrót PiS do władzy?

Przekaz: jedni warci drugich

Są powody, aby przypuszczać, że system liberalno-demokratyczny nadal jest traktowany przez dotychczasową publiczność antyPiSu jako uprzywilejowany ▶

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ i docelowy, przynajmniej w deklaracjach. Ale rzecz jest bardziej skomplikowana. PiS zrobił wiele, aby granice ustrojowe rozmyć, a próby przywracania praworządności przedstawiać jako bezprawne i niekonstytucyjne. Nie należy lekceważyć tych zabiegów, bo sądząc po licznych komentarzach i wpisach w social mediach, pokazały swoją skuteczność. Przekaz jest taki, że to nie PiS łamał prawo, ponieważ swoje „reformy" przeprowadzał ustawami, a nowa władza przywraca dawny system bez takiego umocowania. Niby wiadomo, o co chodzi, ale takie przedstawienie sytuacji wprowadza pojęciowy chaos, daje alibi, aby się od tego sporu odciąć. PiS takich „odciętych" odbiorców polityki odfajkowuje jako już zneutralizowanych i niegroźnych, choć oni sami uważają się za tych, którzy właśnie wszystko zrozumieli i już się nie dadzą na nic nabrać.



To stara metoda Kaczyńskiego: obrzydzać politykę jako taką, zrównywać wszystkich jej aktorów, dowodzić ich jednakowo niskich motywacji, co widać też przy aferze z działką CPK. To się zawsze podobało i podoba, ponieważ jest zgodne z funkcjonującymi społecznie stereotypami, a na obniżaniu poziomu zawsze zyskiwał PiS, ponieważ jest sprawniejszy w politycznym marketingu i potrafi wytłumaczyć swoim zwolennikom, że to wszystko, co wydaje się niewłaściwe i naganne, jest na niby, a na pewno służy wyższym celom. Zarazem przekazy PiS łatwo przenikają do „drugiej bańki", nie na odwrót, i to w taki sposób, że przeciwnicy Kaczyńskiego mogą tego nie dostrzegać. W intencji radykalizującego się obozu prawicy jest stworzenie wrażenia, że nie ma o co aż tak walczyć, wartości demokratyczne nie są zadekretowane jako nienaruszalny wzór, to tylko użyteczny polityczny bat, sposób na pognębienie przeciwnika.

Nie chodzi tu tylko o zakwestionowanie samej liberalnej demokracji, ale może głównie – jej eksponentów. Donald Tusk jest przedstawiany jako dyktator, wschodni satrapa łamiący konstytucję i reguły państwa prawa, głodzący sędziów TK, prześladujący posłów opozycji itd. Ma to sprawić wrażenie, że system reprezentowany przez „złych ludzi" musi być zły. PiS zawsze dążył do skrajnej personifikacji, do tego, aby nie dostrzegać instytucji i ich decyzji, ale zwracać uwagę na konkretnych urzędników, prokuratorów, sędziów, ich pochodzenie, członków rodziny, towarzyskie powiązania itd. Nie ma systemu, procedur, reguł, są tylko wykonawcy i ich zleceniodawcy. Ten przekaz, stosowany teraz w obronie Ziobry, Mateckiego i innych przed „represjami Tuska", długo był skuteczny. Teraz to się powoli zmienia, co pokazują sondaże niekorzystne dla oskarżanych o nadużycia i przestępstwa ludzi dawnej władzy.

Czy da się wybaczyć władzy

Po konwencji zjednoczeniowej Koalicji Obywatelskiej środowisko Tuska jest w dobrych nastrojach, pytanie, czy wyborcy również. Czy da się wybaczyć obecnej władzy, Tuskowi i jego partii dotychczasowe przewiny, głupstwa, zaniedbania i jeszcze raz ją poprzeć, czy raczej trzeba ich wszystkich ukarać powrotem PiS do rządzenia? To kluczowa kwestia. Kiedy Tusk w rozmowie w podkaście Wojewódzkiego i Kędzierskiego powiedział, że wybory w 2027 r. nie tyle może przegrać on, ile bardziej wyborcy, rozpętała się awantura. Ale problem jest prawdziwy. Polityk zrobi tyle, ile ma poparcia. Czy mimo błędów, do których Tusk się częściowo przyznaje, a częściowo nie, może nadal oczekiwać zaufania i wsparcia – to jest teraz główne pytanie. Tusk wyraźnie liczy na pozbywanie się przez wyborców incydentalnych emocji i zrozumienie zero-jedynkowej sytuacji, kiedy alternatywą jest powrót starej ekipy, którą już kiedyś dużym wysiłkiem odsunięto od władzy.

Negatywne wrażenie i wiele komentarzy wywołała galeria zasłużonych działaczy PiS, sfotografowana podczas ostatniej konwencji w Katowicach: nagle widać było, że to wciąż ci sami ludzie: Szydło, Morawiecki, Kurski, Ziobro, Błaszczak, Obajtek. Nawet ci, którzy z reguły wychwalają PiS za ogólny geniusz, tym razem jakby przycichli, a w socialach, co zdarza się rzadko, partia Kaczyńskiego znalazła się w defensywie.

Nie zmienia to faktu, że politycy liberalni znowu wymagają od wyborców zaawansowanej, wyższej świadomości. Sondaże pokazują, że przeważająca większość Polaków uważa, że w znaczeniu ekonomicznym i społecznym żyje im się teraz „tak samo", jak w czasach rządów PiS. Rzeczywiście, przepastnych, jakościowych różnic nie ma. Wobec tego przewaga demokratycznego obozu polega – wciąż i głównie – na „nadbudowie", czyli liberalnym, tolerancyjnym systemie, praworządności, dobrej pozycji w europejskich strukturach.

Dla zdeklarowanego elektoratu Koalicji Europejskiej i Lewicy zdaje się to nadal jasne, ale pojawia się problem z „centrystami", tym środkiem, który kiedyś głosował na Polskę 2050 czy PSL, gdzie antypisowski i antyprawicowy zapał osłabł. Najbardziej niekorzystne dla rządzących było rosnące przekonanie, że może nie warto aż tak bardzo walczyć o to, żeby PiS nie wrócił do władzy, że w sumie żyje się podobnie za jednych i drugich. Przy takim rozumowaniu niemal zawsze bieżąca władza przegrywa wybory.

Coś się jednak ostatnio zmieniło, na razie to lekki podmuch w inną stronę, nie wiadomo, na ile trwałe jest to zjawisko. Sytuacja z rozstrzygniętej już na korzyść prawicy powróciła do statusu nierozstrzygniętej. Wspomniana nieudana konwencja PiS w Katowicach, kuriozalne wypowiedzi Kaczyńskiego o „zabieraniu państwa" przez Niemcy i Francję, coraz większy skręt jego ugrupowania w kierunku radykalnej, antysemickiej prawicy, afera ze sprzedażą działki pod CPK (choć PiS swoją metodą już ją „odwołał" i przerzucił w stronę KO), a z drugiej strony zjednoczenie KO i może przede wszystkim: ożywienie procesu rozliczeń przez ministra Żurka, spowodowały, że podział na dwa główne polityczne obozy znowu stał się bardziej wyrazisty.

Partia Kaczyńskiego wpadła w dziwny, nieoczekiwany kryzys, co jeszcze raz pokazuje, jak zmienne są polityczne nastroje i jak łatwo wpaść w zadyszkę bez wyraźnego w sumie powodu, bo spadki głównego ugrupowania opozycyjnego zaczęły się jeszcze przed aferą z działką CPK. Po raz pierwszy od wyborów prezydenckich trochę ucichły zachwyty nad PiS i prezydentem Nawrockim. Doszło do tego, że propisowscy publicyści zaczynają straszyć, że jeśli PiS się komuś nie podoba, to zostaje Grzegorz Braun. Zachwiali się nawet niektórzy najtwardsi prawicowi komentatorzy z X, narzekają na Kaczyńskiego i całą starą ekipę PiS, krytykują brak nowych pomysłów, powrót do kosztownego rozdawnictwa, utratę inicjatywy w social mediach, ogólną nieruchawość. PiS nie zyskał ani na zwycięstwie Nawrockiego, ani na ostatniej katowickiej konwencji.

eprasa.pl bb931bc7ab

Pytanie, na ile to będzie trwałe zjawisko. Bo ten wielki polityczny mecz KO–PiS po przegranej Trzaskowskiego raczej nie będzie już napędzany wizją kompleksowej naprawy liberalno-demokratycznego ustroju państwa, bo ta przy Nawrockim nie jest możliwa. Emocja może teraz już głównie wiązać się z satysfakcją wynikającą z samego trzymania PiS z dala od władzy, z patrzeniem, jak Kaczyńskiemu nie wychodzi triumfalny powrót, jak Nawrocki gaśnie bez mocy wykonawczej, kolejni ludzie PiS trafiają przed sąd, Czarnek i Morawiecki nie zostają premierami, a Kurski nie wraca do TVP. Nabiera to znaczenia po tym, jak otwarcie, także podczas eventu w Katowicach, politycy PiS mówią o przyszłej zemście i definitywnej już zmianie ustroju, bez oglądania się na cokolwiek.

Racje i satysfakcje

Wygląda na to, że polska (ale nie tylko) polityka jest skazana na połowiczność, syndrom niedokończenia. Za czasów PiS mówiło się, że Kaczyński potrzebuje trzeciej kadencji, aby zamurować swoją władzę do końca. Nie dostał jej. Potem zwycięstwo Trzaskowskiego miało nadać pełny sens październikowemu przełomowi z 2023 r. Tak się nie stało. Może w polityce w ogóle nie ma już wielkich finałów, liczy się sama rozgrywka, ważne są cząstkowe rezultaty, wytrwałość w małych krokach. Motywacja typu „żeby tylko nie rządził PiS" od dawna uchodzi za mało ambitną, bo „chodzi o coś więcej" itd. Jeśli jednak ktoś uważa, że mimo wszystko lepiej, aby państwem nie władała taka partia jak PiS, w dodatku wspólnie z Konfederacją i Braunem, to wciąż istnieją powody, aby nie udawać się na wewnętrzną emigrację i nie interesować się tym, kto będzie rządził. Bo jednak wizje państwa Kaczyńskiego i Tuska dość mocno się różnią i ostatnie wybory akurat nic tu nie zmieniły.

Na pewno na brak entuzjazmu wpłynęła nie tylko przegrana Trzaskowskiego, która była dla antyPiSu polityczną katastrofą, ale także to, że nie widać na razie wyraźnej ścieżki do utrzymania władzy przez październikową koalicję w 2027 r. To właśnie nałożenie się na siebie tych dwóch faktów pogłębia traumę. Widać po ostatnich wydarzeniach, że Donald Tusk chce wzmocnić swoją formację i bardziej stawiać na samodzielną przewagę KO niż na koalicję. Lewica balansuje minimalnie ponad progiem 5 proc., a reszta jest poniżej. Z kolei pojawiająca się koncepcja wspólnego startu całej koalicji od razu napotyka na stanowcze zaprzeczenia. Ostatnio kategorycznie wykluczył to Włodzimierz Czarzasty, kilkakrotnie też odżegnał się od tego pomysłu Władysław Kosiniak-Kamysz, a o przyszłości Polski 2050 trudno dzisiaj cokolwiek powiedzieć. Ta sytuacja bez wątpienia wpływa na samopoczucie całego demokratycznego obozu, ułatwia zajmowanie postawy nihilistycznej, prześmiewczej, to niech już wraca PiS itd.

Morale demokratycznego obozu wygląda zatem na dość chwiejne i potrzebuje stałych impulsów, a szczególnie – długofalowej perspektywy. Mówi się, że Tusk teraz najbardziej liczy na osiągnięcie masy krytycznej, czyli ulokowanie się KO w przedziale 35–40 proc. (dwa sondaże jednej z pracowni dają jej tyle, ale są kwestionowane), co przecięłoby dywagacje o jego schyłkowości i pokazałoby KO jako siłę wciąż dobrze rokującą. Taka pozycja dałaby mu lepsze papiery do konstruowania koalicji wyborczej z PSL, a to w połączeniu z przyzwoitym wynikiem Lewicy mogłoby wystarczyć do zachowania władzy w 2027 r., choć zapewne na styk i bez gwarancji.



Jest to jakiś plan, który wymaga jednak dwóch okoliczności. Po pierwsze, rządy Tuska powinny być o klasę lepsze niż dotychczas, i po drugie – muszą zaangażować symbolicznie i emocjonalnie wyborców, którzy będą mieli poczucie, że jest jakaś nowa koncepcja, że lider nad wszystkim panuje, jest wciąż przebiegły i „cwany". Bez tego nie ma dzisiaj polityki. A wyborcy to czują jakimś szóstym zmysłem. Oznaki chaosu i rozkładu rozpoznają z dużej odległości, co działa demobilizująco. Niewykluczone, że z takim problemem – czasowego zastoju i braku nowych przekazów – boryka się ostatnio PiS, co odbiło się w sondażach.

Koniec zimnego chowu?

Jeżeli oznaki wychodzenia z kryzysu związanego z wyborami prezydenckimi się potwierdzą, możliwe, że obóz władzy przechodzi do nowego etapu, gdzie znowu czeka go gwałtowne starcie z PiS i szerzej – całą radykalną prawicą, nastąpi atomowa wymiana ciosów. Opowieści o końcu polaryzacji to polityczne bajki symetrystów, które mają uprościć Kaczyńskiemu dokończenie Budapesztu w Warszawie. Przeciwnie, wybór w 2027 r. będzie wyrazisty jak nigdy dotąd, tego chce i PiS, i KO, a reszta znajdzie się w strefie zgniotu i albo przejdzie na czyjąś stronę, albo zaniknie.

Będzie to zarazem trudna, skomplikowana i finezyjna rywalizacja, wymagająca od elektoratu mocnych nerwów i cierpliwości, o co może być trudno. Dużą część wyborców irytuje mruganie Tuska w prawą stronę, ciągłe uleganie „konserwatywnej fali", której aż tak bardzo w badaniach opinii nie widać. Ale Tusk i jego ludzie stosują argumenty: gdyby Polacy w większości chcieli poluzowania przepisów aborcyjnych, to nie wybraliby katolickiego fundamentalisty na prezydenta, to samo dotyczy związków partnerskich, praw środowisk LGBT itp. A ponieważ koalicjanci zasadniczo osłabli, to w takiej sytuacji Koalicja Obywatelska będzie toczyć z PiS podobny bój jak Trzaskowski z Nawrockim – o „większą połowę" społeczeństwa. Dlatego musi być elastyczna, podążać czasem za większościowymi poglądami, nawet jeśli te bywają niełądne.

Z drugiej strony słychać, że jest tu cienka granica, poza którą część wyborców już nie poczuje się w obowiązku popierać KO, jeśli ta za bardzo zbliży się w opiniach czy działaniach do PiS czy Konfederacji. Deklaracja Tuska o ewentualnym zamiarze wypowiedzenia Europejskiej Konwencji Praw Człowieka dla wielu znajduje się na takiej właśnie granicy. Część przyjmie to jako element taktyki, ale inni mogą nie być tak wyrozumiali. Potem Tusk zresztą to łagodził.

Jeżeli antyPiS ma znowu znaleźć wspólny sens ze swoim politycznym obozem, to w grę wchodzi komunikacja i empatia, słuchanie różnych prodemokratycznych środowisk, a nie zimny chów na zasadzie: „bo i tak nie mają na kogo innego głosować". Może nie mają, ale mogą w ogóle nie pójść. Z drugiej strony politycy wygrywają lub przegrywają wybory razem ze swoimi zwolennikami. Jeśli wyborcy antyPiSu zechcą przegrać, nikt im tego nie zabroni. Jednak widać zmianę. I chociaż nie wiadomo, jak się to ostatecznie zakończy, depresja chyba minęła, a polityczny mecz po kilkumiesięcznej przerwie został wznowiony.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl bb931bc7ab

TEMAT TYGODNIA

Udry o Odrę

Do 7 listopada Karol Nawrocki musi zdecydować, czy podpisze ustawę o powołaniu Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry. Od 2001 r. nie powstał w Polsce żaden nowy park narodowy. To rezultat zabójczej skuteczności tzw. weta samorządowego, pozwalającego radnym nie zgodzić się, by na ich terenie taki obiekt utworzyć.

JĘDRZEJ WINIECKI



Projekt szykowano z myślą o innym lokatorze Pałacu Namiestnikowskiego. Ale nastał Nawrocki. O parkowej koncepcji mówił oszczędnie i z niechęcią. Stojąc w październiku na nabrzeżu w Gdyni, wykładał swoją wizję świetlanej przyszłości polskich portów, zwłaszcza zapowiadanego od lat głębokowodnego terminalu kontenerowego w Świnoujściu i drogi wodnej na Odrze, mającej być dla niego wsparciem. Tymczasem „mamy do czynienia z działalnością paraekologicznych organizacji niemieckich czy próbami budowania parku narodowego Dolnej Odry. Co mnie, jako prezydenta Polski, niepokoi w kontekście naszej strategicznej potrzeby".

Niemiecki szach-mat

Parkowi nie pomaga fakt, że szefem kancelarii Nawrockiego został Zbigniew Bogucki, były wojewoda zachodniopomorski. Na pytanie Sebastiana Wierciaka z Radia Szczecin, czy wybierze się na spacer z rodziną do nowego parku na tzw. Międzyodrze, prezydencki minister odparł, że „wartość dziedzictwa przyrodniczego trzeba wyważyć z potrzebami rozwoju gospodarczego i społecznego". Sam wielokrotnie powtarzał, że to „zły pomysł" i zagrożenie dla przyszłych inwestycji, które napotkają „gigantyczne problemy". Bogucki ma taką pewność, mimo że na przykład nieopodal dopiero co dało się poprowadzić dwupasmową drogę ekspresową S3 łączącą Szczecin ze Świnoujściem. Trasa pobiegła przez środek istniejącego od 1960 r. Wolińskiego Parku Narodowego.

Na ostatniej prostej za obrzydzanie idei parku wzięli się także pisowscy posłowie z Pomorza Zachodniego. „Nie wiadomo, co tam jest i czy w ogóle jest tam coś do ochrony", uświadamiał widzów propisowskiej telewizji wPolsce24 Marek Gróbarczyk, w latach 2015–20 minister gospodarki wodnej i żeglugi śródlądowej. Zapamiętany jako promotor (montowanego wspólnie z Białorusią) projektu połączenia wodną autostradą Bałtyku z Morzem Czarnym po Wiśle i Dnieprze. Realizacja wymagałaby przekopania kanałów w rejonie Bugu, znalezienia wody do ich wypełnienia i towarów do wożenia, a także wykończenia resztek bagien poleskich i wzruszenia radioaktywnych osadów na dnie Prypeci pod elektrownią w Czarnobylu.

eprasa.pl bb931bc7ab



„Chcemy, żeby minister Marek Gróbarczyk, kiedy wrócimy do władzy, mógł dokończyć dzieło udrożnienia Odry". To już w „Do Rzeczy" poseł Dariusz Matecki, który w epoce Zjednoczonej Prawicy zasłynął jako wirtuoz zabiegania o synekury w Lasach Państwowych. I pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości. Dokonania te prokuratura opisała w skierowanym właśnie do sądu akcie oskarżenia. Matecki zbombardował internet wiadomościami o niszczycielskiej misji parku i zbierał podpisy pod petycją do Nawrockiego. W skrócie: to polityczna i ideologiczna hucpa. Zwiększy zagrożenie powodziowe. Leży w interesie Niemiec, którym blokada rozwoju regionu jest na rękę. Powołanie parku zainicjowały niemieckie stowarzyszenia. W pisowskim języku oznacza to szach-mat i można się rozejść. Ale jest i druga opowieść.

Gryfińska wyrwa

Sondaż przygotowany na zlecenie Ministerstwa Środowiska podpowiada, że 70 proc. Polaków i 86 proc. mieszkańców woj. zachodniopomorskiego jest za powołaniem parku. Zgodzili się na to radni gminy Kołbaskowo, Widuchowa i ze Szczecina, który stałby się pierwszym miastem wojewódzkim z parkiem narodowym. Może z kawałeczkiem, ale zawsze. Zielone światło zapalili też radni powiatu gryfińskiego i zachodniopomorskiego sejmiku.

Tego wszystkiego nie wzięli pod uwagę radni z samego Gryfina, choć 84 proc. mieszkańców ich powiatu opowiedziało się za utworzeniem parku. Rada miejska zagłosowała przeciw. Nie przekonało jej, że to w miasteczku miałaby zostać ulokowana siedziba dyrekcji, co przyciągnęłoby związane z nią etaty. Nie chciał parku pisowski burmistrz oraz m.in. trójka radnych, którzy w ostatnich wyborach ubiegali się o mandaty z list Koalicji Obywatelskiej. Tak w projekcie powstała gryfińska wyrwa, dzieląca park na dwie części. Z 6 tys. dostępnych hektarów ostało się 3,8 tys.

Bezludnemu, należącemu w całości do Skarbu Państwa Międzyodrzu daleko do stanu naturalnego. Dolinę Odry ujarzmiono tu na przełomie XIX i XX w. Z myślą o wypasie bydła i produkcji siana dla koni z armii cesarskich Niemiec prostowano ukształtowane przez rzekę kanały lub kopano nowe. Polscy gospodarze uznali, że taki model się nie opłaca, wymagał m.in. konserwacji ponad stu urządzeń hydrotechnicznych, których ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ od kilkudziesięciu lat nikt nie dogląda i nie remontuje. Zabrano krowy, przyroda wróciła, ale na nowych warunkach. Dawne pastwiska i byłe trawiasto-turzycowe mokradła zarosły trzciną i zaroślami wierzbowymi.

Co ma swoje plusy, bo postępuje samoistna renaturalizacja. Jednocześnie oznacza to wyrok na półnaturalne siedliska łąkowe, dogodne dla wielu gatunków ptaków. A tak się składa, że takie krajobrazy, mokradła, ale bez trzciny, wymagają pilnej troski, bo zanikają nie tylko na Międzyodrzu, ale i w Polsce, i w całej Europie. – *Z tych względów punktowo potrzeba ochrony czynnej. Powinien wrócić wypas bydła i koszenie, niektóre kanały trzeba udrożnić, a być może przywrócić do życia zdewastowane urządzenia hydtotechniczne* – objaśnia Łukasz Ławicki, mieszkaniec Gryfina, członek grupy inicjującej PNDDO, badacz ptaków i redaktor międzynarodowego pisma ornitologicznego „Dutch Birding".

Eksperci twierdzą, że bez udziału parku narodowego operacja zmierzająca do odtworzenia najcenniejszych siedlisk po prostu się nie powiedzie. Międzyodrze dorobiło się 17 zarządców – obok samorządów i parku krajobrazowego to także Wody Polskie czy rozsławiony ostatnio Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Materiał poglądowy jest też pod bokiem. Łąkowy, bliższy naturalnemu krajobraz udało się utrzymać po niemieckiej stronie Odry, lęgną się tam nadal choćby gniazdujące wśród traw i wymierające w Polsce rycyki, kuliki wielkie i krwawodzioby. Po stronie polskiej potrzeba instytucji z większym budżetem i obsadą niż park krajobrazowy. Teraz na Międzyodrzu są szanse jedynie na doraźne projekty, a horyzont trzeba by rozciągnąć na całe dekady.

Odrze się po prostu należy

O wyższych standardach ochrony w tym miejscu myślano od połowy lat 90., gdy powstać miał transgraniczny, polsko-niemiecki park narodowy. – *Nie do końca się udało* – przyznaje Łukasz Ławicki. – *W 1995 r. utworzono tylko część po stronie niemieckiej, a u nas dwa lata wcześniej powołano park krajobrazowy.* Od tego czasu Międzyodrze regularnie badano. Ustalono, że związane jest z nim ok. 240 gatunków ptaków, w tym ponad 20 z czerwonej listy gatunków zagrożonych wymarciem. Na niewielkim obszarze żyją tam duże populacje rybitwy czarnej, zimorodka, bąka oraz kaczek – płaskonosa i krakwy. To ważny teren dla ptaków migrujących, miejsce przystanku w wędrówce i zimowania, w tym jedno z największych w Polsce noclegowisk żurawi i gęsi, odpoczywających tam tysiącami.

Istotne są też walory botaniczne, w tym występujących tam roślin wodnych i regularnie zalewanych siedlisk torfowych, magazynujących ogromne ilości dwutlenku węgla. – *Bagna Biebrzańskie są może wielokrotnie większe, ale na zachód od Wisły nie mamy drugiego takiego obszaru. Także w Europie nie ma zbyt wielu podobnych miejsc w ujściowym odcinku tak dużej rzeki* – podsumowuje Ławicki.

Wyspy między ramionami Odry nie nadają się na przyrodniczy Disneyland. Nie każdy turysta ucieszy się tym, co zobaczy. To raczej mekka dla wiedzących, czego się spodziewać. Obszar najłatwiej dostępny jest z wody, najlepiej kajakami i od kwietnia do czerwca, gdy rozśpiewany jest ptasim trelem. Na wiele zarośniętych kanałów nie da się wpłynąć. Nielicznymi ścieżkami, m.in. po dawnych wałach przeciwpowodziowych, da się przejść, choć trzeba przedzierać się przez chaszcze. Wytyczenie szlaków to też zadanie dla parku. Jego rolą byłoby prowadzenie zarybiania. Taka perspektywa przekonała miejscowych rybaków





z ostatniej w Polsce spółdzielni rybackiej Regalica. Liczących na to, że udrożnienie kanałów wprowadzi więcej lepiej natlenionej wody i poprawi warunki dla ryb.

Właśnie ryby, ale martwe i płynące do góry brzuchami w zatrutej rzece, były impulsem powrotu do idei powołania parku. 2022 r. zapamiętano jako „rok, w którym Odra umarła".

– *Z naszych badań wynika, że na Międzyodrzu skala śmiertelności była najmniejsza, to tu małże i ryby znalazły najlepsze schronienia* – mówi Łukasz Ławicki. – *Park nie byłby remedium na wszystkie problemy Odry, zasolona woda zrzucana jest przecież przez śląskie kopalnie. Miał jednak pokazać, że Odra zasługuje na ochronę ze względów przyrodniczych i że po tak wielkiej katastrofie coś się jej po prostu należy.*

W takiej atmosferze zawiązała się grupa złożona z miejscowych przyrodników, społeczników i fotografów. Z wyczuciem przeprowadzili wzorową, niekonfrontacyjną kampanię uświadamiania mieszkańców i samorządowców. Jej dobrym duchem stał się Ryszard Matecki, „grafik, ilustrator, bajkopisarz, regionalista, autor przewodników, publikacji i filmów o Zachodnim Zakolu Odry". A prywatnie stryj posła Dariusza Mateckiego, niekibicujący politycznym i etycznym wyborom bratanka.

Skuteczność inicjatywy dostrzegła po 2023 r. nowa ekipa rządowa, która doprowadziła do przyjęcia ustawy powołującej park. To zaś zdopingowało opozycję do wzbudzania i podsycania lęków o to, że nie będzie można rozpalać grilla w przydomowych ogrodach, o zakaz budowy nowych domów albo

eprasa.pl bb931bc7ab

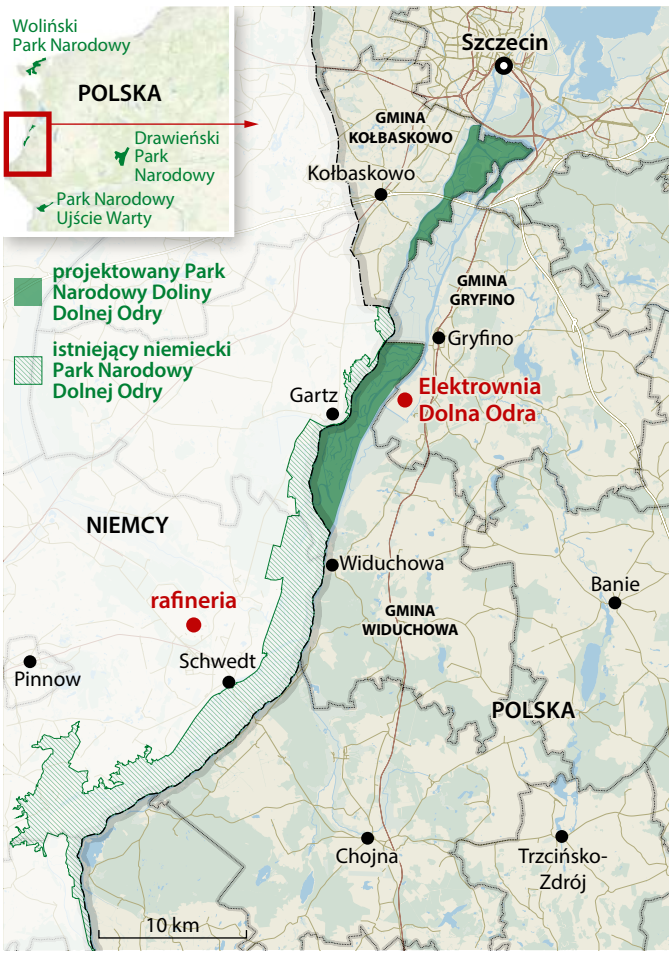

paraliż inwestycji przy Elektrowni Dolna Odra, zamykającej bloki węglowe, przechodzącej na gaz i uwalniającej przyzakładowe hektary.

Dwa podejścia do przyrody

– *Niestety, ochrona przyrody stała się zakładnikiem polaryzacji politycznej* – przyznaje Mikołaj Dorożała, wiceminister środowiska i główny konserwator przyrody. – *Gryfino w swojej strategii postuluje „uwolnienie energii Międzyodrza". Nie znam na to lepszego sposobu. Na przyszły rok czeka zarezerwowane 19 mln zł, zapewniamy żeglowność Odry, utrzymanie drogi wodnej, park nie zablokuje żadnych inwestycji, wyręczy licznych gospodarzy. Woliński Park Narodowy istnieje od 65 lat. Nie tylko nie zagroził Świnoujściu, ale też stał się magnesem przyciągającym turystów.*

Spór o park nad Odrą wpisuje się w stałą kolizję dwóch podejść do przyrody. Użytkowo-utylitarne stawia w centrum człowieka, postrzega środowisko jako zasób, który należy zdominować i eksploatować. Z kolei perspektywa ekosystemowa nakierowana jest na ochronę procesów przyrodniczych. Skoro nie jesteśmy w pełni świadomi zasad funkcjonowania środowiska, to może lepiej ograniczyć interwencję. Choć taka czasem – jak na Międzyodrzu – jest niezbędna, by ratować to, co zostało zniszczone ludzkimi działaniami. – *Tradycyjnie w Polsce dominuje podejście pierwsze. Dlatego zdecydowana większość parków narodowych powstała w latach 50. i 90., po wojnie i upadku PRL* – stwierdza Krzysztof Niedziałkowski, prof. Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, badający społeczne i polityczne aspekty ochrony przyrody. Po 1989 r. w resortach pojawili się nowi ludzie. Kiełkujące organizacje pozarządowe oraz działający od lat biolodzy i w ogóle naukowcy mieli do nich bezpośredni dostęp. – *Do tego w latach 90. każda kilkusetosobowa demonstracja zwołana w Warszawie przyciągała uwagę telewizji i prasy, co wywierało skuteczną presję na wciąż mało doświadczonych polityków* – zauważa prof. Niedziałkowski.

Z drugim podejściem, ze światem nauki, organizacji pozarządowych i aktywistami, próbuje flirtować koalicja rządowa. Nieśmiało i nierówno, jakby pomijała, że Polska ulega silnemu i uniwersalnemu trendowi. – *Wraz ze wzrostem zamożności coraz więcej uwagi zwracamy na stan przyrody* – wskazuje prof. Niedziałkowski. – *Interesuje nas, czym oddychamy. Czujemy się lepiej, wiedząc, że gdzieś w okolicy są dzikie zwierzęta. Możemy ich nie spotykać, ale mamy poczucie, że otacza nas środowisko wysokiej jakości.*

Co do zasady, taką postawę prezentują osoby lepiej wykształcone, mieszkające w większych miastach, bardziej mobilne. – *Widzimy, że PiS kieruje swój komunikat do osób trochę słabiej wykształconych, trochę mniej zamożnych, spoza dużych ośrodków.* Według prof. Niedziałkowskiego taki obrót spraw czyni ochronę przyrody kwestią atrakcyjną dla polityków. Bo o ile wcześniej kruszyli o nią kopie głównie naukowcy z leśnikami lub rolnikami, o tyle teraz dołączyli politycy. I konkretnym grupom mówią to, co wyborcy lubią słyszeć.

Na fali wyborczego entuzjazmu 2023 r. do umowy koalicyjnej wciągnięto wyłączenie 20 proc. państwowych lasów z ostrej eksploatacji i zwiększenie powierzchni parków narodowych („w porozumieniu z lokalnymi społecznościami"). – *Obecnie gospodarka nie jest prowadzona na niespełna 8 proc. lasów* – przyznaje Mikołaj Dorożała. – *Zakładamy, że do końca 2027 r. dojdziemy do 11 proc. wyłączonych lasów najcenniejszych przyrodniczo. Pozostała pula 9 proc. stanie się tzw. lasami społecznymi, gdzie gospodarka będzie wyłączana lub modyfikowana. Powinno się to stać do 2030 r.*

Rząd mimo nacisków nie decyduje się na arbitralne dojście do 20 proc. jednym pociągnięciem pióra. Także dlatego, że proces typowania lasów społecznych wokół kilkunastu aglomeracji kompletnie się wykoleił. Tak w praktyce wygląda starcie frakcji utylitarnej i ekosystemowej. – *Rząd zderzył się z rzeczywistością* – komentuje prof. Krzysztof Niedziałkowski. – *Lasy Państwowe okazały się mocne, sprzyja im też opozycja. Koalicjanci kalkulują, czy opłaca im się zaogniać konflikt. Trzeba jednak przyznać, że nad Odrą zrobiono bardzo dużo. To pierwszy proces tworzenia parku, który był tak zaawansowany, wsparty poważnymi finansami i tak szeroko skonsultowany.*

Kciuki za Park Narodowy Doliny Dolnej Odry trzyma też 5,5-tysięczna gmina Widuchowa. Z blisko 4 tys. parkowych hektarów 2,5 tys. leży na jej terenie. Obecnie dostaje z tego tytułu śladowe podatki, ale już wprowadzona przez obecny rząd subwencja ekologiczna oznaczałaby ok. 1,1 mln zł co roku – znaczny zastrzyk do skromnego budżetu. – *Z niecierpliwością czekamy na podpis pana prezydenta* – deklarował pod koniec października zastępca wójta Widuchowej Andrzej Stachura. – *Nie mamy przemysłu. Mamy za to obszary użytkowane rolniczo, piękne lasy i Międzyodrze. Liczymy, że powstanie u nas centrum informacyjno-edukacyjne, czekamy na szanse dla lokalnych przedsiębiorców i na turystów. Widzimy z okien niemiecki brzeg i dostrzegamy, że tam park narodowy niczemu nie przeszkadza.*

JĘDRZEJ WINIECKI

© SHUTTERSTOCK (2), LECH MAZURCZYK

eprasa.pl bb931bc7ab



Z życia Żabki

W Polsce jest już 12 tys. Żabek, ciężko wyjść z domu i żadnej nie zobaczyć. Ale co widać w nich od środka? Aby się o tym przekonać, sam zatrudniłem się w jednej z nich.

ZBIGNIEW BOREK

Jest 5.45, 15 minut do otwarcia, zaczynam pierwszą zmianę w Żabce. Sprawdzam bagietki, kajzerki, paluchy, wołowinery (do odgrzania na miejscu albo na wynos), sushi, gyros, sałatki, zupy i obiadowe klasyki, jak schabowy z zasmażką czy pyzy z mięsem. Zgodnie z zasadą „fi-fi" (*first in – first out*): to, co weszło (do sklepu) pierwsze, jako pierwsze ma wyjść. Ustawia się w rzędzie, z przodu z najkrótszymi terminami przydatności do spożycia, z tyłu z najdłuższymi (gdy w ciągu dnia pierwszych ubędzie, drugie będziemy dosuwali). Jeśli termin kończy się dziś, cenę obniżamy o połowę. Jeżeli skończył się wczoraj, towar jako sterminowany (nikt inaczej nie mówi) schodzi z półki.

W strefie gastro terminy są stosunkowo krótkie, ale „fi-fi" obowiązuje w całym sklepie, na innych działach pilnuje się tego zwłaszcza przy dostawach (o nich niżej). Angela (Angelika) i Ewcia (Ewelina) dosypują kawy i dolewają mleka do kawomatu, rozgrzewają roller pod kiełbasy, odgrzewają mrożone pieczywo. Jest też świeże (o tym decyduje ajent): o 6.03 lokalny piekarz wnosi trzy kosze po osiem bochenków, wynosi sterminowane (po 9.00 podobnie zrobi cukiernik). 6.07 – pierwsza klientka, miód, jogurt, ryżowe wafle. 6.15 – dziesięciu, pierwsza fala idzie do firm i biur. Ekspresowo kupują, płacą, wychodzą. Częściej

eprasa.pl bb931bc7ab



© SHUTTERSTOCK

bułki niż chleb, ciepłe niż zimne, papierosy, ciastka, kawa. – *Niektórzy są uzależnieni od naszej kawy* – mówi Ewcia. Pani z latte przy kawomacie się uśmiecha.

Fale klientów będą płynąć przez cały dzień. Przed 8.00 dzieciaki (idą do szkół), przed 10.00 znowu dorośli (niektórzy zaczynają pracę), od 12.00 dzieciaki ze szkół, między 14.00 a 16.00 dorośli z pierwszej i na drugą zmianę, po 18.00 ci, którzy byli przed 10.00, po 22.00 – po drugiej zmianie i kupujący coś na wieczór i rano. W sobotę, jeszcze częściej w niedzielę, Żabkę zalewa powódź klientów (dlatego z ulgą przywitano tu otwarcie konkurencyjnej na tej samej ulicy). Dziś jest jednak czwartek. Powodzi niby nie będzie, ale fale przypłyną też znikąd i będą się kumulowały. – *Najgorzej w wakacje. Tłumy dzieciaków od rana do nocy. Jedzą u nas śniadania, obiady i kolacje: frytki, nuggetsy i pizzę* – mówią Angela i Ewcia, z którymi popracuję do 14.30. Drugą zmianę – z Anią i Damianem (do 23.00).

Na krótkiej smyczy

Damian jest najmłodszy wiekiem (19 lat) i stażem (pół roku). Kucharz po zawodówce, po kilku epizodach w fastfoodach nie polubił fachu. Ewcia, 26 lat, absolwentka technikum hotelarskiego, też zrezygnowała z wyuczonego zawodu i pracuje w Żabce od czterech lat. Angela, 31 lat, córka ajentki. Pomagała mamie już jako gimnazjalistka, po studiach (ekonomia) na etacie. Ania ma córkę w wieku Damiana i trochę mu matkuje. Z całego personelu najbardziej doświadczona w handlu (przeżyła nawet napad, przez następne pół roku wyganiała ze sklepu każdego, kto wchodził w kapturze). Z Basią pracuje od 14 lat.

„Tu się liczy tylko zdanie Basi" – głosi napis na drzwiach biura. Barbara jest franczyzobiorczynią. Do Żabki trafiła 22 lata temu. Zaproponował znajomy, gdy na bezrobociu sprzątała bank. Po trzech latach łączenia jednego z drugim powiedziała sobie: teraz albo nigdy. Rozmowa kwalifikacyjna, szkolenie, egzaminy i pierwsza Żabka w 2006 r. Później ciągnęła jednocześnie dwie i Freshmarket, zawsze po kimś. Marzyła o nowej i się trafiła w 2013 r. Dla niej zrezygnowała z pozostałych biznesów. Nowa nie jest ciasna jak poprzednie (140 m kw. sali sprzedażowej), ulokowana na młodym osiedlu (w Gorzowie Wielkopolskim), mogła ją poukładać od zera: na ścianach dyplomy dla sklepu, certyfikaty Basi jako trenerki ajentów, ekipa zgrana, rotacja pracowników prawie żadna.

Formalnie franczyzobiorca (czyli franek, jak sami siebie nazywają) jest niezależnym przedsiębiorcą: prowadzi własną działalność gospodarczą, zatrudnia ludzi, zarządza placówką (tak też centrala zwykle odpowiada na zarzuty o nieprawidłowościach). – *Niby na swoim, ale prawie wszystko mamy narzucone z góry. 95 proc. produktów dostajemy z sieci i co chwila jakieś dorzuty, bo promocja. Całe życie przepracowałam w handlu, sama wiem, co mi schodzi najlepiej, ale psu na budę taka wiedza* – mówi ajentka nr 1.

Ona i dwoje innych zgadzają się rozmawiać pod warunkiem pełnej anonimowości. – *Chodzimy na krótkiej smyczy* – tłumaczy nr 2. Według nich Żabką rządzi dziś nie ajent, lecz cyberstore. To stworzony przez sieć system, który prowadzi franka i jego ludzi za rękę. Pokazuje, co i jak się sprzedaje (nawet co 15 minut), gdzie na trasie jest kierowca z towarem, generuje zamówienia. Na komputerze, telefonie lub tablecie (jak u Basi) wyświetla checklistę (klikasz, jeśli wykonałeś). Do 8.00: przygotuj parówki do rozmrożenia, uruchom stanowiska kasowe, skontroluj czystość wejścia, wyłóż parówki na roller-grill, przygotuj kawomat do pracy, rozmróż i podpiecz pierwszą partię pieczywa, wyłóż rozmrożone pieczywo na regał, odpiecz drugą partię pieczywa, przeprowadź kontrolę dat ważności, sprawdź świeżość warzyw i owoców – wykonaj protokół likwidacji, zaktualizuj etykiety cenowe. – *Podpowiada, kiedy umyć podłogi i zamknąć sklep, jakbyśmy same na to nie wpadły* – komentują Angela (sprawdza stan leków i cenówki) i Ewcia (siłuje się z kawomatem, bo szwankuje).

Cyberstore dyktuje, co ma być na półkach: minimum 2 kg bananów, jabłek 4 kg, dwa pudełka winogron, każdej kanapki po dwie sztuki, bułek z pieca 15 (co najmniej cztery rodzaje po trzy sztuki), na rollerze sześć kiełbas (przy promocji więcej). Ale nie tylko dlatego ajenci czują się ubezwłasnowolnieni i poddani totalnej kontroli. – *Naszym przełożonym jest partner. Co rusz pyta, czemu tak mało sprzedajemy. Ja go nawet rozumiem, bo jego ciśnie menedżer, którego też ciśnie ktoś z góry* – opowiada ajentka nr 1. – *Jesteśmy na widelcu. Losowo wybrani klienci oceniają obsługę w sklepowej aplikacji. W każdej chwili do sklepu może wejść „tajemniczy klient" (czyli anonimowy przysłany przez centralę)* – mówi nr 2.

Nr 3: – *Znienacka wpadają audytorzy. Czepiają się drobiazgów. Wystarczy, że klient kupił piwo, kolejnego nie dosunęliśmy do brzegu i mamy dziurę na półce.* Audytor przyznaje punkty za przestrzeganie standardów sieci. Od tego zależy zarobek ajenta, ten zaś „nie jest już taki jak dawniej". – *Jak zarobię w miesiąc 8 tys. na rękę, to mam święto lasu* – mówi ajent nr 2. Nr 3: – *Częściej* ▶

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ *5 tys., a bywało i 2 tys., bo nie mogłam stanąć za ladą i trzeba było zatrudnić dodatkową osobę. Odechciewa się pracować i żyć.*

Odejść też niełatwo. – *Wraz z franczyzą, żeby sieć była zabezpieczona, podpisujemy weksle in blanco. Jeszcze bardziej zatrzymują nas podatki: dochodowy czy VAT. Jak towar sprzedany, trzeba się rozliczyć, a w handlu pieniądz robi pieniądz. Trudno zapłacić wszystko tak nagle* – mówi ajentka nr 1. Wylicza, że średnią Żabkę można zamknąć, gdy się uzbiera 70 tys. zł.

Ajentka nr 3 (najpierw ekspedientka, od czterech lat franek) skarży się na pracowników. – *W papierach mają dyscyplinarki za kradzieże i picie za ladą, trzeba im patrzeć na ręce. A jak ktoś się sprawdza, zaraz szuka innej pracy. Od początku pracuje u mnie tylko jedna osoba* – mówi. Sama płaci najniższą krajową, ok. 23 zł za godzinę, ale zna Żabki, gdzie wychodzi 18 zł: – *Dziewczyna z odzieżowego tu do pracy nie przyjdzie, bo ma większe pieniądze i prestiż.*

Na facebookowej grupie „Żabka – Franczyza – Forum Dyskusyjne" (42,1 tys. uczestników) pracownicy zaglądają do kieszeni frankom, ci pracownikom, jedni i drudzy audytorom. Sytych brak. Taksówkarz z krakowskiego Bolta (zarabia 8–9 tys. na rękę, myśli nad franczyzą) dopytuje, skąd wobec tego biorą się nowe Żabki. Odpowiedzi pączkują jak forsycja na wiosnę. „Bo ludzie to durnie". „Bo ktoś chce być prezesem". „Bo mało jest osób wyciągających lekcje z cudzych błędów". Albo: „To nie Żabki rosną jak grzyby po deszczu, to franczyzobiorcy zmieniają się jak w kalejdoskopie". Franki złorzeczą na brak wolnych weekendów i urlopów. „Jak otworzysz ten sklep, będziesz dyspozycyjny przez 17 godzin dziennie siedem dni w tygodniu" – ostrzega jeden. „Większość wytrzymuje rok, dwa, weterani pięć lat, bo Żabka to ciągły stres. Żyj sobie spokojnie, jak żyjesz" – radzi taksówkarzowi z Bolta drugi. Powtarza się określenie „patobiznes".

– *Początkujący myślą, że się leży i pachnie* – mówi Barbara Kozłowska. Nawet ona odlicza miesiące do emerytury. Angela nie zamierza przejmować biznesu po mamie. Damian i Ewcia nie widzą siebie w Żabce za 10 lat. – *Jesteś kasjerką, to obsługujesz klientów, ale jak nie ma klientów, to jest inna robota. Na okrągło* – mówi Anna. Ceni jednak atmosferę u Basi i kontakt z klientami. Tak często powtarza im: „Dziękuję, zapraszamy ponownie", że gdy sama była na zakupach w Biedronce, kasjerce też podziękowała i zaprosiła ponownie.

Nie przypadek, lecz strategia

Klienci przybywają chętniej, gdy przyjeżdża towar. – *Jakby obserwowali nas z okien i czekali na okazję* – zauważają dziewczyny (ekspert nazwie to sprzedażą impulsową). Latem pełne dostawy są codziennie, jesienią codziennie tylko mrożonki, nabiał – oprócz środy, pozostałe: poniedziałek, wtorek, czwartek. O 8.33 rolnik z okolicy przywozi worek ziemniaków (później są porcjowane na woreczki), ogórki, jabłka, kiszoną kapustę. Część wykładamy na półki, nadmiar do chłodni na zapleczu. O 8.50 zajeżdża mroźnia: nabiał i dania gotowe. Cały dzień kurierzy. Najbardziej objuczony o 12.55: przywozi 37 paczek, zabiera 26. Chwilę później, o 13.03, największa dziś dostawa: piwo, napoje, sucha spożywka, dwie i pół palety na wysokość dorosłego człowieka.

Angela wkłada sorty do wózka sklepowego. Ja z Ewcią rozwozimy towar do jednego z trzech magazynów na zapleczu albo prosto pod półki. Skąd wiadomo co i gdzie? Z głowy i z „fi-fi": jak siedzisz w sklepie dzień w dzień, to wiesz, że mąka tortowa zaraz wyjdzie (wtedy towar pod półkę), a źródlanego Żywca jest dość (wtedy do magazynu na wodę). Pomaga druga zmiana i szefowa,

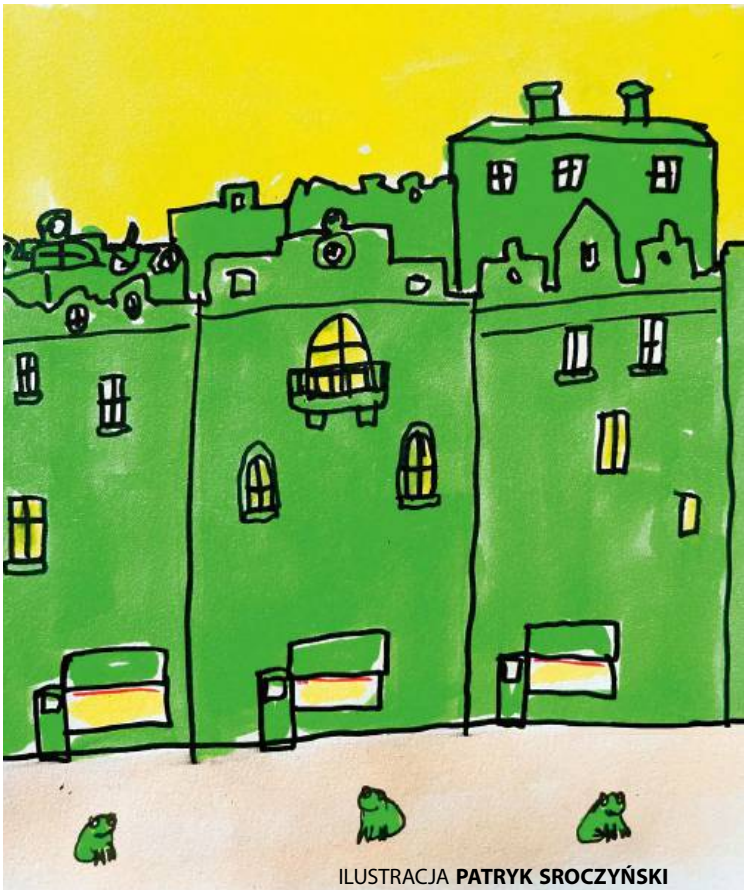

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

ale pot i tak cieknie po plecach, bo klientów obsługuje się non stop (Żabkę zamyka się na dwa dni w roku; nawet inwentaryzację robi się nocą). 37 minut zajmuje rozładunek z palet, 95 minut – dokładanie półek.

Wszystko się mieści, bo przed dwoma laty sklep przeszedł remodeling: odchudzono salę sprzedaży (*Sprytnie wstawili węższe regały i klienci chwalili, że zrobiło się przestronniej* – mówi Ewcia), żeby powiększyć zaplecze. Ale i tak skrzynki po piwie stoją nawet obok sedesu. Palety zostawiliśmy przed sklepem. Nazajutrz zabierze je dostawca (i zostawi pełne).

– *To nie przypadek, to strategia. Większość miast zezwala na załadunek i wyładunek trwający nie więcej niż godzinę, ale puste palety stoją przy wielu Żabkach w Polsce całymi dniami* – mówi Jerzy Lipiński, który zajmuje się tworzeniem i wdrażaniem strategii firm. – *Omijając przepisy, sieć zajmuje chodniki i ciągi piesze. Zaśmieca więc przestrzeń publiczną, ale to pozwala otwierać sklepy w miejscach, w których nie powinny działać właśnie dlatego, że nie dysponują wystarczającym zapleczem* – mówi Lipiński. Obliczył, że skoro Żabka ma 12 tys. sklepów i przed każdym leżą dwie palety (0,96 m kw. każda), to zajmuje ponad 2 ha. – *Przy średnim czynszu 70 zł za m kw. wychodzi ok. 1,6 mln zł miesięcznie i 19 mln zł rocznie „oszczędności". A nie liczymy ogrzewania, klimatyzacji, ubezpieczenia magazynu czy nakładów na remonty* – dodaje. Korporacja nie ponosi tu żadnego ryzyka, bo ewentualny mandat dostaje franczyzobiorca. – *Przed Żabkami stoją też pełne kontenery i zgrzewki z towarem, a to darmowa reklama w 3D, która sprzyja tzw. sprzedaży impulsowej: duża ilość plus świeża dostawa sprawiają, że klient kupuje częściej.*

eprasa.pl bb931bc7ab

Lipiński przygląda się sieci, odkąd się zorientował, że jego 11-letnia córka regularnie sama robi w niej zakupy. Doszedł do wniosku, że Żabka zachowuje się jak fabryka uzależnień i stosuje zaawansowane taktyki behawioralne: – *Zgubne jest promowanie produktów z ogromną ilością cukru, substancji pobudzających i nasyconych tłuszczów: słodyczy, chipsów, przekąsek. Im więcej ich jemy, tym silniej łakniemy, a w Żabce nowość goni nowość, zewsząd atakują nas agresywne reklamy. Jeśli można kupić śmiesznie tanie piwo i jeszcze dostaje się zdrapkę, to taka promocja łączy silnie uzależniające czynniki – alkohol i hazard. W ten sposób kreuje się niezdrowe nawyki na masową skalę, bo każdy ma Żabkę koło domu, parku, pracy.*

Ekosystem biznesowy

W dziewięciu na dziesięć kontrolowanych Żabek Państwowa Inspekcja Pracy (PIP) stwierdza nieprawidłowości (od początku 2024 r. takich kontroli było prawie 200). Najczęściej dotyczą naruszenia zasad bhp. Za łamanie praw pracowniczych inspektorzy nałożyli 64 mandaty, o jednej sprawie powiadomili prokuraturę (brak zgłoszenia do ubezpieczenia społecznego). PIP badała też prawie 1 tys. skarg. Najczęściej dotyczyły konieczności pracy w niedzielę lub innym dniu formalnie wolnym, braku umowy na piśmie i niewypłacenia wynagrodzenia. Niektórych skarg nie dało się zweryfikować, ale co czwarta okazała się zasadna.

Jan Śpiewak, socjolog i działacz społeczny, uzupełnia listę zarzutów o niszczenie małych sklepów i życia ajentów. „Media wielokrotnie informowały o przypadkach samobójstw, depresji i wpędzaniu franczyzobiorców w koszmarne długi. Ajenci spędzają w sklepach często każdą wolną chwilę, rujnując swoje życie rodzinne i zdrowie" – napisał ostatnio w social mediach, krytykując dziennikarkę i podróżniczkę Martynę Wojciechowską za udział w społecznej kampanii Żabki. Samą kampanię nazwał wybielaniem wizerunku sieci. Cieniem na tym wizerunku położyła się książka z 2015 r. „Dekada ajentów", której autorka Joanna Jurkiewicz miesiącami badała franczyzę w Żabce i opisała złe praktyki. Książka przeszła cały cykl redakcyjny i kilka etapów korekty, miała pełne finansowanie i gotową okładkę, ale ostatecznie nie ukazała się w druku, co tłumaczono zagrożeniem procesowym.

Biuro prasowe Żabki nie zna powodów niewydania książki (choć sieć korespondowała z autorką i wydawcą w imię „prawdziwości prezentowanych danych"). Podkreśla, że Żabki prowadzą kampanie edukacyjne, alkohol i papierosy sprzedają jak inne sklepy, wprowadzają za to nowe kategorie kanapek, sałatek i świeżych dań obiadowych bez konserwantów. „W 2024 r. ponad 63 proc. wartości sprzedaży marek własnych stanowiły produkty wspierające zrównoważony tryb życia. Ich wartość osiągnęła 1,83 mld zł, co oznacza dziewięciokrotny wzrost w ciągu czterech lat" – czytamy w odpowiedzi na pytania POLITYKI.

Biuro prasowe dowodzi, że ajenci nie muszą podpisywać weksla in blanco (bo mogą wybrać gwarancję bankową lub ubezpieczeniową czy opłatę kaucyjną). Na wypadek zakończenia współpracy, gdy są pod kreską, mogą skorzystać z „Polisy na biznes". Ryzyko prowadzenia sklepu poza siecią jest jednak większe, bo „franczyzobiorcy otrzymują gotowy, w pełni wyposażony i zatowarowany sklep", a obowiązkowy wkład własny to nie więcej niż 5 tys. zł. Od 2018 r. sieć bada poziom ich satysfakcji, notując jej „konsekwentny wzrost". Cyberstore, wizyty audytowe i „tajemniczy klient" to „narzędzia wspierające", a co miesiąc niemal 1 tys. franczyzobiorców z najlepszymi wynikami dostaje możliwość samodzielnej weryfikacji swoich sklepów. Niemal połowa z ponad 10 tys. franczyzobiorców prowadzi sklep trzy lata i więcej (rekordzista – od 2001 r.). W ekosystemie biznesowym Żabki, jak to nazwano, jest 68 tys. miejsc pracy. W ciągu pięciu ostatnich lat przychody ze sprzedaży w sklepach sieci wzrosły niemal trzykrotnie: z 10,1 mld do 27,3 mld zł, a skorygowany zysk netto ze 191 mln do 714 mln zł. W 2019 r. klienci kupili ponad 7 mln kaw i 36 mln hot dogów, a przed rokiem 39 mln kubków kawy i 85 mln hot dogów. W całej sieci w zeszłym roku nadano i odebrano 46 mln paczek.

Już dziś ponad 18 mln osób mieszka nie dalej niż 500 m od najbliższej Żabki. Strategia grupy zakłada otwieranie ponad 1,3 tys. sklepów rocznie, do końca 2028 r. powinno być ich 16 tys., a potencjał rozwoju szacuje na 27 tys. placówek (w tym 7,6 tys. w Rumunii, gdzie jest obecna od 2024 r. pod marką Froo). „Przy okazji" Żabka stała się – jak to określa – największą siecią kawiarni i kanapkarni w Polsce.

Rytuał trzepaka

Czasów przed Żabką nie pamiętają już Maciej, Paweł, Adam i Szymon, informatycy po dwudziestce z poznańskiego osiedla Winogrady, którzy w samo południe wyskoczyli z biura na pizzę, zapiekankę i panini. To rytuał: rano nie jedzą śniadania, żeby dłużej pospać, do Żabki goni ich głód. – *Zawsze coś na ciepło, smak OK, cena też.* Lubią to, że w każdej Żabce jest to samo, bo „człowiek nie szuka przecież w takim sklepie niespodzianek". Większość klientów nie używa koszyka, zakupy mieści w ręku, ale Danuta, emerytka, lat 76, wychodzi z pełną torbą: bułki, dwie Kasie, litr mleka, wędlina, parówki. – *Blisko, a z aplikacją nie tak drogo* – mówi. Żabka to dla niej Żabka, słowo „sklepy" rezerwuje dla „tych wszystkich innych", których nie lubi, bo „jak człowiek wejdzie między półki, zaraz kupi coś, czego wcale nie chciał". Podoba jej się też to, że w Żabce może płacić rachunki.

Żabka przy Londyńskiej w Gorzowie działa trochę jak dawniej trzepak: dzieciaki gromadzą się i wpadają do środka chmarami. Najmłodsi (samodzielnie kupują nawet pięciolatkowie) chcieliby kupić wszystko i przy kasie co rusz brakuje im pieniędzy. Trochę starsi polują na Wojanka, napój sygnowany przez popularnego youtubera Wojana, który stał się przebojem Żabki i przekleństwem sprzedawców. – *Nie pomagają kartki na drzwiach, że Wojanka nie ma. Znajoma chciała ostatnio wydobyć dla syna spod lady* – mówi Angela przy darciu kartonów.

Darcie nie omija nikogo, paski upycha się do worka (przez cały dzień uzbierają się dwa i trzeci do połowy), do osobnego folie (będzie półtora). Porządek zakłócają tylko palety z piwem między regałami (wymóg sieci, żeby klient „aż się potykał"). Po 18.00 jego sprzedaż rośnie. Tu klient nie jest awanturujący się, ale od ajentów nr 1, 2 i 3 słyszałem o tych, którzy rankiem kupują tani alkohol za pieniądze ze sprzedaży złomu, a wieczorem dopijają się przed sklepami na nockę.

O 19.00 Damian śmiga mopem na zapleczu, później razem śmigamy po sali sprzedażowej. Do 23.00 trzeba jeszcze zamieść okruchy pod pieczywem, umyć roller i piec, opróżnić mlecznik, zrobić raport kasowy i dołożyć półki, żeby nie zostawiać dziur pierwszej zmianie. I cały czas obsługiwać. Ostatni klient (piwo, kanapka) wychodzi o 22.57.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl bb931bc7ab

Horror w domach seniora

Prywatne domy seniora wyręczają państwo: szybciej, a niejednokrotnie także taniej, można tam znaleźć miejsce dla starszej osoby wymagającej opieki. Problem w tym, że tego typu placówki podlegają jedynie iluzorycznej kontroli. A gdy tej brakuje, dochodzi do sytuacji, które burzą krew.

AGNIESZKA SOWA

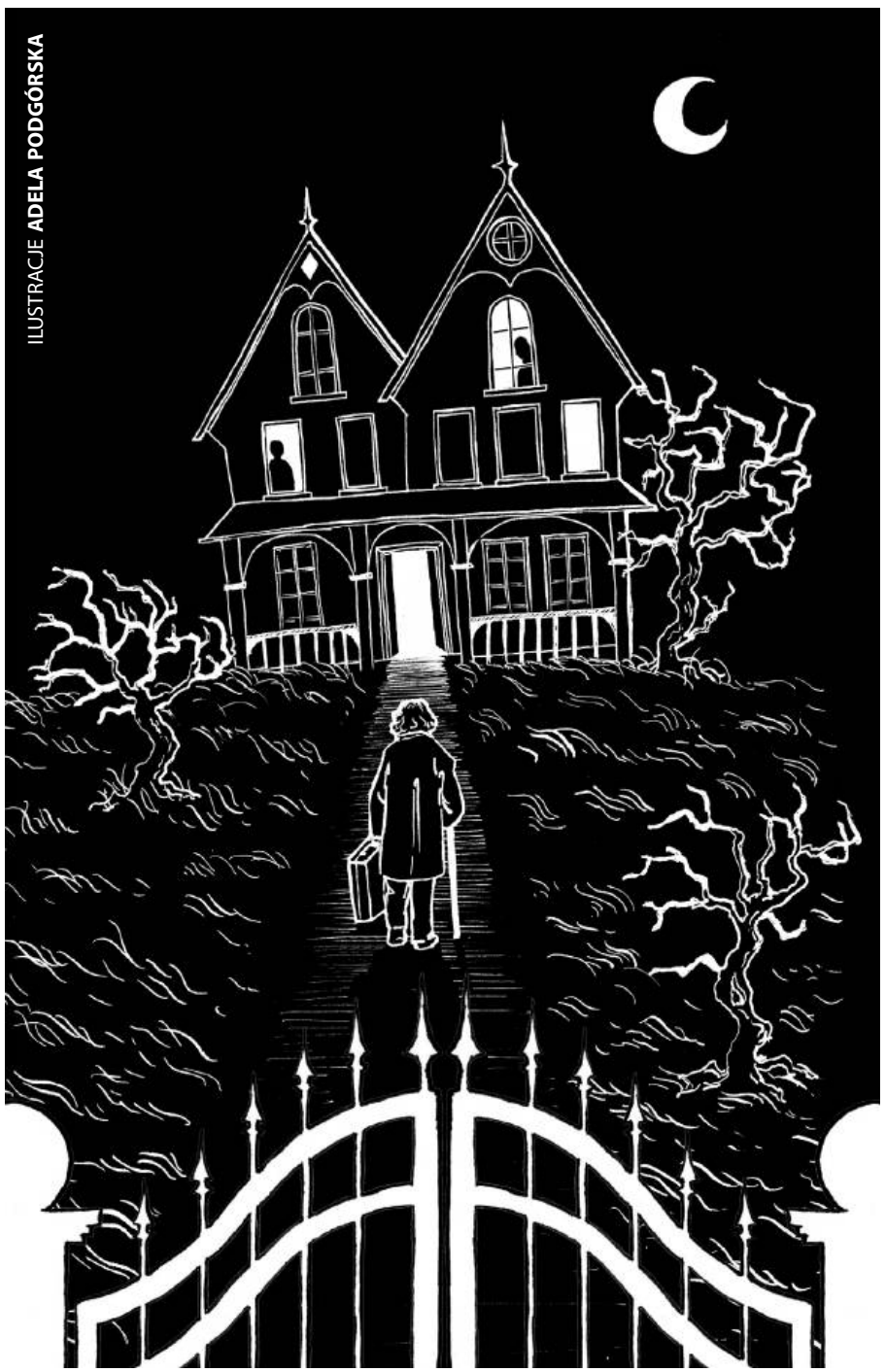

ILUSTRACJE ADELA PODGÓRSKA

Pana Krzysztofa, lat 74, na SOR szpitala w Cieszynie z prywatnego domu seniora przywiozła karetka. Nieprzytomnego, w stanie krytycznym, na granicy wydolności krążeniowo-oddechowej, we wstrząsie septycznym. Z brzuchem twardym jak deska. Pacjent w trybie pilnym poszedł na stół operacyjny. I mimo że nie miał „zewnętrznych cech świeżego urazu na klatce piersiowej, plecach, brzuchu", po otwarciu jamy brzusznej okazało się, że ma „ropne zapalenie jamy otrzewnowej, krwiak zaotrzewnowy z objęciem pęcherza moczowego, rozerwany pęcherz moczowy z wyciekiem moczu do jamy brzusznej, krwiak powłok brzucha". Wstrząs septyczny z uszkodzeniem nerek i wykrzepianiem wewnątrznaczyniowym, zapalenie otrzewnej i niedokrwistość były, według lekarza, powikłaniami pourazowymi.

– *Lekarz operujący pana Krzysztofa dokonał zgłoszenia do Komendy Powiatowej Policji w Cieszynie, ponieważ nie mógł z całą pewnością wykluczyć udziału osób trzecich* – mówi dr n. med. Miłosz Zarzecki, p.o. zastępca dyrektora ds. medycznych Szpitala Śląskiego w Cieszynie. – *Jednak, jak zaznaczył, do takiego urazu mogło dojść np. w wyniku nieszczęśliwego upadku. Do teraz nikt z pracowników Szpitala Śląskiego w Cieszynie nie był w tej sprawie przesłuchiwany.*

Pan Krzysztof od roku był leżący, poruszał się tylko na wózku.

Chirurg zawiadomił policję tego samego dnia, w którym operował pacjenta, czyli 21 sierpnia. Jednak dopiero 4 września policja zapukała do domu opieki. Nie zabezpieczono monitoringu, bo właściciel oświadczył, że nadpisuje się po 12 dniach.

Syn pana Krzysztofa, Bartosz, mówi, że lekarz operujący jego tatę przypuszcza, że uraz miał miejsce kilka, a może nawet kilkanaście dni wcześniej. Był u ojca na początku sierpnia i nic go nie zaniepokoiło.

eprasa.pl bb931bc7ab

Po operacji pana Krzysztofa w stanie krytycznym, zaintubowanego, podłączonego do aparatury podtrzymującej życie, przeniesiono na Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii. Syna poinformowano o złych rokowaniach. Ten jeszcze ze szpitala zadzwonił do właściciela domu seniora i rozwiązał umowę.

Po operacji stan pana Krzysztofa się nie poprawiał, mimo że zakażenie udało się opanować. Pacjent nie odzyskał przytomności. Przyczyną było najprawdopodobniej – jak określili lekarze – „krańcowe wyniszczenie organizmu". Konsylium lekarskie podjęło decyzję o leczeniu paliatywnym. Pan Krzysztof zmarł 31 sierpnia. Po śmierci ojca pan Bartosz z dokumentacji dowiedział się, co oznaczało „krańcowe wyniszczenie". „Tkanka podskórna w zaniku – obraz ciężkiego niedożywienia". Te słowa z opisu badania jego ojca zapamięta do końca życia.

Postępowanie prokuratorskie z art. 155, nieumyślnego spowodowania śmierci, jest prowadzone w sprawie. Pierwotna przyczyna zgonu według dr. hab. n. med. Rafała Skowronka, patomorfologa, który przeprowadzał sekcję zwłok, to zapalenie otrzewnej, a wtórna – wstrząs septyczny. Nie można ustalić, czy krwiak w okolicy pęcherza miał charakter pourazowy, czy samoistny. W protokole z sekcji zwłok nie ma nic o rozerwanym pęcherzu – był zoperowany 10 dni wcześniej. Ani o krańcowym wyniszczeniu denata.

Właściciel domu seniora złożył pisemne wyjaśnienia na policji. Według niego pan Krzysztof przed 21 sierpnia nie uległ wypadkowi, nikt z opiekunów nie odnotował żadnego incydentu z jego udziałem. Pielęgniarka wezwała pogotowie, bo mężczyzna miał niskie ciśnienie, płytki oddech, niebieskie stopy, podsypiał, był w słabszym kontakcie. W karcie, którą wypełnia zespół ratownictwa medycznego, jako przyczynę wezwania wpisano zasłabnięcie. Ratownicy stwierdzili, że pacjent był bez kontaktu, nie reagował na ból, oddychał ciężko.

Na pytania, co się stało, będzie musiała odpowiedzieć prokuratura.

Państwo nie widzi

O tym, co się dzieje w domach seniora, najczęściej wiedzą tylko pracownicy i pensjonariusze.

Latem media społecznościowe obiegły zdjęcia z domu opieki Villa Bona w Tychach. Starsze osoby z wysypką na skórze, mężczyzna leżący przy łóżku, pampersy i ręczniki ubrudzone kałem. Do tego opis: „Właściciel oszczędza na personelu, środkach czystości, wyżywieniu (...), jest zbyt mało opiekunów w stosunku do liczby podopiecznych (...), ludzie są rzadko kąpani, siedzą godzinami z pełnymi pampersami i wołają o pomoc. Podopieczni nie mają dostosowanej diety do swoich chorób, pani na kuchni przerabia jedzenie, którego nie zjedli, i podaje w kolejnych dniach, przez co pensjonariusze mają często biegunki. Osoba bez odpowiedniego wykształcenia podaje leki. W ośrodku od ponad roku panuje świerzb (...). Jeżeli masz bliskiego w tym domu opieki, nie skazuj go na cierpienie!".

Najprawdopodobniej napisał to ktoś, kto pracuje lub pracował w domu opieki. Sprawę podjęły lokalne media. A także – prokuratura w Tychach, która ściga z urzędu... autorów postu za pomawianie za pomocą środków masowego komunikowania osób, które wpis mógł poniżyć lub narazić na utratę zaufania. Prokurator wyjaśnił, że tego wymaga interes społeczny, bo pokrzywdzeni nie mogą samodzielnie ustalić tożsamości autorów postu. Prezes zarządu Villa Bona, Dario Ponzio, zapewnia, że placówka jest regularnie kontrolowana przez przedstawicieli urzędów, inspektorat pracy i inspektorat sanitarny, a wyniki kontroli są pozytywne.

A jak te kontrole wyglądają w praktyce? Otóż prywatne domy opieki podlegają Ministerstwu Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, kontroluje je wojewoda, ale sprawdzanie dotyczy głównie finansów. Najwyższa Izba Kontroli (w raporcie z 2020 r.) podkreśla, że nadzór państwa jest tylko pozorny. W latach 2015–18 w całym kraju bez wymaganego zezwolenia funkcjonowało ponad 200 placówek oferujących opiekę całodobową. Połowa z nich, mimo wykrycia nielegalnej działalności i nałożenia kar pieniężnych, nadal bez większych problemów świadczyła usługi.

Pod koniec września na SOR Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Gdańsku z domu opieki Zielone Wzgórze w Kowalach przywieziono 80-latkę w stanie krytycznym – z udarem niedokrwiennym spowodowanym odwodnieniem, z pękniętą kością udową i dużym siniakiem na nodze. Była w domu seniora zaledwie pięć dni, miała tam być miesiąc na rehabilitacji, by dojść do siebie po zapaleniu płuc i pobycie w szpitalu. Sprawą zainteresowała się „Gazeta Wyborcza"; okazało się, że dom seniora nie istnieje. Nie ma go w ewidencji wojewody. Syn seniorki złożył na policji zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez personel tejże placówki. Postępowanie prowadzi prokuratura w Pruszczu Gdańskim.

Brak kontroli

Tego typu historii jest więcej. Nie dziwi więc, że nawet NIK postuluje, żeby w placówkach z opieką całodobową odbywały się kontrole kompleksowe.

Kontrola samorządowych DPS również pozostawia wiele do życzenia. Tylko pięciu z ośmiu starostów w latach 2021–24 przeprowadziło działania kontrolne (raport NIK z 2025 r. dotyczący ośmiu powiatów). W sumie było to 17 kontroli i audytów DPS, które także dotyczyły wyłącznie zagadnień finansowych.

To ma się zmienić. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zapowiada kontrolę w każdym DPS w Polsce – od początku 2026 r. Decyzję – jak tłumaczą urzędnicy – podjęto ze względu na docierające do resortu, także za pośrednictwem mediów, informacje o „szokujących warunkach", w jakich żyją mieszkańcy tych placówek. Ministerstwo planuje również nowelizację ustawy o pomocy społecznej, która ma m.in. poszerzyć zakres nadzoru wojewodów tak, aby obejmował nie tylko kwestie formalne, ale również ocenę przestrzegania praw mieszkańców oraz jakości świadczonego wsparcia.

Istotne w tym kontekście jest to, że pensjonariusze domów opieki nie są pacjentami. Stąd, mimo że właściwie wszyscy wymagają opieki lekarskiej, kontrole wojewody i starosty nie mogą dotyczyć opieki medycznej. A że domy opieki i DPS-y nie są placówkami medycznymi, nie kontroluje ich także ani NFZ, ani Ministerstwo Zdrowia. Nie może też interweniować Rzecznik Praw Pacjenta. Może zatem dobrym rozwiązaniem byłoby objęcie nadzorem medycznym domów opieki przez NFZ?

Jest jeszcze Krajowy Mechanizm Prewencji Tortur, działający przy Rzeczniku Praw Obywatelskich – to tam można zgłaszać naruszenia konstytucyjnych praw pensjonariuszy. Jak choćby prawo do... opieki medycznej.

Mroczna jesień

Jesień Podlasia to prywatna placówka opieki w miejscowości Nurzec, powiat bielski. Kilka miesięcy temu Interia opublikowała serię wstrząsających artykułów ▶

eprasa.pl bb931bc7ab



Lampki ostrzegawcze

Co powinno nas zaniepokoić, kiedy wybieramy dom opieki dla seniora.

- Jakiekolwiek ograniczenie wizyt.
- Wymuszanie ustalenia terminu odwiedzin – najczęściej po to, by bliski zastał seniora wykąpanego, ostrzyżonego, w dobrej formie, a nie pod wpływem leków uspokajających.
- Zakaz wejścia do pokoju, w którym senior mieszka – uniemożliwia to skontrolowanie stanu pościeli i materaca, łazienki, sprawdzenie, czy w szafce nocnej nie ma zepsutego jedzenia itp.
- Zbyt ogólnikowe zapisy w umowie dotyczące opieki medycznej i rehabilitacji.

▶ o fatalnych warunkach, w jakich żyją tam seniorzy. Informator zawiadomił urząd wojewódzki, a sama redakcja zgłosiła sprawę do RPO. Krajowy Mechanizm Prewencji Tortur przeprowadził w czerwcu wizytację, w czasie której ujawniono m.in., że niektórym mieszkańcom leki wydawane są bez ich wiedzy – pokruszone i dodawane do posiłków. Poza tym wskazywano na: przepełnienie ośrodka, brak właściwej opieki medycznej oraz dostępu do rehabilitacji czy terapii zajęciowej, a także na fatalne warunki bytowe i higieniczne oraz niedostateczną liczbę opiekunów, szczególnie z wymaganymi do takiej pracy kwalifikacjami. By nadrobić braki kadrowe jako opiekunów zatrudniono (z aneksem do umowy)... konserwatora i kucharkę.

Po publikacjach portalu i kontrolach policja pod nadzorem prokuratury wszczęła postępowanie przygotowawcze w sprawie narażenia mieszkańców domu opieki na bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Niestety często się zdarza, że prokuratura umarza tego typu postępowania, nawet gdy dochodzi do śmierci pensjonariusza. Tak było w przypadku seniorki z DPS dla Kombatantów w Zielonej Górze. O samym domu było głośno jeszcze w czasie pandemii. Gdy pensjonariuszka z niegojącym się owrzodzeniem nogi (tzw. stopa cukrzycowa) trafiła do szpitala z larwami much w ranie, sprawą zainteresowała się prokuratura. Kobieta, której trzeba było amputować nogę na wysokości uda, wkrótce zmarła na covid. Postępowanie umorzono.

Niezapowiedziane kontrole radnych z Zielonej Góry wykazały kolejne zaniedbania w DPS. Świerzb, pluskwy, kąpanie pensjonariuszy raz w tygodniu, zamykanie ich na noc w pokojach. Do tego: fatalne żywienie, pranie pościeli w tych samych pralkach co brudne mopy, niedziałający system przeciwpożarowy i alarmowy. Podczas kontroli znaleziono jeden działający dzwonek, ale pielęgniarka pojawiła się po ponad 30 minutach. Za takie „luksusy" rodziny pensjonariuszy płaciły ponad 9 tys. zł miesięcznie.

Prokuratura wszczęła kolejne postępowanie i tym razem jest już akt oskarżenia – skierowany wobec lekarki i czterech pielęgniarek. Lekarkę rodzinną zmarłej pensjonariuszki prokurator oskarża o niewystarczającą kontrolę stanu jej zdrowia. Pielęgniarki zaś są oskarżone m.in. o zaniechanie zmiany opatrunku rany i brak obserwacji owrzodzenia pod kątem procesu zapalnego.

Niezapowiedziane wizyty

Takie zdecydowane działania prokuratury, jak już wspominaliśmy, wciąż jednak nie są częste. Skoro szwankuje kontrola państwa, na ręce personelowi domów opieki musi patrzeć rodzina. Tymczasem placówki dla seniorów bronią się przed tym, jak mogą. Od czasów pandemii

eprasa.pl bb931bc7ab

w większości domów seniora odwiedzający nie mają prawa wchodzić do części sypialnej – oficjalnie: ze względów sanitarnych. Personel przywozi na wózku lub przyprowadza pensjonariusza do świetlicy albo do tzw. pokoju dziennego. Bliscy, którzy chcą odwiedzić swoich krewnych, muszą też najczęściej rezerwować pokoje odwiedzin na konkretną godzinę, by uniknąć tłoku. Sprowadza się to do zapowiadanych wizyt, na które można pensjonariusza odpowiednio przygotować: umyć, przebrać, ogolić, nie podawać wcześniej leków uspokajających. W Zielonym Wzgórzu w Kowalach na drzwiach wejściowych wywieszona jest informacja, że odwiedziny pensjonariuszy odbywają się wyłącznie w określone dni, i to po wcześniejszym wysłaniu SMS-a.

Wspomniany wcześniej pan Bartosz nawet nie wie, czy jego ojciec mieszkał w pokoju sam, czy też miał współlokatora. W ciągu ponad czterech lat dwa razy, trochę podstępem, trochę siłą, wszedł do pokoju ojca i za każdym razem w szafce znajdował popsute, śmierdzące jedzenie. W samym pokoju też było brudno.

Ojciec pana Marka był w tym samym domu seniora, w którym ojciec pana Bartosza. Rok temu rodzina odwiedziła go bez zapowiedzi i zastała w łóżku, w samym pampersie, odkrytego, z gorączką, dreszczami, bez jakiejkolwiek pomocy i opieki. Personel dwukrotnie odmawiał wezwania pogotowia; dopiero usilne nalegania rodziny sprawiły, że pielęgniarka zadzwoniła na numer 112. – *Dziadek wylądował w szpitalu z zapaleniem płuc, odwodniony* – mówi wnuczka, pani Dominika. Zmarł po miesiącu. – *Być może ojca nie było w ewidencji, bo od trzech miesięcy nie mieliśmy podpisanej nowej umowy, a rozliczaliśmy się gotówką* – dodaje pan Marek.

Babcia pani Żanety, 93 lata, od dwóch lat jest w tym samym domu seniora. Bliscy przyjeżdżają raz na dwa tygodnie, bo mają daleko. – *Jeśli dzwonimy i mówimy, że przyjedziemy, to babcia jest ubrana, siedzi na wózku* – opowiada pani Żaneta. – *Ale jak wpadamy bez zapowiedzi, leży w łóżku i nie można się z nią dogadać.*

Kobieta chciała, żeby przenieść babcię do publicznego domu seniora w ich miejscowości. Problem w tym, że byłoby drożej.

Publiczne zakłady miały być tańsze od prywatnych, ale wyszło inaczej. Miesięczny koszt może przekraczać nawet 8,5 tys. zł. Pokrywa go sam pensjonariusz i jego bliscy, a dopiero w ostatniej kolejności – gmina. Tylko w wypadku dochodu poniżej 1,8 tys. zł na osobę rodzina nie musi płacić. Średni miesięczny koszt utrzymania mieszkańca w DPS na terenie Warszawy w ubiegłym roku wynosił 8530,26 zł. A w przypadku domów prywatnych w województwie mazowieckim – od 5150 do 7350 zł za pokój jednoosobowy. Zarówno w samorządowych DPS, jak i w prywatnych domach seniora opłaty nie uwzględniają leków ani nawet pampersów. Często też rodziny same piorą pościel i ubrania, dostarczają napoje i tzw. nutridrinki, zapewniają opiekę lekarską.

Odwodnienie i niedożywienie

Poza brakiem opieki medycznej największym zagrożeniem dla seniora w domu opieki jest odwodnienie i niedożywienie.

75-letni pan Jan po zaledwie 10 dniach pobytu w prywatnym domu seniora w Wielkopolsce trafił w ciężkim stanie do szpitala. Zmarł w wyniku odwodnienia i ostrej niewydolności nerek. Wstrząsającą historię nagłośniła „Uwaga TVN". Sprawa nabrała rozgłosu, więc pracownicy Wielkopolskiego Urzędu Wojewódzkiego skontrolowali dom seniora. Stwierdzono nieprawidłowości – w zarządzaniu lekami, zabezpieczeniu środków medycznych, korzystaniu z pomocy lekarzy – ale według kontrolerów nie były to uchybienia na tyle dużego kalibru, żeby wszcząć postępowanie o cofnięcie zezwolenia na działalność domu.

Pół roku później do tego samego domu trafiła 69-letnia pani Maria z otępieniem w stopniu znacznym. Pobyt w ramach programu opieki wytchnieniowej miał trwać 10 dni – tak, by córka kobiety, która na co dzień zajmuje się nią 24 godziny na dobę, mogła trochę odpocząć. Gmina sama zaproponowała ten prywatny dom opieki. Po 10 dniach pani Maria, nieprzytomna, odwodniona, z niskim ciśnieniem i wysokim cukrem znalazła się na SOR szpitala w Gostyniu.

Starzy ludzie odwadniają się bowiem szybko. Zwłaszcza gdy nie jedzą tyle, ile powinni. Interia przywołuje rozmowę z jednym z byłych pensjonariuszy Jesieni Podlasia, który mówi, że wyglądał jak „szkielet". Bo: „Tam każdy był głodny". Rozmówca portalu wspominał, jak mieszkańcy wyrywali sobie chleb, chwytali kanapki tych, którzy byli leżący, i szybko wkładali je do ust. Wodę pili prosto z kranu.

Babcia pani Żanety w domu chodziła sama. Powolutku, pod rękę z wnuczką, ale wszędzie doszła. Po miesiącu w domu seniora przestała chodzić. Podobno z dnia na dzień. – *I strasznie schudła* – opowiada wnuczka. – *Połowa babci, skóra i kości.* Opiekunki tłumaczyły: starsi ludzie mało jedzą. – *Jedno mnie dziwi, ja zawsze przywożę jej jakieś ciasto, i kawy się napijemy. I ona je, jakby w życiu jedzenia nie widziała. Jakby była głodna* – twierdzi kobieta.

Oczywiście trzeba ją karmić. I picie podać. Pani Żanecie dwa razy udało się wejść na piętro. Babcia leżała w łóżku, miała białe, spierzchnięte wargi. Na szafce nocnej stał kubek z herbatą; okropnie brudny. Na wierzchu herbaty był kożuch.

Co dalej

Pan Bartosz wystąpił z wnioskiem do wojewody o przeprowadzenie kontroli doraźnej w domu seniora. Dostał właśnie odpowiedź, że kontrola zostanie przeprowadzona, nie będzie ona jednak mogła dotyczyć oceny zasadności, poprawności czy konieczności wykonywania określonych procedur medycznych. Mężczyzna wie, że ojcu to życia nie wróci, ale nie może pogodzić się z tym, co się stało. I z pytaniami, czy można było tego wszystkiego uniknąć, gdyby takie placówki podlegały ostrzejszej kontroli państwa.

AGNIESZKA SOWA

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie materiały, które ukazały się dotychczas w ramach cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**
Tam znajdą Państwo również nasz specjalny poradnik, jak opiekować się osobami starszymi, niesamodzielnymi i chorymi w domu.
Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi opiniami i doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**



eprasa.pl bb931bc7ab



Rozmyty obraz

Ostatnia kradzież bezcennych precjozów z Luwru dokonana w biały dzień pokazuje, że wielkie rabunki dzieł sztuki wciąż się zdarzają, i to w najpilniej strzeżonych muzeach. W Polsce tak zniknął obraz Claude'a Moneta z Muzeum Narodowego w Poznaniu. Jak to się stało, opowiada Maciej Odoliński, reżyser, autor książki „Plaża w Pourville – skroić 7 mln USD. Ukryta prawda o kradzieży stulecia", która właśnie się ukazała.

VIOLETTA KRASNOWSKA: **– Wydawało się, że o tej kradzieży z 2000 r. wiadomo wszystko. 31-letni, bezrobotny murarz-posadzkarz z miłości do sztuki zapragnął mieć obraz Moneta na własność. Wyciął go z ramy, a w jego miejsce wstawił kartonową kopię. Chwytająca za serce historia, tym bardziej że obraz odzyskano. Jednak z pana ustaleń wynika, że zostaliśmy uśpieni tym romantycznym mitem, bo w rzeczywistości było zupełnie inaczej.**

MACIEJ ODOLIŃSKI: – Mam pewność, że było inaczej. Zebrałem materiały, z których wynika, że przebieg zdarzeń przedstawiony przez prokuraturę na konferencji prasowej tuż po zatrzymaniu sprawcy – że złodziej działał sam, ukradł ze szlachetnych pobudek i nie planował sprzedaży – jest nieprawdziwy. Tę romantyczną wersję przyjęły także sąd i opinia publiczna.

Przez 10 lat obraz był schowany za szafą w mieszkaniu rodziców złodzieja. Czy będąc takim miłośnikiem Moneta, przychodził, by go oglądać?

Nie przychodził, nie oglądał, choć on twierdzi, że tak. Jego bliscy nie zauważyli, by kiedykolwiek interesował się sztuką. Gwoździe, którymi zabił skrytkę, nigdy nie były wyjmowane. Dlatego warto odkłamać tę naiwną narrację, że w zasadzie nic się nie stało, bo obraz się znalazł. Ta kradzież wyrządziła wiele szkód. Obraz mocno ucierpiał. Przecięte płótno zostało scalone, ale nie może być narażane na wibracje, jego transport jest wykluczony. „Plaża w Pourville" nie może być więc udostępniana innym muzeom, by mogła być podziwiana na całym świecie, tak jak na to zasługuje.

Miał pan dostęp do materiałów śledztwa, także operacyjnych, i to jeszcze zanim znaleziono sprawcę. Równolegle prowadził pan własne dochodzenie?

W 2005 r. zainteresowałem się tym tematem w ramach dokumentacji do scenariusza filmowego. Policja po pierwszym etapie śledztwa, mimo bardzo wielu czynności dochodzeniowych, stanęła w miejscu. Nie było żadnego punktu zaczepienia. Myślę, że z tego powodu pozwolono mi zajrzeć za kulisy śledztwa. Rozmawiałem z policjantami, pracownikami muzeum, z wieloma osobami w różny sposób związanymi ze sprawą. W pewnym momencie pojawił się trop, który ostatecznie doprowadził do zatrzymania sprawcy.

eprasa.pl bb931bc7ab



Obraz Claude'a Moneta „Plaża w Pourville" z 1882 r. Na sąsiedniej stronie: **prezentacja odzyskanego obrazu w Prokuraturze Okręgowej w Poznaniu, 13 stycznia 2010 r.** Poniżej: **Robert Zwoliński** (w środku) **początkowo twierdził, że ukradł obraz, bo chciał go mieć tylko dla siebie.**



Miał pan w tym też jakiś udział. Skontaktował się z panem człowiek, którego informacje okazały się przełomowe.

Tak, pewien człowiek, który usłyszał w mediach, że przygotowuję film na ten temat, odezwał się do mnie. Powiedział, że prawie rok przed rabunkiem otrzymał propozycję udziału w kradzieży dokładnie tego obrazu Moneta z poznańskiego muzeum. Był wtedy studentem akademii plastycznej w Poznaniu i stało się to na jednej z imprez. To był dla mnie dowód na to, że sprawca nie działał sam, a w przygotowaniach brały udział także inne osoby.

Dotarł pan także do fałszerza, który – według niego – wykonał falsyfikat Moneta wykorzystany podczas kradzieży.

Tak, i trzykrotnie spotkałem się z tym zawodowym kopistą, który od lat realizuje różne zlecenia, nie dopytując, czy jego prace nie posłużą przestępczym celom. Bardzo otwarty i gościnny człowiek, ale mocno ważący słowa. Faktem jest, że falsyfikat został przygotowany profesjonalnie przez kogoś, kto wiedział, jaki zastosować karton, by przypominał płótno, by nie został szybko zauważony i utrzymał się w ramie. Sygnatura została powleczona specjalnym werniksem, by się nie wykruszyła na miękkim podłożu.

Jednym z pana rozmówców jest Marek Bronicki, wówczas szef wydziału kryminalnego poznańskiej komendy wojewódzkiej, który w pierwszych latach nadzorował śledztwo. Powiedział: „Miłość do obrazu to jest bajka wymyślona na potrzeby sprawy, to zostało przekazane dziennikarzom dla zakamuflowania rzeczywistych kierunków śledztwa". O ukrycie jakich kierunków chodziło?

W materiałach policyjnych pojawiły się dowody, że w tę sprawę zamieszany był nie tylko złodziej Robert Zwoliński. Jednak gdy po zatrzymaniu sprawca wskazał, gdzie jest ukryty obraz, po prostu rozwiązano grupę śledczą. I przedstawiono opinii publicznej wersję o „miłośniku sztuki. Już po lekturze mojej książki Marek Bronicki powiedział mi, że jego zdaniem obraz został wyrzucony przez okno z sali wystawowej do drugiej osoby czekającej na zewnątrz – tak jak to wynika z mojej rekonstrukcji. A nie – jak przyjęła prokuratura – że złodziej wyniósł to sam, w teczce przez portiernię. Wydaje się, że Zwoliński wychodząc, demonstracyjnie, niby przypadkiem, upuścił teczkę, z której wysypały się szkice. Tak jakby chciał pokazać, że w środku nie ma nic więcej. To zupełnie inna wersja niż ta z oficjalnych wyjaśnień, jakie złożył po zatrzymaniu. I kolejne potwierdzenie, że nie działał sam.

Zestawia pan także charakter pisma Zwolińskiego z tym, którym napisano prośbę o zgodę na wykonanie szkiców w muzeum, przysłaną – rzekomo przez niego – do dyrekcji muzeum. Na pierwszy rzut oka widać, że pisały to dwie różne osoby.

To jeden z wielu elementów, które przemilczano przed opinią publiczną. Gdy obraz został odzyskany, a zatrzymany w styczniu 2010 r. Robert Zwoliński przyznał się do kradzieży, powstało przekonanie, że sprawa w zasadzie jest zamknięta. Nikt nie zadawał już pytań, czy ktoś jeszcze w tym uczestniczył. Zwoliński bardzo szybko się zorientował, że prokuratura nie będzie drążyć. Dla niego najkorzystniejszą wersją było przyznać się i milczeć. Dowody, że dokonał tej kradzieży, były niepodważalne, a przyznanie się to okoliczność łagodząca. Na konferencji prasowej rzeczniczka prokuratury jako ustalenia śledztwa przedstawiła to, co powiedział sam złodziej. Inne wątki zostały przemilczane.

Jakie?

To, że Zwoliński był już karany. To nie pasowało do wersji o działającym bezinteresownie miłośniku sztuki. Tuż po zatrzymaniu prokuratura na konferencji prasowej przekazała, że odciski palców sprawcy, które wcześniej znalazły się w policyjnej bazie AFIS, pobrano do sprawy alimentów, z którymi zalegał. To nieprawda; ani wówczas, ani obecnie nie zabezpiecza się śladów daktyloskopijnych do spraw alimentacyjnych. Prawda jest taka, że odciski zostały zabezpieczone do sprawy karnej, w której zatrzymano Zwolińskiego. Na konferencji prasowej, a potem także w sądzie, przemilczano fakt, że Zwoliński miał już wcześniej kłopoty z prawem, i to poważne, bo groźby karalne, wymuszenie i kradzieże.

Dlaczego tę sprawę tak rozmyto? Chodziło o ustalenia między muzeum, prokuraturą i sądem?

Mam takie przekonanie. Dyrekcji muzeum zależało, żeby nie upubliczniać nieprawidłowości, które ułatwiły tę kradzież. Gdy Zwoliński składał prośbę o zgodę na szkicowanie w muzeum, pisząc, że mu to potrzebne, by zapisać się do Związku Artystów Plastyków, nie zweryfikowano jego tożsamości. Wpuszczający go strażnicy nie sprawdzili zawartości jego torby. Sprawca miał dwa noże; jeden przy sobie, w torbie, drugi kilka dni wcześniej ukrył w muzealnej toalecie. On tę kradzież przygotował bardzo starannie. Wcześniej wielokrotnie bywał w muzeum, sprawdzał, kiedy panuje największy, a kiedy najmniejszy ruch, by wytypować najlepszy moment na jej dokonanie. Wybrał niedzielę jako dzień, gdy ludzie w południe siedzą w domu przy obiedzie i nie ma wycieczek szkolnych. Działał w przemyślany i precyzyjny sposób. Na pewno nie spontanicznie w jakimś romantycznym odruchu. Faktem jest, że ówczesne standardy działania muzeum pomogły mu w dokonaniu kradzieży. Były więc powody, żeby te wątki sprawdzić do końca, a może nawet postawić zarzuty karne niektórym osobom. W moim przekonaniu to dlatego prokuratura podjęła decyzję, żeby przemilczeć nieprawidłowości zarówno w ochronie, jak i w sprawdzaniu stanu dzieł sztuki w muzeum (kradzież odkryto dopiero po dwóch dniach) i przyjęła tę wersję, którą podsunął sam sprawca: że jego motywacją była miłość do impresjonizmu. ▶

© PIOTR SKÓRNICKI/AGENCJA WYBORCZA (2), AKG/EAST NEWS

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ Dążono do tego, by sprawę wyciszyć. Także pomniejszając rzeczywistą wartość obrazu. Tuż po kradzieży w 2000 r. zlecona została profesjonalna wycena „Plaży w Pourville", w porównaniu z innymi dziełami Claude'a Moneta z tego okresu. Wartość obrazu została oszacowana na 7 mln dol. Natomiast już po jego odnalezieniu w oficjalnych wypowiedziach zarówno ze strony muzeum, jak i prokuratury przeważnie wskazywano wartość miliona dolarów, czyli niecałe 4 mln zł.

I wszyscy tę romantyczną wersję kupili?

Tak, także sąd przyjął ją bezkrytycznie. Robert Zwoliński zeznał, że kopię użytą podczas kradzieży zamówił za 300 zł u przypadkowego malarza z Ukrainy, sprzedającego swoje prace na ul. Floriańskiej w Krakowie. Nikt tego nie zweryfikował, nie zadał pytania, dlaczego ten rzekomy przypadkowy malarz nie zgłosił się na policję. Wówczas za informacje o kradzieży wyznaczono bardzo wysoką nagrodę: 100 tys. zł. Dziś, uwzględniając inflację, byłoby to niemal 450 tys. zł. Jestem pewien, że jeśli falsyfikat użyty podczas kradzieży wykonałby ktoś niezwiązany z przestępstwem, toby się po tę nagrodę zgłosił.

To niebywałe, że proces w sprawie kradzieży stulecia – bo tak o tej sprawie pisano – trwał jeden dzień!

Jedno przedpołudnie. Rano odczytano akt oskarżenia oraz oświadczenia stron, a po przerwie, w południe, już zapadł wyrok. Nie przeprowadzono pełnej rozprawy sądowej, nie było weryfikacji dowodów, wzywania świadków. Nie dowiedzieliśmy się co, jak i dlaczego się stało. Skończyło się na przeprosinach oskarżonego i bardzo łagodnym wyroku trzech lat więzienia – najniższym, jaki przewiduje Kodeks karny. Muzeum nie składało apelacji od wyroku, który nie tylko w moim przekonaniu był niewspółmiernie łagodny do czynu. Oczywiście było to na rękę oskarżonemu i wszystkim, którym zależało na szybkim zakończeniu tej sprawy. Tego procesu właściwie nie było. To sprawiło, że rosła we mnie determinacja, by zebrać w całość relacje i dokumenty, które znałem i odkłamać tę fałszywą narrację – że w zasadzie nic się nie stało.

Panu pierwszemu udało się namówić Zwolińskiego do rozmowy o kradzieży?

Tak. Wielu dziennikarzy, także zagranicznych, i wielu producentów zwracało się do niego, żeby zgodził się na wywiad, udzielił praw do swojej historii, ale on przez lata konsekwentnie odmawiał. Gdy spotkałem się z nim w 2023 r., początkowo również odmówił. Dopiero w styczniu 2025 r. nastąpiła pewna zmiana w jego życiu osobistym i to spowodowało, że zgodził się przedstawić mi swoją wersję. Jego opowieść jest odmienna od tego, co było w akcie oskarżenia i wyroku sądu.



Maciej Odoliński – reżyser, scenarzysta, autor filmów dokumentalnych i fabularnych, absolwent Liceum Plastycznego w Poznaniu, Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. L. Schillera w Łodzi, członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich oraz Gildii Reżyserów Polskich.

Co powiedział?

Że działał na zlecenie osób, które chciały ten obraz wywieźć do Wiednia, i jego bezpośrednim celem była realizacja tego zlecenia. Jednocześnie twierdzi też, że ukradł Moneta z powodu fascynacji i miłości do sztuki. Jest w tym sprzeczność. Ile w jego słowach prawdy? Nie chcę przesądzać, ja po prostu przedstawiam jego relację i ustalone przeze mnie fakty.

Przyznał, że to było zlecenie. To dlaczego właściwie został z tym obrazem?

Według mnie osoba zamawiająca mogła się wycofać, przede wszystkim z tego powodu, że obraz został mocno pocięty. Zwoliński być może nie zdawał sobie sprawy, że to uniemożliwi sprzedaż. Na przestępczym rynku podstawową kwestią jest podpis twórcy, a tu sygnatura została zniszczona. W ubiegłym roku, dopełniając wątki, które pojawiły się w śledztwie, spotkałem się z byłym paserem dzieł sztuki. Panuje popularne przekonanie, że czarny rynek jest oparty na zamówieniach bogatych kolekcjonerów, którzy chcą sławny obraz powiesić w swojej sypialni. Zapewne są takie przypadki, ale rzadkie. Generalnie czarny rynek dzieł sztuki i zamówień kradzieży służy do rozliczeń przestępczych. Są swego rodzaju wekslem w rozliczeniach czy porachunkach, ale też polisą w razie zatrzymania ważnych przestępców. Stanowią wówczas kartę przetargową, by poufnie wynegocjować niższy wyrok. Aresztowany przestępca lub związana z nim grupa mogą zaproponować zwrot dzieła sztuki, które jest przez dany kraj poszukiwane. I nagle obraz zostaje odnaleziony gdzieś w piwnicy, a przestępca zatrzymany do innej sprawy otrzymuje złagodzenie wyroku, np. rok zamiast 10 lat.

Czyli można powiedzieć, że on spaprał zlecenie, tnąc obraz tak nieuważnie?

Jeżeli przyjąć jego słowa o zamówieniu, to tak.

Powiedział, na czyje zlecenie dokonał tej kradzieży?

Tak, ale bez nazwisk. Na część pytań odpowiedział wymijająco. Ale pokazał mi w internecie filmik z pogrzebu w zeszłym roku, na którym byli zleceniodawcy. Wyglądali na ludzi niebezpiecznych. Nie chciałem w to wchodzić, nie mam takich możliwości śledczych.

Czy to jego wyznanie może spowodować wznowienie śledztwa?

Myślę, że nie ma takiej możliwości. W aktach sprawy widziałem postanowienie sądu, że we wrześniu 2025 r. ustała karalność czynów z tej sprawy.

Opowiadał też panu, że tą samą metodą – wstawiania dobrej kopii – ukradł wiele obrazów, czego do dziś nie odkryto. Wierzy mu pan?

W moim przekonaniu Robert Zwoliński jest osobą bardzo złożoną. Nadal wiele przemilcza. Ale faktem jest, że sam pomysł, by taką metodą ukraść Moneta, a następnie przeprowadzić to w sposób bardzo precyzyjny i opanowany, jest czymś niezwykłym i świadczy o przestępczym doświadczeniu. Kto wie, co jeszcze wypłynie.

ROZMAWIAŁA VIOLETTA KRASNOWSKA

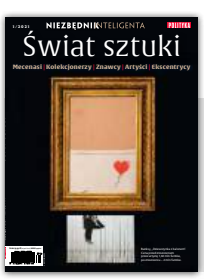

KUP TERAZ

Zachęcamy również do lektury Niezbędnika Inteligenta **„ŚWIAT SZTUKI"**, w którym m.in. rozmawiamy z krytykami, kolekcjonerami i twórcami. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

© KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

eprasa.pl bb931bc7ab



Odgrodzenie

We wsi Dzieżki pod Mońkami wybuchła awantura sąsiedzka nowopolskiego typu: za miedzę sprowadzili się ciemnoskórzy, więc trzeba było odgrodzić się od nich płotem granicznym.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Rzecz dzieje się w pięknej okolicy, gdzie panuje spokój w przyrodzie. Wkoło lasy i pola, otwarte horyzonty. Wszyscy się znają od pokoleń. Cisza tak zupełna, że złowroga. Płot oddzielający obcych ma dwa metry wysokości i jest doraźny – docelowo miał być mur.

*

Pod mały, nieotynkowany dom z pustaka zajeżdżają dwa stare samochody, Peugeot i Opel. Wysiada siedmiu mężczyzn. Nie rozmawiają, przemykają pod ścianą – byle było ciszej. Znikają w środku. Sąsiad już kilka razy wzywał na nich policję. Było sprawdzanie dokumentów, telefonów, dużo tłumaczenia. Przestraszyli się, nie chcą takich kłopotów. Teraz cała sztuka polega na tym, żeby dobrze udawać nieistnienie. Przejawy życia w małym domu drażnią sąsiada.

Za płotem granicznym sąsiad Hryniewicki, z dziada pradziada miejscowy, jeździ po swojej ziemi starym białoruskim traktorem Władimiriec. Wyremontował i otynkował wielki dom, teraz porządkuje teren.

Oba domy stoją kilka metrów od siebie, ściana w ścianę. Sąsiedzi – choć muszą się widzieć – bardzo skupiają są na tym, żeby się nie zobaczyć. Tu i tu trzaskają drzwi. Dzieżki o zmroku: cisza, zimno, wiatr, zapach curry kontra zapach schabowych; same trudności.

*

W Ubojni Drobiu Wojszki, trzy kilometry od zwaśnionych domów, zwykła codzienność produkcji. Wyciąg niesie polskie kurczaki przez halę. Uwijają się polscy i zagraniczni pracownicy. Zagraniczni mają u kierownictwa świetną opinię – uczciwi, oddani pracy. Na towar czekają już ciężarówki. Wszystko zmechanizowane, logistycznie optymalne, zgodne z normami i w pełni wypłacalne. Ubojnia ma sukces i się rozwija. Ma pod sobą 22 fermy kurczakowe, ale nie ma ludzi do pracy.

Jesienią 2025 r., w apogeum awantury o ciemnoskórych w Dzieżkach, powiat Mońki wyjaśniał zainteresowanym chłodny realizm sytuacji: „cudzoziemcy znaleźli się tu z inicjatywy pracodawcy (...) zamieszkujący pobliskie tereny obywatele naszego kraju nie są zainteresowani pracą w Ubojni Drobiu Wojszki".

*

Jednak realizm nie docierał, a zainteresowanych przybywało. Bartłomiej Hryniewicki z mamą obeszli okolicę i zebrali 80 podpisów przeciw cudzoziemcom. Następnie Rafał Supiński, lokalny działacz PiS, od lat u progów szerszej kariery, usiłował nadać sprawie polityczny wymiar ogólnopolski. W swych pytaniach do władz powiatu monieckiego wątkiem uczynił „lokowanie cudzoziemców". Osnową – ewentualną zdradę narodową na szczytach władzy. Pytania były i precyzyjne, i demaskatorskie.

Pytał na przykład: „Czy władze samorządu terytorialnego oraz władze administracji centralnej (krajowej) podjęły jakiekolwiek środki prewencyjne (zaradcze) w zakresie lokowania cudzoziemców w miejscowości Dzieżki?". Działacz domagał się wiedzy, czy obcych lokowano we wsi z inicjatywy oddolnej czy odgórnej. A jeśli lokowano odgórnie (rząd), to kto konkretnie za tym stoi? ▶

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ Światło zapalone tylko w kuchni, od podwórza. Od drogi okna ciemne, żeby nie rzucało się w oczy. Poza tym pokoje od drogi to spalnie. W każdej spalni zasłonięte okno, tapczan przy tapczanie, porozkładane kanapy, ciasno, trudno przejść.

Kładą się od razu, gdy przyjadą samochodami z roboty w ubojni. Śpią pod kołdrami, w czapkach i kurtkach. Na podwórku poustawiane paki ze styropianem i wielka cysterna na gaz. Dom jest stary, długo stał pusty. Na zimę ubojnia go ociepli i zrobi centralne ogrzewanie. Tymczasowo tylko w kuchni jest ciepło. Na ścianie Matka Boska Licheńska, w radiu ciche disco polo. Skraj wsi, wkoło pola, inne domy Dzieżek oddalone o kilkaset metrów. Tu tylko oni i polski sąsiad za wysokim ogrodzeniem.

*

Z zawodu budowlańcy, laboranci, nawet pracownik uniwersytetu. Poważni mężowie i ojcowie. W domu rodzinnym nie starczało pieniędzy. Albo nawet starczało, ale polityka w ich krajach weszła ludziom za bardzo w życie. Tam, opowiadają, duzi politycy i drobni watażkowie walczą do krwi ostatniej. Mają swoje interesiki, chcą wciąż wyżej i wyżej w hierarchii. O prywatnych ambicjach mówią „polityka narodowa". Zwykłego człowieka wzięli za zakładnika.

Stąd pomysł: wyjechać gdzieś, zarobić w euro-dolarze raz a dobrze. Polska? Polska? Musieli sprawdzić w internecie, gdzie to. Europa! Stabilna polityka, prawa człowieka, duże zarobki, mili mieszkańcy – tak widzą Polskę pracownicy Ubojni Drobiu Wojszki. O „tradycyjnej polskiej gościnności" można przeczytać nawet w Wikipedii.

*

Ci, którzy nie śpią, siedzą przy stole nad słodką kawą i kurczakiem. Jak kurczak się nudzi, jadą do Biedronki w Mońkach i robią kuchnie świata. Sufit w czarnej i tłustej chmurze od tego gotowania.

Z pościeli gramoli się nowy; ubojnik od kilku dni. Uśmiecha się, nikt mu uśmiechem nie odpowie. Szepty w domu. Po pracy ciężkie powietrze, kolejka do prysznica. Mają swoje domowe, polskie napięcia. Nie znali się wcześniej. Siedmiu mężczyzn, dom mały i plemienny – Nepal trzyma się osobno, Kolumbia osobno. Żyją za zamkniętymi drzwiami swoich spalni. Lodówka, kuchenka i ciężka praca wspólna.

Przychodzi Kolumbijczyk i chce czegoś po hiszpańsku. Musi mówić do translatora Google w telefonie Dipaka. A nowego nosi po terenie. Nowy wciąż się uśmiecha, żeby nie płakać. Znają ten stan – tak wygląda ktoś, kto tęskni. Dipak Thapa z Katmandu radzi nowemu: nie łaź tyle i bądź cicho. Sąsiad zza płotu, który jest dobrym człowiekiem, łatwo wpada w nerwy. Nawet Kolumbijczyk rozumie: o tak, duże nerwy. A potem będzie policja, dużo niebieskiego migania na całą wieś. Będzie dziecinne i zadziwione pytanie dyrektora Prończuka z ubojni: ale co my złego zrobiliśmy?

Ameryka Południowa z Azją mieszkają na skraju Dzieżek, pod Mońkami, w Polsce.

*

Przemysław Prończuk, współwłaściciel Ubojni Drobiu Wojszki, codziennie jeździ przez Dzieżki. Sprawdza, co słychać u pracowników. Sąsiad Hryniewicki poznaje samochód Prończuka, więc odwraca wzrok – w tej części wsi jakoś nikt nikogo nie widzi. A jeszcze niedawno mówili sobie na ty. Obaj w tym samym wieku, obaj tutejsi.

Bartłomiej Hryniewicki wiedział, że ubojnia nie może znaleźć polskich rąk do pracy. Tutejsi, gdy ich spytać, kręcą głowami: ciężka robota, smród. A Prończuk zderzał się z takim dylematem: dać pracę obcym i narazić się na nienawiść miejscowych czy raczej wobec braku narodowej siły roboczej zamknąć firmę i zyskać szacunek miejscowych? Wariant „dać pracę obcym i nie narazić się miejscowym" przywodził na myśl tę monetę, która po rzucie staje na kant.

Prończuk mówi, że ubojnia kupiła stary dom w Dzieżkach „na partyzanta", byle szybko. Agencja zatrudniająca cudzoziemców domagała się, żeby jej ludzie mieli blisko do pracy. Akurat była na sprzedaż działka z opuszczonym domem. Zakup to konieczność biznesowa, nie działanie po złości. Ale potem okolica i tak mówiła swoje.

*

Gdy Nepalczycy i Kolumbijczycy – wtedy pięciu mężczyzn – wprowadzili się, w okolicy zapadła cisza. A zaraz potem przyszła burza z piorunami.

Burzą był sąsiad Hryniewicki. Wzmagał się stopniowo. Najpierw skarżył się w ubojni, że obcy mu chodzą po terenie. Robią zdjęcia jego posesji i rodzinie. Nie szanują jego własności. Wystają mu pod domem. Suszą pranie i buty na jego krzakach. Obawiał się czegoś – w końcu domy stoją na uboczu, jak daleka kolonia wsi Dzieżki. Domagał się odgrodzenia swojego poukładanego świata od chaosu obcych.

Dogadał się z ubojnią – zrzucą się na płot po połowie. Przemysław Prończuk do tej pory wozi w samochodzie katalog sklepu z płotami. Ale w kosztach nie uczestniczył. Bo w międzyczasie sąsiad wzmógł się burzliwie i groził, że „załatwi" Prończuków. Z kolei krzyżowo zgłaszano sprawę policji w Mońkach: Prończuk na Hryniewickiego, a ten na ciemnoskórych pracujących u Prończuka. Policja zrobiła swoje – oba wezwania niczym nie zaskutkowały. To dlatego, że Hryniewicki użył słowa „załatwić", więc policja nie wiedziała, co miał na myśli. Zaś pracownicy ubojni okazali się całkiem legalni (nie „pochodzenia uchodźczego").

*

Kończyło się lato 2025 r. Po wymianie razów pomiędzy obywatelem a ubojnią – przy użyciu służb i władz monieckich, a z Kolumbią i Nepalem jako tłem – cisza. Jednak w eterze społeczno-politycznym powiatu monieckiego wciąż unosił się emocjonalny list protestacyjny w sprawie obcych, podpisany przez 80 osób z okolic.

Bartłomiej Hryniewicki napisał w nim konkretnie: „zintensyfikowane działania mające na celu osiedlenie pracowników pochodzących z krajów arabskich"; „sytuacja (...) zakłóca beztroski mir mojej rodziny oraz odbiera nasze poczucie bezpieczeństwa we własnym domu i w jego obrębie"; „jeden z mieszkających obok nas ciemnoskórych lokatorów nagrywał telefonem komórkowym moje dziecko!!! Kto z Polaków ośmieliłby się nagrywać dziecko bez uprzedniej zgody?"; „nadmieniam, że kultura zachowania, mentalność i religia ludzi z państw Europy różnią się diametralnie od kultury państw arabskich, czego niezaprzeczalnym dowodem są problemy mieszkańców Europy Zachodniej, którzy zgodzili się na podjęcie prób łączenia dwóch kultur, co okazało się wielką katastrofą (okrutne gwałty, pobicia i życie w ciągłym lęku o bezpieczeństwo)". List kończył tłustym drukiem: „proszę o pomoc w imię naszego bezpieczeństwa, w państwie, którego jesteśmy obywatelami".

Pomoc polegająca na wyrzuceniu obcych ze wsi nie nadeszła. W dodatku – jak pisał sam Bartłomiej Hryniewicki – „przybyły policjant stwierdził, że dopóki między mną a sąsiadującą działką nie ma

eprasa.pl bb931bc7ab



Dipak Thapa z Katmandu. Z wykształcenia budowlaniec, ma pracować w ubojni jeszcze dwa lata.

płotu, panowie z państw arabskich tam mieszkający mają prawo chodzić również po mojej posesji". W dodatku – jak ze zgrozą zaobserwował – „panowie z krajów arabskich" zaczęli wydawać na jego widok dzikie okrzyki.

*

Dzisiaj nie da się już dojść, kto pierwszy użył sformułowania „kraje arabskie" wobec Kolumbii i Nepalu. Hryniewicki czy Rafał Supiński, tutejszy, znany w okolicy Moniek ambitny działacz PiS? Był to przypadek niewiedzy geograficznej czy premedytacja dla celów politycznych? W końcu – jak udowadnia polska polityka ekstremalna, widoczna np. w kampanii prezydenckiej – obecnie najłatwiej jest straszyć obywatela „hordami uchodźców". Jednak nie da się mówić o „hordach", gdy chodzi o pięciu ludzi. Poza tym to żadni uchodźcy, tylko legalni pracownicy. Wówczas dobrze sprawdza się straszenie ludzi „krajami arabskimi".

Rafał Supiński skwapliwie wykorzystywał tę figurę retoryczną w swoich interpelacjach zmierzających do uczynienia z sąsiedzkiej awantury we wsi Dzieżki sprawy wagi państwowej. I gmina, i powiat odpowiedziały Supińskiemu: pracownicy Ubojni Drobiu Wojszki są w Polsce legalnie. W razie zastrzeżeń wobec ich zachowania należy – jak w przypadku Polaków – zawiadamiać służby porządkowe. A potem przyjechał Maciej Chołodowski z białostockiej „Wyborczej", który napisał o całej sprawie. Po artykule znów zapadła cisza na temat odgrodzenia w Dzieżkach.

*

Wieczór. Sąsiad Hryniewicki wraca z pracy w markecie budowlanym w Mońkach. Wracają ciemnoskórzy pracownicy ubojni do domu obok. On ma starego VW. Im ich równie stare auta dała w używanie agencja pracy. Polak sprząta po remoncie domu. Nepalczycy i Kolumbijczycy ładują swoje śmieci do czarnych worów. A wszystko to bez kontaktu wzrokowego.

Wraca z pracy pani Hryniewicka, przywozi dzieci ze szkoły i od babci. W domu obok akurat trwa codzienny kontakt kamerowy z bliskimi. Między Nepalem a Polską jest niecałe pięć godzin różnicy czasu. Na użytek swoich w Kolumbii i Nepalu ojcowie grają do telefonicznych kamerek szczęściarzy żyjących w słynącej z gościnności Polsce. A kiedy wracasz, tata? – pyta wprost siedmioletni synek Dipaka. Tata Dipak wraca za dwa lata – taki kontrakt podpisał. Czasem ktoś się z tych wielkich, telefonicznych emocji rozpędzi, wylezie z telefonem przed dom. Czego robić nie wolno, ponieważ sąsiad dzwoni na policję, że Arabowie robią mu zdjęcia.

Jesienny ranek, ciemny jak wieczór. Ubojnicy do pracy. Polacy zza płotu też do pracy. Dzieci na całym świecie do szkół i babć. Wieczorem opowiedzą rodzicom, jak minął dzień. Któregoś dnia milczący Hryniewicki rozpoczął kopanie dołów w prostej linii. Wbił pale, nawinął siatkę. Płot oddzielający dom polski od domu obcego w Dzieżkach jest wysoki, ale krótki. Dałoby się go obejść. Ale sąsiad powiedział dziennikarzowi, że jak będzie trzeba, zbuduje mur.

*

I śmieszne, i straszne – jak mówią o sprawie niektórzy miejscowi. Nawet kilkoro spośród tych, którzy podpisali list przeciw obcym, po cichu powie, że awantura o miedzę niepotrzebna. Podszyta nie nienawiścią – bo Hryniewicki to dobry i uczynny człowiek – tylko żalem. Ponieważ wie się pod Mońkami, co prywatnie gryzie kogoś, kto dzwoniąc na 112 w sprawie miedzy, twierdzi, że Arab zagraża jego rodzinie i ojczyźnie.

Mimo to oficjalna wersja brzmi zawsze tak: obcy („ciapaki") precz z naszej ziemi!

*

Koniec października 2025 r., wszyscy pod Mońkami mówią: już w sprawie cisza. Cisza – mówią ubojnia drobiu, gmina i powiat. Mówi tak i sąsiad Hryniewicki, i jego obcy sąsiedzi zza płotu. Nie wiadomo tylko, czy polityk Supiński znów nie podniesie kwestii Nepalu i Kolumbii – jako „krajów arabskich" zagrażających Dzieżkom, Mońkom i Rzeczpospolitej – na radzie województwa w Białymstoku.

Hryniewicki mówi, że poczytał komentarze na swój temat w internecie. Zabolało. Pisali m.in., że powinien dać sobie zabetonować głowę. Były też inne rady: niech się spotka z obcymi i pogada. Niech coś razem zjedzą – oni zrobią coś swojego, on z żoną coś polskiego. Denerwuje go takie podejście: wszyscy mu radzą „integruj się", to niech sami przyjadą do Dzieżek. Niech właściciel Ubojni Drobiu Wojszki się zintegruje. Mityguje się: nigdy nie mówił o murze, tylko najwyżej o betonowym płocie. I w sumie – mówi – niech już będzie tak, jak jest teraz – bo nastał spokój.

*

Tylko jedna ważna rzecz: dom obok – ten, w którym mieszkają ciemnoskórzy pracownicy ubojni, należał do bliskiej rodziny Hryniewickiego. Ten dom on zna na wylot, bywał tam setki razy, jako dzieciak ganiał po tamtej działce. I nagle to wszystko jest na sprzedaż. A on, naturalny dziedzic, ale nadwerężony finansowo remontem własnego domu, nie może sobie pozwolić na kupno.

Kupuje ubojnia, osiedlają się pracownicy z Nepalu i Kolumbii. Nawet mili ludzie. Bywało na początku, że przychodzili do niego poprosić o podładowanie komórki, bo mieli u siebie kłopoty z prądem. Nigdy nie odmawiał.

*

Po robocie siedzą zmęczeni w kuchni, nad kawą. Tu obcy, tam swoi, pomiędzy nimi płot graniczny. Ciągła cisza i unikanie wzroku między światami. Więc to była własność rodziny pana sąsiada kiedyś? Ten dom i ziemia? Natychmiastowy i niekłamany błysk zrozumienia w oczach obcych.

Sprawy ojcowizny są tak samo ważne i delikatne na całym świecie.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl bb931bc7ab



Nie rzucą ziemi

Zawieszenie trzech mało liczących się polityków PiS nie wyciszyło afery ze sprzedażą gruntów pod planowaną budowę CPK. Dowiedzieliśmy się o niej zbyt dużo, żeby nie drążyć dalej. Znaleźliśmy patent, jaki PiS stosował, aby zabetonować swoje panowanie na wsi.

eprasa.pl bb931bc7ab

JOANNA SOLSKA

Przypomnijmy. Po wyborach 15 października 2023 r. wiadomo było, że PiS straci władzę. Ale prezydent Duda postanowił ten moment opóźnić i prawo utworzenia rządu powierzył Mateuszowi Morawieckiemu. Powstał tzw. rząd dwutygodniowy. Już wtedy podejrzewano, że ten czas potrzebny był partii tracącej władzę do dokończenia lub zatarcia śladów zaczętych wcześniej przekrętów.

Ministrą rolnictwa została w nim Anna Gębicka, ale zgodę na sprzedaż przez Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa 160 ha państwowej ziemi podpisał jej zastępca Rafał Romanowski, drugi zawieszony przez PiS po wybuchu afery. Szefem KOWR, który formalnie dokonał transakcji sprzedaży, był Waldemar Humięcki, trzeci i na razie ostatni zawieszony. Mózgiem całej operacji wydaje się jednak pierwszy zawieszony, czyli Robert Telus, który ministrem rolnictwa był wcześniej. Akt sprzedaży ma datę 1 grudnia 2023 r. Tego dnia własność państwowych 160 ha w okolicy wsi Zabłotnia, 30 km od Warszawy, przeszła w ręce Piotra Wielgomasa. Zapłacił za nie niecałe 23 mln zł. Pieniądze te nie trafiły jednak do budżetu państwa. Co zaraz wyjaśnimy.

Pytanie dlaczego dopuścił do tej transakcji Marcin Horała, wtedy pełnomocnik rządu do spraw budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego? Kto jak kto, ale on musiał wiedzieć, że przez grunty, dzierżawione do tej pory przez Dawtonę, firmę rodziny Wielgomasów, przebiegać mają nie tylko tory szybkiej kolei, ale planowane są na nich także inne inwestycje CPK. 24 listopada 2023 r., a więc zanim jeszcze klamka zapadła, w alarmującym tonie poinformował o tym Horałę ówczesny prezes CPK.

Trudno też uwierzyć, że o zamierzonej przez Telusa transakcji Horała nie poinformował prezesa PiS, dla którego CPK było sztandarowym i prestiżowym projektem. Dlaczego tej transakcji nikt nie wstrzymał? Czy może wchodzi w grę korupcja? Budowanie sobie wpływów na przyszłość?

Po ujawnieniu afery przez Szymona Jadczaka na portalu wp.pl Horała najpierw twierdził, że nic o transakcji nie wiedział, potem że zareagował, ale dopiero 8 grudnia, gdy mleko już się wylało. I milczał do tej pory.

A rzeka rowem się stała

Pomysł sprzedaży 160 ha państwowej ziemi administrowanej przez KOWR prywatnemu współwłaścicielowi rodzinnej spółki Wielgomasów Dawtona, Piotrowi, urodził się, gdy Robert Telus został ministrem rolnictwa w rządzie Mateusza Morawieckiego. KOWR mu podlegał. Pracownicy KOWR pamiętają wizyty ministra w Dawtonie, publicznie płynące pochwały pod jej adresem. – *Nikogo to wtedy nie dziwiło, bo to jedna z najlepszych polskich firm przetwórstwa spożywczego, będąca też od kilkunastu lat dzierżawcą sporego kawałka państwowej ziemi* – wspomina pracownik KOWR. – *To Wielgomasowie kupili bankruta, jakim była przetwórnia pomidorów w Milejowie, i zrobili z niego kwitnącą firmę, mają też inne zakłady przetwórstwa spożywczego. O kupno dzierżawionej ziemi Dawtona starała się od dawna i ciągle słyszała, że ta ziemia nie jest na sprzedaż.*

Gdyby była, pierwszeństwo w zakupie i tak należałoby do spadkobierców przedwojennych właścicieli. Inną przeszkodę zgłaszały Wody Polskie; w rejestrach na gruntach figuruje „ciek wodny", czyli rzeka, co uniemożliwia przejście ziemi w prywatne ręce. Nikt nie zauważył, że niepostrzeżenie „ciek wodny" przestał być w rejestrze rzeką, a stał się rowem melioracyjnym. Przeszkoda została usunięta, co jednak rozszerza krąg podejrzanych. Wody Polskie są nadzorowane przez Ministerstwo Infrastruktury. Kiedy wiadomo już było, że PiS utracił władzę i trzeba się spieszyć, nagle przestały być też ważne roszczenia prywatyzacyjne.

Zdejmując kolejne łuski z tej cebuli, dociera się do Jana Białkowskiego, wtedy zastępcy dyrektora generalnego KOWR, którego zadaniem było pilnowanie, aby państwowa ziemia nie dostała się w niepowołane ręce. On też nie mógł nie wiedzieć o transakcji, wart jest więc przedstawienia. Na portalu pracanaroli.pl wychwalał go Edward Kosmal, znany działacz NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych. Nie tylko jako wykształconego rolnika, ale też działacza związkowego „z ogromnym doświadczeniem zdobytym w trakcie szeregu wieloletnich działań protestacyjnych w obronie interesów rolników, w tym w obronie Polskiej Ziemi".

Chodzi o protesty szczecińskie, podczas których związkowcy domagali się odebrania ziemi dotychczasowym dzierżawcom i przekazania jej drobnym rolnikom. To, że dzierżawcy prowadzili gospodarstwa wzorcowo i mieli umowy długoterminowe, znaczenia nie miało. Solidarność RI żądała odebrania polskiej ziemi z obcych rąk. O odebraną ziemię powiększali swoje gospodarstwa protestujący sąsiedzi. Miejscowi twierdzą, że niektórzy, w tym autor peanu na cześć Białkowskiego, dysponują już setkami hektarów, rozpisanymi na rodzinę. Ministerstwo też to wie, państwowa ziemia stała się walutą, za którą kupuje się wpływy i głosy.

Na protest szczeciński przyjechał minister Rober Telus. – *Wparował do protestujących w żółtej kamizelce z napisem Solidarność RI i stanął na czele protestu* – wspomina świadek tego zdarzenia. Białkowski dostał wysokie stanowisko w centrali KOWR, odpowiadał za gospodarkę państwową ziemią, a przynajmniej część protestujących rolników przeniosła swoje sympatie polityczne z aktywnej podczas protestów Konfederacji na PiS.

Ciszej nad tym KOWR

Po wyborach w 2023 r. szefem KOWR został Henryk Smolarz, poseł PSL, mianowany już przez ministra rolnictwa w rządzie koalicji 15 października Czesława Siekierskiego. Po wybuchu afery przyznał, że o sprzedaży ziemi dowiedział się w styczniu 2024 r., czyli szybko. A jednak w audycie, którego celem było ujawnienie przekrętów poprzedników w KOWR, nie ma o tym ani słowa. Co jest dziwne, cały KOWR bowiem tak dużych transakcji sprzedaży ziemi nie robił, a jego oddział na Mazowszu – żadnej, musiała więc rzucać się w oczy. Czyżby obecne władze dysponenta państwowej ziemi uważały, że wszystko jest w porządku?

Także potem, gdy nowe władze CPK pytały, kto właściwie jest właścicielem tej ziemi, jaki jest jej status prawny, władze KOWR kręciły i zwlekały z odpowiedzią. Jaki miały w tym interes? Podejrzenia, jakie próbują rzucać politycy prawicy, że nowa władza zwlekała z ujawnieniem afery i skierowaniem jej do prokuratury, bo współudziałowcy Dawtony wsparli finansowo Campus Rafała Trzaskowskiego, są absurdalne. – *Oni finansowali wszystkie* ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ *partie, PiS też, bo chcieli mieć spokój* – twierdzi dobry znajomy rodziny Wielgomasów.

O co więc chodzi? W jednym punkcie zarówno PiS-owi, jak i ludowcom chodzi o to samo – żeby awantura wokół KOWR ucichła jak najszybciej. Żeby naród o istnieniu tej agencji zapomniał. Szczególnie nie chcieliby, żeby jej funkcjonowaniu zaczął się przyglądać minister finansów, który zapewne nie ma pojęcia, jak dużymi pieniędzmi obraca agencja. I na co je wydaje.

Kiedy zasobem gruntów państwowych dysponowała jeszcze Agencja Nieruchomości Rolnych, zasady jej funkcjonowania były dla rolników czytelne. Mogli stawać do przetargu na dzierżawę; najlepszych zapewniano, że kiedyś będą mogli ziemi dokupić. *– Były lata, kiedy ANR z czynszu dzierżawnego, a także ze sprzedaży ziemi odprowadzała do państwowej kasy nawet 2 mld zł* – przypomina jej były pracownik. KOWR nie odprowadza do budżetu nic. Został powołany nie po to, żeby ziemię państwową najlepszym rolnikom sprzedawać, ale żeby ją dzierżawcom odbierać, bez względu na termin zakończenia umowy.

Prawo i Sprawiedliwość, powołując KOWR w 2017 r. na mocy ustawy, wyposażyło tę agencję w uprawnienia, jakich nie miała ani Agencja Nieruchomości Rolnych, ani tym bardziej Agencja Rynku Rolnego. KOWR miał obie po prostu połączyć. Tymczasem powstało narzędzie karmienia władzy i korupcji. PSL najwyraźniej (o czym POLITYKA pisała już kilkakrotnie) nie zamierza się tego narzędzia pozbywać.

Oficjalnie KOWR ma dbać o to, aby polska ziemia nie trafiła w obce ręce, co wielu wyborcom bardzo się podoba. W jego zasobie jest ciągle 1,2 mln ha gruntów państwowych, ale władza PiS wyposażyła go w uprawnienia, pozwalające ingerować także we własność prywatną. Wszystkich gruntów rolnych jest w Polsce ponad 15 mln ha, KOWR ma władzę także nad prywatnymi.

Zaczęło się od tego, że PiS coraz bardziej straszył Polaków, że wykupią nas Niemcy. Dane temu przeczyły, ale strach ma wielkie oczy. Więc wprowadzono prawo, w myśl którego grunt rolny może nabyć tylko rolnik z tej samej wsi, a najdalej sąsiedniej gminy za zgodą KOWR.

Nie wszyscy jeszcze zdawali sobie sprawę, co to znaczy. A znaczy to, że posiadacz prywatnych hektarów nie może ich sprzedać, komu zechce, prawo pierwokupu ma KOWR, jak z niego nie skorzysta, to wskaże nabywcę i wyznaczy cenę. Restrykcyjne prawo, oczywiście, nie dotyczy swoich. KOWR np. wyraził zgodę, aby m.in. Daniel Obajtek (kto jeszcze?) nakupował od prywatnych właścicieli działek rolnych w okolicach budowy elektrowni atomowej w Choczewie. Ich pierwotni właściciele zdawali sobie sprawę, że cena podskoczy i znajdą wielu innych chętnych, którzy zapłacą więcej, ale wtedy KOWR może się na transakcję nie zgodzić.

Nawet zwolennicy PiS nie zdają sobie sprawy, że ich dzieci, które już rolnikami nie są, będą mogły hektary odziedziczyć, ale w następnym pokoleniu już nie. Nabywców wskaże KOWR.

Zaproszenie do korupcji

KOWR stworzono po to, by zabetonować władzę PiS na wsi. Zaczęto od odbierania dzierżawcom 30 proc. uprawianej ziemi. Duże gospodarstwa dzieli się teraz na dziesięciohektarowe działki i ogłasza przetargi dla drobnych rolników. Nieważne, że małe gospodarstwa nie będą konkurencyjne, chodzi przecież o głosy. Urzędnicy przymykają oko na to, ile działacze Solidarności RI zgromadzili ziemi naprawdę i kto ją uprawia.

Tworząc KOWR, PiS kupił też sobie lojalność jego urzędników, bo to także swoi ludzie, którym dano sporą władzę. Każdy właściciel działki o powierzchni większej niż 3 tys. m kw., jeśli choćby jej mały kawałek figuruje w rejestrze jako grunt rolny, nie może jej sprzedać wybranemu przez siebie nabywcy, po ustalonej przez obie strony cenie. Musi zapytać o zgodę KOWR, który może transakcji zabronić albo skorzystać z prawa pierwokupu. Opisywaliśmy przypadek właścicieli takiej działki, którzy z powodu choroby musieli ją szybko sprzedać. Ich pech polegał na tym, że grunt (tylko mała jego część figurowała jako ziemia rolna) położony był w atrakcyjnym miejscu, w pobliżu stawu (ciek wodny), więc pracownik KOWR na transakcję się nie zgodził.

Zaproszeniem do korupcji są sytuacje, gdy działka ciągle figurująca w rejestrze jako grunt rolny położona jest w centrach dużych miast. Dużo jest takich w Warszawie, Poznaniu, Gdańsku, mogłyby na nich powstawać budynki mieszkalne. Właściciel rolnik chciałby ją sprzedać, niejeden deweloper gotów jest dobrze zapłacić. Bez zgody urzędnika KOWR, który i w tym przypadku ma prawo pierwokupu, nie da rady. Rozwiązaniem byłby miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego, ale w wielu dużych ośrodkach ciągle ich nie ma. Łapówki są wpisane w ceny mieszkań. Władza KOWR sięga jeszcze dalej. Jeśli teren jest własnością prywatnej firmy, a choćby tylko kawałek parkingu leży na feralnym gruncie rolnym, ten fakt umożliwia KOWR wyciąganie rąk po akcje takiej firmy. Szczęśliwie zrobiono wyjątek dla spółek giełdowych. O konstytucyjnym poszanowaniu prywatnej własności PiS nie pamiętał.

Państwo w państwie

Jeśli minister Andrzej Domański do tej pory nie znalazł czasu, aby zainteresować się, czym naprawdę jest KOWR, niech zrobi to jak najszybciej. W ustawie budżetowej nie ma wydatków tej agencji, a rocznie dysponuje ona setkami milionów zarobionych na obrocie ziemią. „Są wydawane na wsparcie rolników". Wybranych. Kiedy np. upadała źle zarządzana przez działacza PiS, a okresowo nawet wiceministra rolnictwa, spółdzielnia Bielmlek, przedłużały jej agonię kredyty gwarantowane przez KOWR i potem spłacane przez KOWR. W każdej aferze (m.in. ze skupem jabłek, a potem owoców miękkich) wytypowane do skupu zaprzyjaźnione firmy otrzymywały wsparcie od KOWR albo kredyty przez niego poręczane, które potem spłacał.

Jeśli minister finansów nie ma o tym pojęcia, niech zajrzy do raportów NIK. KOWR to państwo w państwie, funkcjonujące na podobnych zasadach jak Lasy Państwowe. Łup polityczny, praktycznie wyjęty spod nadzoru ministra finansów.

Polacy nie zdają sobie sprawy z tego, że oprócz dopłat unijnych, które dostaje aż 1,3 mln gospodarstw, polscy drobni rolnicy są najhojniej w UE wspierani także przez dziurawy budżet krajowy, nie muszą płacić PIT, tylko symboliczną składkę na zdrowie. Nawet ich emerytury, choć składki na KRUS są kilkakrotnie niższe niż na ZUS, zbliżyły się wysokością do zusowskich. PiS kupił sobie władzę na wsi za pieniądze reszty Polaków.

***

Ze wstępnych rozmów z Piotrem Wielgomasem, właścicielem 160 ha, których obecną wartość szacuje się nawet na 400 mln zł, wynika, że gotów jest on oddać ziemię nawet za cenę zakupu. Spokoju już za to nie kupi.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl bb931bc7ab

Kryptol



Udzielny książę w Polskim Komitecie Olimpijskim Radosław Piesiewicz, któremu od lat towarzyszymy na łamach POLITYKI, znów szokuje. Właśnie zmienił nazwę siedziby PKOl na: zondacrypto Centrum Olimpijskie im. Jana Pawła II.

MARCIN PIĄTEK

Wszyscy już chyba słyszeli o sponsorskiej umowie między prezesem a giełdą kryptowalut zondacrypto. Dziś działa ona za granicą, ale jej polska przeszłość jest wyjątkowo mroczna. Jeszcze kilka lat temu nazywała się BitBay, a w mediach przedstawiano ją jako autorski projekt Sylwestra Suszka, który przeszedł błyskotliwą drogę od sprzedaży części komputerowych, przez marketing, pośrednictwo finansowe, aż do największej w Polsce giełdy kryptowalut, na których znał się ponoć jak mało kto. Nazywano go „polskim królem bitcoinów", a 30-letni Suszek chwalił się, że na giełdzie obroty sięgają miliarda złotych dziennie, kolekcjonował luksusowe samochody i nieruchomości oraz planował wznieść w Katowicach wieżowiec Suszek Tower.

W 2019 r. BitBayowi zaczęli się przyglądać dziennikarze „Superwizjera" TVN. Ujawnili, że udziałowcami firmy są osoby wywodzące się ze śląskiego półświatka, a kryptowalutowa giełda może służyć do prania brudnych pieniędzy. Krajowa Administracja Skarbowa bezskutecznie domagała się od niej danych klientów. W końcu KNF wpisała BitBay na listę ostrzeżeń, a banki obsługujące giełdę wypowiedziały jej rachunki. Suszek przeniósł swój biznes do Estonii.

Znikają nie tylko pieniądze

W marcu 2022 r. Sylwester Suszek przyjechał samochodem do bazy paliwowej w Czeladzi, gdzie trzymał swój helikopter i miał biuro. Później miał zaplanowanych kilka spotkań, na które nie dotarł, a jego telefon stracił zasięg. Ustalono, że ostatnią osobą, która widziała Suszka, jest Marian W., zwany „Mańkiem", właściciel tej bazy. Był przesłuchiwany w sprawie zaginięcia, a jego wyjaśnienia okazały się najwidoczniej na tyle wątpliwe, że w grudniu 2024 r. dostał zarzut pozbawienia Suszka wolności. Ale do aresztu nie trafił. Od lat toczy się również sprawa, w której „Maniek" jest podejrzany o oszustwa podatkowe i narażenie Skarbu Państwa na stratę prawie 300 mln zł.

Siostra zaginionego, Nicole, twierdzi w wywiadach, że gdy pytała o Sylwka, „Maniek" miał jej odpowiedzieć, że odjechał z jakąś kobietą jej samochodem. Tego nie udało się potwierdzić, bo owego dnia monitoring na stacji się popsuł. Nicole ujawniła również, że wkrótce po zaginięciu brata otrzymała nagranie, a głos, jej zdaniem bardzo podobny do głosu Sylwka, prosił o przelanie bitcoinów o wartości 12 mln zł na wskazane konto. Nie była w stanie zgromadzić takiej sumy. Kolejną wiadomość otrzymała po mniej więcej dwóch tygodniach – tym razem głos twierdził, że palce porwanego zostaną przesłane rodzinie. Wiadomość pisemna głosiła, że jeśli okup nie wpłynie, zwłoki Sylwka zostaną wrzucone do jeziora. Był to – według Nicole Suszek – ostatni kontakt od domniemanych porywaczy. ▶

© WITOLD JAROSŁAW SZULECKI/EAST NEWS

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ Stery zondacrypto przejął Przemysław Kral i to on podpisał kontrakt sponsorski z PKOl. Michał Fuja, dziennikarz „Superwizjera": – *Kral miał kancelarię w Tychach, chyba niezbyt wziętą, bo mówiono o nim „adwokat z Fiata 500". Suszek miał go wpisanego w telefonie jako „Przemek, adwokat Mańka". Gdy przeprowadzałem rozmowę z Suszkiem, Kral siedział obok, przysłuchiwał się, nagrywał, ale ani razu nie zabrał głosu.*

W trakcie prac nad materiałem, gdy jeszcze Suszek sterował BitBayem, Michał Fuja otrzymał propozycję 1 mln zł łapówki za porzucenie tematu. Powiadomił policję i przełożonych, a gdy sprawa wyszła na jaw, Suszek starał się odwrócić kota ogonem: że to Fuja wyreżyserował wątek łapówki, aby podkręcić zainteresowanie tematem. Gdy jednak sprawa trafiła do sądu, Mateusz J., który złożył dziennikarzowi ofertę, został uznany za winnego próby przekupstwa oraz gróźb wobec dziennikarza i otrzymał karę grzywny w wysokości 20 tys. zł. Mecenasa Krala oskarżono o utrudnianie śledztwa poprzez manipulowanie dowodami. Najpierw został uniewinniony, ale niedawno sąd apelacyjny skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia, argumentując, że zabezpieczone dowody wskazują na wysokie prawdopodobieństwo popełnienia przez podejrzanego przestępstwa.

Już po zaginięciu Suszka Kral wyjechał z Polski. Osiadł w Monako. Z pomocą usłużnych dziennikarzy związanych ze światkiem kryptowalut lansuje własną wersję: Suszek ufał mu bezgranicznie, więc gdy postanowił wycofać się z biznesu, powierzył prowadzenie firmy właśnie jemu. Michał Fuja: – *Wiele wskazuje na to, że ludzie z półświatka stojący za BitBayem upomnieli się o swoje pieniądze. Pojawiły się groźby, w Ferrari Suszka ktoś wbił siekierę. Według materiałów, które zdobyliśmy, odejście Suszka z giełdy było na nim wymuszone. Kral, do którego Suszek miał zaufanie, obiecywał zabezpieczyć jego majątek idący w dziesiątki milionów złotych, które zbił na kryptogiełdzie. Ale już po zaginięciu Suszka nieruchomości sprzedano bez wiedzy jego rodziny.*

Kral stara się przedstawiać jako zarządzający zondacrypto, ale figuruje jako beneficjent rzeczywisty spółki Divisio Holding AG, jedynego udziałowca estońskiej firmy stojącej za zondacrypto. Biuro prasowe kryptogiełdy oględnie odpowiedziało na kilkanaście pytań POLITYKI na temat Przemysława Krala i jego faktycznej roli. Nie było w stanie wyjaśnić, skąd Kral miał środki na to, by przejąć biznes Suszka. Prezes Kral stara się również odciąć od tego, że w przeszłości był pełnomocnikiem brata „Mańka", Jacka W., podejrzanego m.in. o udział w zorganizowanej grupie przestępczej zajmującej się oszustwami podatkowymi oraz o fałszowanie dokumentów (biuro prasowe odpisało, że nie był jego obrońcą, nie odpowiadając na pytanie, czy był pełnomocnikiem). A sam „Maniek" bywa w Monako, na imprezach organizowanych przez zondacrypto.

Przepalone miliony

Na razie Piesiewicz spycha tupetem działaczy do narożnika. Zaczynał od kuszenia: podczas kampanii wyborczej na prezesa PKOl na początku 2023 r. zapewniał, że obsypie związki sportowe złotem. Wciąż rządził PiS, a przepływ kasy – Piesiewicz obiecywał 300 mln zł – miał gwarantować jego dobry znajomy Jacek Sasin, szef Ministerstwa Aktywów Państwowych. Razem przećwiczyli ten mechanizm w koszykówce, gdzie Piesiewicz rządził niepodzielnie i odcinał milionowe prowizje od umów sponsorskich z państwowymi firmami.

Gdy PiS przegrał wybory, Piesiewicz stracił mocodawcę. Z państwowych firm, które jedna po drugiej wypowiedziały umowy, PKOl udało się urwać 66 mln zł. Do związków sportowych trafiła co najwyżej połowa tej kwoty. Okazało się też, że Piesiewicz przepala w komitecie miliony, którymi sportowcy na pewno by nie pogardzili. Prawie 13 mln zł wydano na wynajęcie podczas igrzysk w Paryżu pałacyku w Lasku Bulońskim, ochrzczonego mianem Domu Polskiego, gdzie Piesiewicz rezydował. POLITYKA ujawniła, że załatwił zlecenie firmie informatycznej, którą znał z koszykówki. Za 3 mln zł stworzyła system wolontariatu, choć PKOl na co dzień nie korzysta z wolontariuszy. 1,5 mln zł wydano na remont mieszczącej się w siedzibie PKOl restauracji oraz dofinansowanie spółki, która miała w imieniu olimpijskiej centrali zarządzać gastronomicznym biznesem. Na jej czele Piesiewicz postawił znajomą z Polskiego Związku Koszykówki, pracującą tam jako dyrektorka biura. W ciągu półtora roku rządów w PKOl sam prezes zainkasował 1,35 mln zł. Nic dziwnego, że medaliści paryskich igrzysk dostali finansowe nagrody z kilkumiesięcznym poślizgiem, a ze sprawozdania finansowego przedstawionego parę miesięcy temu wynikało, że PKOl zamknął rok 2024 na 12-milionowym minusie.

Między PiS-em a Polsatem

Taki prezes jest dla PKOl klęską wizerunkową, ale działacze – w tym liczni medaliści olimpijscy – nie widzą problemu. Nawet miażdżący dla Piesiewicza raport komisji rewizyjnej PKOl – o braku transparentności finansowej, umowach sponsorskich niekorzystnych dla związków oraz wydaniu milionów od sponsorów nie wiadomo na co – nie zrobił na nich większego wrażenia. Chwilowe poruszenie zapanowało wczesną wiosną, gdy śledztwo w sprawie zainkasowania przez Piesiewicza co najmniej 7,3 mln zł za fikcyjne pośrednictwo przy pozyskiwaniu sponsorów dla koszykówki wszczęła prokuratura. W obieg poszedł wówczas list będący wotum nieufności wobec Piesiewicza, podpisany przez prawie wszystkich prezesów związków olimpijskich. Jednak część z nich na wyścigi zaczęła go zapewniać, że podpis złożyli pod presją ówczesnego ministra sportu Sławomira Nitrasa. Rewolucyjna atmosfera uleciała, a Nitras – nielubiany w środowisku, bo dawał do zrozumienia, że działacze są darmozjadami – wkrótce zapłacił stanowiskiem za współautorstwo fatalnej kampanii prezydenckiej Rafała Trzaskowskiego.

Po podpisaniu umowy z zondacrypto działaczy zalała nowa fala oburzenia. – *Mroczna historia tej firmy to jedno. Inna sprawa to decyzja prezesa, by do nazwy centrum olimpijskiego dodać nowego sponsora. Do tej pory patronem centrum był Jan Paweł II. Miałaby go zastąpić firma, o której mówi się, że powstała z pieniędzy gangsterów?* – pyta jeden z członków prezydium zarządu PKOl. Tyle że list domagający się od Piesiewicza wyjaśnień podpisało zaledwie piętnaścioro działaczy. Są wśród nich niedawni mistrzowie – Otylia Jędrzejczak, Adam Małysz, Leszek Blanik, Adam Korol. Grono mocne, ale niewielkie.

Jeden z sygnatariuszy zwraca jednak uwagę na nazwisko Mariana Kmity, szefa Polsatu Sport. – *Gdy Marian z mediów usłyszał o dealu, zdenerwował się. Rozsierdziła go sprawa zmiany nazwy: papieski patronat dla centrum olimpijskiego to inicjatywa byłego prezesa PKOl Piotra Nurowskiego, który zginął w katastrofie smoleńskiej. A Nurowski zakładał Polsat Sport,*

eprasa.pl bb931bc7ab



Marian przejął jego dziedzictwo – mówi wiceszef dużego związku.

Podczas kampanii wyborczej w 2023 r. Piesiewicz rozsyłał wśród działaczy swoje zdjęcie w towarzystwie Kmity i Zygmunta Solorza, co robiło wrażenie. Do tej pory Kmita stał przy boku prezesa, a w polsatowskich mediach Piesiewicz mógł liczyć na gościnę, niekłopotliwe pytania i lansowanie swojej narracji. – *Piesiewicz, w porównaniu z Kmitą, to płotka i blagier. Jeśli Marian zagnie na niego parol, będzie miał problem* – przewiduje jeden z działaczy.

Jednak ścieżka ewentualnego odwołania prezesa nie została w statucie PKOl określona precyzyjnie. Jedno jest pewne: trzeba mieć po swojej stronie większość działaczy, nawet dwie trzecie. Tymczasem Piesiewicz zachowuje w PKOl wielu stronników. Jednych obłaskawił stanowiskami i pensjami, innym imponuje swoim bezpardonowym i bezczelnym stylem bycia, jeszcze inni trzymają z nim z powodu powinowactwa poglądów. – *To sympatycy i zwolennicy PiS, szczególnie aktywni w Towarzystwie Olimpijczyków Polskich. Prym wiodą wśród nich Mietek Nowicki, Teresa Sukniewicz-Kleiber, Wojciech Bartnik, Tadeusz Mytnik. W odpowiedzi na nasz ostatni list wystosowali swój, w którym twierdzą, że Piesiewicz gwarantuje apolityczność. To kpina w żywe oczy. Piesiewicza wyhodował Sasin, prezes starał się wylansować prezydenta Dudę do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, zresztą bardzo nieudolnie, a teraz obrał kurs na Nawrockiego. W towarzystwie tej wymienionej czwórki z TOP-u był na zaprzysiężeniu nowego prezydenta* – mówi jeden z działaczy.

Kup pan token

Zondacrypto szczyci się długą listą byłych i aktualnych partnerów sponsoringowych: kluby piłkarskie Juventus FC, Atalanta BC, Parma, Raków Częstochowa i Pogoń Szczecin; wyścigi kolarskie Tour de Pologne i Giro d'Italia. Jest też indywidualnym sponsorem tenisistki Magdaleny

Przemysław Kral (z lewej)**, w imieniu zondacrypto, i Radosław Piesiewicz, w imieniu PKOl, podpisali umowę sponsorską. Przy okazji ogłoszono emisję TeamPL, „pierwszego tokena olimpijskiego".**

Fręch i kolarki Katarzyny Niewiadomej. Sport jest niezłym wehikułem reklamowym, można nim trafić do grupy docelowej, bo kryptowaluty to głównie domena młodych mężczyzn, a ci dominują na stadionach.

Co dla jednych jest marketingiem sportowym, dla innych jest sportwashingiem, czyli poprawianiem wizerunku poprzez skojarzenie z emocjonującymi wydarzeniami i konkretnymi zawodnikami. Przy okazji umowy z PKOl ogłoszono emisję „pierwszego tokena olimpijskiego na świecie". TeamPL (giełdowy skrót TMPL) ma się stać alternatywną cyfrową walutą PKOl, za pomocą której komitet będzie się rozliczać. Olimpijczycy, którzy zdobędą medale na nadchodzących igrzyskach w Cortina d'Ampezzo, mają obiecane nagrody, z których połowa (czyli odpowiednio 250, 200 i 150 tys. zł za złoto, srebro i brąz) zostanie wypłacona w tokenach.

To stosunkowo nowa kategoria aktywów kryptograficznych korzystających z technologii blockchain. Narodziła się po pandemii, kiedy kluby piłkarskie zaczęły szukać nowych źródeł przychodów. Tokeny były skrzyżowaniem kryptowaluty z kartą kibica. Dzięki nim kibic może głosować w mniej ważnych sprawach dotyczących klubu (np. projekt strojów, wybór maskotki albo piosenek meczowych). Za tokeny można kupić zniżki na gadżety, wstęp na treningi albo spotkania z zawodnikami. Pionierem był tu turyński Juventus, dziś jest ponad 70 klubów lub drużyn z własnymi tokenami. Z polskich klubów jedynie warszawska Legia zdecydowała się na własny token $LEG. Socios.com, największa platforma wymiany kibicowskich tokenów, pod koniec 2021 r. podawała, że za pośrednictwem swojej aplikacji sprzedała piłkarskie tokeny warte niemal 300 mln dol.

Na temat TeamPL niewiele wiadomo. Prezes Kral przekonuje, że przyszli beneficjenci, jeśli nie mają zaufania do kryptowalut, mogą wypłacić całość w realnej walucie. Pytanie tylko, jaki wówczas będzie kurs TeamPL. Wartość tokenów klubowych często idzie w parze z modą na klub, jego wynikami albo spektakularnymi transferami. Cena tokena Paris Saint-Germain (wyemitowanego po niespełna 3 dol.) skoczyła do 61 dol. w dniu transferu Leo Messiego w sierpniu 2021 r. Dziś szoruje po dnie (niewiele ponad 1 dol.) i nawet niedawne zwycięstwo w Lidze Mistrzów nie wywołało hossy. W przypadku tokena PKOl trudno się odwołać do konkretnych wydarzeń czy osiągnięć. Medale olimpijczyków? PKOl nie ma nic wspólnego z ich przygotowaniami, to zadanie konkretnych federacji sportowych, finansowanych z Ministerstwa Sportu, które Piesiewicz chciałby likwidować. A ogon niewyjaśnionych spraw ciągnący się za duetem Kral–Piesiewicz raczej nie budzi zaufania ewentualnych inwestorów.

Prezes Kral w licznych wywiadach ubolewa, że polski rząd i KNF są technologicznie zacofani i nieufni wobec kryptowalut. Trudno się jednak dziwić. Historia polskiego rynku krypto to długa lista porażek, oszustw i piramid finansowych: Bitomat, BitMarket, FutureNet, FuturoCoin, Coinroom, Abucoins, Coinbe, Pracownia Nowych Technologii, Tokeneo, Sapiency, Mosaico, Rahim BlakMetahero, HubBurger, LiRoyal, BigShortBets, CoinPlex. W niektórych przypadkach inwestorzy ponieśli gigantyczne straty. Z BitMarketu znikło bezpowrotnie 2300 bitcoinów (dziś to ok. 1 mld zł), a właściciel giełdy został znaleziony martwy z raną postrzałową głowy. Za powiązanie polskiego ruchu olimpijskiego z rynkiem kryptowalut Piesiewicz na pewno zasłużył na złotego tokena.

MARCIN PIĄTEK
WSPÓŁPRACA ADAM GRZESZAK

© PKOL (2)

eprasa.pl bb931bc7ab

Gniewne zetki

Fala protestów pokolenia Z przetacza się przez kraje tak odległe jak Madagaskar, Peru i Serbia. Młodzi obalają rządy, ale nie bardzo wiedzą, jak przekuć energię buntu w siłę do rządzenia. I nie dać sobie ukraść rewolucji.

PAULINA WILK



Wiele ich łączy. Są młodzi, pochodzą z pokolenia urodzonego na przełomie XX i XXI w., to tzw. zetki. Większość z nich zna japońską anime „One Piece", której bohater wypływa w rejs, by posiąść wielki skarb i przeciwstawić się złym piratom. Na pokład zabiera bandę charakternych sojuszników. Płyną śmiało z poczuciem słuszności, napędzani wiatrem buntu. A nad ich statkiem łopocze bandera z trupią czaszką przystrojoną w słomkowy kapelusz.

Ten emblemat z historyjki o kapitanie Monkey D. Luffym połączył – symbolicznie i etycznie – serię protestów, które od ubiegłego roku przetaczają się przez kraje tak od siebie różne, jak Filipiny, Serbia, Indonezja, Kenia, Maroko, Madagaskar czy Nepal.

Dla demonstrujących wirtualne funkcjonowanie jest immanentną cechą życia oraz ich politycznej aktywności. W sieci się spotykają, wymieniają poglądami, stąd czerpią wiedzę, tu dzielą się krytyczną oceną rzeczywistości. Ale też widzą nierówności, umieją liczyć niesprawiedliwie dystrybuowane pieniądze i przywileje, zmagają się z dostępem do pracy, mieszkań, edukacji, lekarzy. Z brakiem demokracji i podstawowych praw. Mają do czynienia z rządami starych elit nad młodymi populacjami.

Wbrew prognozom snutym o tej generacji dzieci przełomu wieków wcale nie odpłynęły w wirtualny świat. Pokazują, jak wykorzystywać narzędzia cyfrowe do organizowania demokratycznego oporu. Łączy ich, a nawet zaskakuje, coś jeszcze – gwałtowne tempo rozwoju protestów.

Ta szybkość przynosi jednak niebezpieczeństwo łatwego wypalenia się sprzeciwu, braku czasu na refleksję i autentyczną przebudowę układów, które protestujący chcą obalić. Podczas gdy jedni rozbijają się o bezlitosny opór władzy, inni patrzą, jak ich energię przechwytują doświadczeni gracze.

Czy więc słuszny gniew pokolenia Z, dotyczący korupcji i arogancji elit, ma szansę przynieść strukturalne zmiany? Czy też sam stanie się tylko memem?



Piracka flaga z trupią czaszką w kapeluszu stała się symbolem serii protestów młodych. Na fot. **Katmandu, wrzesień 2025 r., płonący pałac Singha Durbar – siedziba nepalskiego rządu.**

© ABACA/FORUM

Ulica i raperzy

Wyspiarski Madagaskar słynie z bioróżnorodności. To największy producent wanilii na świecie, ale też jeden z najuboższych krajów. Tylko co czwarty mieszkaniec ma dostęp do elektryczności, ponad 60 proc. żyje w ubóstwie. A przy tym połowa nie ukończyła 25. roku życia. Niemal całą dotychczasową niepodległą historię kraju, który 65 lat temu przestał być kolonią Francji, naznaczyły zamachy stanu i kwestionowane wybory.

Bezpośrednią przyczyną protestów młodych, które wybuchły przed miesiącem, były przerwy w dostawie prądu i wody. Ale bunt ukazał głębsze problemy – powszechne niezadowolenie z rządów prezydenta Andry Rajoeliny i rosnące bezrobocie. Młodzi z organizacji Gen Z Mada najpierw skrzykiwali się z pomocą Facebooka i TikToka, potem połączyli siły z sektorem pozarządowym, lokalnymi politykami, poparły ich związki zawodowe.

A reakcja władz się zaostrzała. Policja strzelała z ostrej amunicji, zginęło kilkanaście osób, dziesiątki zostało rannych. Ostatecznie prezydent, były didżej, salwował się ucieczką, w czym pomogła mu Francja. Władzę przejęło wojsko, które obiecało wybory za dwa lata. Ale protestujący poczuli się oszukani.

Także we wrześniu na ulice Manili wyszli młodzi Filipińczycy. Ponad 130 tys. osób zgromadziło się w parku Luneta – miejscu symbolicznym, bo organizowane tam niegdyś protesty doprowadziły w 1986 r. do obalenia rządów znienawidzonego prezydenta Ferdinanda Marcosa. Teraz władzę sprawuje jego syn. A za Filipińczykami jest wyjątkowo ciężki, ulewny monsun, który doprowadził do potężnych powodzi.

Gdy ludzie walczyli z żywiołem, wybuchł finansowy skandal. Ujawniono, że ok. 2 mld dol., które miały być przeznaczone na infrastrukturę przeciwpowodziową, zostało zdefraudowanych. Prezydent Marcos jr. odciął się od oskarżanych o korupcję polityków, protestującym przyznał rację, ale to nie uspokoiło nastrojów. Hymnem protestów stał się utwór „Upuan" rapera Gloc-9, w którym opowiada o politycznych stołkach i tych, którzy sycą się władzą, ignorując potrzeby ludzi.

Główne przyczyny protestów – korupcja rządzących i arogancja elit – przypominają te podnoszone równocześnie przez demonstrantów pokolenia Z w Nepalu. Na platformach społecznościowych także zaroiło się od memów ośmieszających córki i synów elit, którzy lubią nosić ekskluzywne marki i popisywać się luksusem. W memach są porównywani do krokodyli, azjatyckich symboli chciwości. O ile jednak gwałtowne protesty Nepalczyków doprowadziły do zmiany władzy, o tyle łagodni demonstranci w Manili nic nie wskórali.

Na przeciwległym krańcu świata, w Peru, we wrześniu protesty rozpoczęli młodzi z Generation Z Collective. Nie utożsamiają się z żadną siłą polityczną. Są zmęczeni grami o władzę i korupcją. A przede wszystkim przestępczością, plagą wymuszeń, szantaży i rosnącą dramatycznie liczbą zabójstw. Tylko za prezydentury Diny Boluarte, czyli od 2022 r., zginęło ponad 5 tys. osób. W październiku usunięto ją z urzędu, jej miejsce zajął tymczasowy ▶

epress.pl bb931bc7ab

▶ prezydent José Jerí. Jednak demonstrujący chcą jego ustąpienia i rozwiązania parlamentu.

By opanować protesty, wprowadzono 30-dniowy stan wyjątkowy. Mimo zakazów młodzi wciąż się gromadzą. Teraz mają nowy powód – policja zastrzeliła jednego z nich, popularnego rapera Truko.

Nepo Babies

W Maroku demonstracje młodych władza postanowiła zdusić w zarodku. W pierwszym tygodniu wrześniowych protestów za kratki trafiło ponad 500 protestujących. Młodzi skrzyknęli się pod nazwą GenZ 212, skorzystali z profili na gamingowej platformie Discord, po czym zorganizowali publiczne protesty. Są wściekli z powodu olbrzymich sum wydawanych na budowę obiektów sportowych przed piłkarskim Pucharem Świata, podczas gdy tu i teraz brakuje podstawowej opieki medycznej. Tylko w jednym szpitalu w Agadirze w krótkim czasie przy porodzie zmarło osiem kobiet. Ta właśnie sytuacja stała się zarzewiem protestów.

Demonstranci podpalali banki, stacje benzynowe, budynki władz. Kilka osób zginęło od policyjnych kul. Temperatura protestów opadła jednak po łagodzącym przemówieniu króla Muhammada VI, który wezwał władze do poprawienia opieki zdrowotnej i edukacji. Choć liderzy GenZ 212 zwołali kolejny wiec na 18 października, tłumów już nie było. Ale młodzi nadal domagają się ustąpienia premiera i śledztw antykorupcyjnych.

Gorycz rozczarowania szybko poczuli ci, którzy w 2024 r. zapoczątkowali falę demonstracji pokolenia Z, czyli Bengalczycy i Kenijczycy. Chociaż w Bangladeszu protesty sfrustrowanych studentów przekształciły się w rodzaj ludowego powstania i doprowadziły do wygnania premierki Sheikh Hasiny, to zamiast triumfu zaraz pojawiły się obawy o to, czy trwała zmiana będzie możliwa.

Tymczasowym przywódcą kraju obwołano szanowanego noblistę Muhammada Yunusa, jednak ponad rok po przełomie nie ma pewności, czy w lutym 2026 r. uda się wybrać parlament. Wojska nie zniknęły z ulic. Partia Hasiny została wykluczona z wyborów, ona sama jest oskarżona o zbrodnie przeciw ludzkości. Proces właśnie się zakończył, werdykt zapadnie 13 listopada.

Największego rozczarowania doznali młodzi Kenijczycy, którzy przenieśli sprzeciw z internetu pod budynki parlamentu w czerwcu 2024 r. Buntowali się przeciw podatkom nałożonym na mieszkania i podstawowe produkty. Byli rozgoryczeni, bo prezydent Wiliam Ruto, niegdyś sprzedawca kurcząt, obiecywał zniesienie gospodarczych ciężarów i wsparcie drobnej przedsiębiorczości. I jak w innych krajach, tu też szybko się okazało, że młodych frustrują systemowe ograniczenia, poczucie, że są niewidziani i ignorowani, mimo że stanowią większość – w Kenii trzy czwarte społeczeństwa.

Reakcja władz była brutalna. Gaz łzawiący, armatki wodne, ostra amunicja, ofiary i aresztowania. A po głównej fali protestów dalsze wyłapywanie i prześladowanie osób związanych z demonstracjami. Młodzi wycofali się znów do internetu.

O chwiejnym i krwawym sukcesie mogą mówić młodzi w Nepalu, którzy we wrześniu zebrali się w Katmandu, by okazać gniew na korupcję i odrealnienie elit. Zaczęło się od internetowej krytyki opływających w dostatki dzieci elit, tzw. *nepo babies*. W kilka godzin marsze przerodziły się w agresywne demonstracje, zaatakowane i podpalone zostały budynki władz. Parlament rozwiązano, prezydent zrezygnował. Podobnie jak w Bangladeszu,



Nairobi, czerwiec 2024 r., protesty kenijskiego pokolenia Z przeciw podatkom nałożonym na mieszkania i podstawowe produkty

rolę stabilizującą odegrali wojskowi – bardzo w Nepalu poważani – zapewniając, że ograniczą swoją rolę do zabezpieczenia ładu aż do zwołania nowych wyborów.

Większość protestujących Nepalczyków była zszokowana gwałtownym przebiegiem demonstracji, nie tego chcieli. Zaskoczyła ich brutalna przemoc, liczba ofiar i nagła odpowiedzialność.

Dach na głowę

Największą wytrwałość w protestach wykazują Serbowie. Tam odwagą sprzeciwu od studentów zarazili się nawet licealiści, którzy od kilku tygodni blokują dostęp do jednej ze szkół średnich. Prowadzą strajk okupacyjny przeciw dyrektorce, która – jak twierdzą – zwolniła wykwalifikowanych nauczycieli, by zatrudnić gorszych, popierających ją politycznie.

Do Nowego Sadu idą właśnie marsze studentów z innych, odległych miast uniwersyteckich. Chcą uczcić pamięć ofiar tragedii sprzed roku. Zapowiadali kulminację w postaci wielkiego wiecu 1 listopada. To tego dnia równo rok temu 16 osób zginęło na skutek zawalenia się dachu zapewniającego cień oczekującym na pociągi przed dworcem w Nowym Sadzie. Jego wadliwa konstrukcja miała być wynikiem korzystania z kiepskich materiałów budowlanych. Stała się symbolem opresyjnego i przeżartego korupcją reżimu, a marna konstrukcja budynku – ikoną zaniedbań.

Aleksandar Vučić, od 2017 r. prezydent, a wcześniej premier Serbii, wykorzystuje projekty infrastrukturalne do propagandy – sukcesy mierzy w kilometrach asfaltu i torów, a zbliżające się w 2027 r. Expo w Belgradzie ma być numerem popisowym władz. Trochę tak było z podwójnym otwarciem wyremontowanego dworca w Nowym Sadzie. Dla serbskiego prezydenta efekt wizerunkowy jest ważniejszy niż jakość i bezpieczeństwo.

Dlatego pokojowe spotkania i czuwania dla upamiętnienia ofiar tragedii łatwo przekształciły się w protesty, którym przewodzą studenci, a które mają poparcie setek tysięcy Serbów, nie tylko młodych. Chcą wcześniejszych wyborów i zmiany władzy, która tłamsi demokrację, przejmując kontrolę nad mediami i sądami. Wielu uważa, że wolne pozostały już tylko ulice.

Po miesiącach pokojowych demonstracji, konsekwentnie ignorowanych przez Vučicia zapewniającego, że serbskie państwo je przetrwa, sytuacja zaogniła się w sierpniu 2025 r. Wtedy kilkudniowe protesty ogarnęły duże miasta, w tym Belgrad. Policja użyła gazu i siły, wielu aresztowano. Protestujący mieli kamienie i jajka, a przeciwko sobie nieuzbrojone oddziały policyjnej prewencji, a także zorganizowane grupy demonstrantów popierających prezydenta.

eprasa.pl bb931bc7ab

Partia Vučicia traci poparcie, więc silniej odwołuje się do swego najtwardszego elektoratu: wyborców o skrajnie prawicowych, a często także prorosyjskich poglądach. Krytycy mówią, że prezydent pieniądze czerpie z Brukseli, a rozkazy – z Moskwy. Nastroje się pogarszają, dziś już 53 proc. Serbów uważa, że kraj zmierza w złym kierunku. Ludzi męczy inflacja i rosnące zadłużenie państwa, wciąż rządzonego tak, jakby środki były niewyczerpane.

Rok od tragedii w Nowym Sadzie serbskie protesty nie ustają. Jednak władza jest zabezpieczona: z kontrolowanymi mediami i sądami oraz rozbitą opozycją prezydent trwa, a demonstranci nie znaleźli jeszcze odpowiedzi, jak ducha protestu zmienić w metodę przejęcia władzy. Studenci boją się, że opozycyjne partie zawłaszczą ich sprzeciw, zaś antyrządowi politycy – że energia młodych ich zmarginalizuje.

Podtrzymać ogień

Technologiczna fala pokoleniowej i etycznej solidarności przetacza się przez świat w nowy sposób, obnażając stare konflikty. Przede wszystkim rośnie napięcie pomiędzy tłustymi elitami i młodymi masami dobrze znającymi nie tylko definicję, ale i smak wykluczenia. To jest do pewnego stopnia spór pokoleniowy, próbujący skruszyć arogancję zaawansowanych wiekiem i trzymających zasoby zaklętych kręgów władzy.

Ale ścierają się też nowe i stare sposoby myślenia o polityce. Podczas gdy zasiedziałe władze symbolizują przeżerany korupcją i autorytaryzmem ład instytucjonalny, nowe pokolenie demonstrantów jest zdecentralizowane, zorganizowane w ruch o wielu twarzach, odżegnujący się od budowania struktur. W tym paradoks i przeszkoda – platformy społecznościowe są doskonałymi narzędziami do szybkiego generowania kontaktu i emocji, ale wszędzie, gdzie protesty się zrodziły, napotykały barierę rzeczywistości. A władza to struktury, procedury, proza codzienności i natura ludzka.

O ile młodym wystarcza energii, argumentów i zdolności organizacyjnej, by dać zapłon do zmian, o tyle ich słabością jest brak odpowiedzi na pytanie: co dalej? Piorunujące tempo rozwoju protestów nie daje czasu na zorganizowanie się, ustalenie strategii długoterminowych. Dochodzi więc do zderzenia słusznych postulatów z niewzruszoną materią polityki.

Czy to porażka całego tego niezorganizowanego ruchu sprzeciwu? Czy zaledwie pierwsza runda, z której kompetentni i przekonani o swoich priorytetach młodzi powrócą lepiej przygotowani nie tylko do obalania, ale i przejmowania władzy? To pokażą już najbliższe miesiące. Bo wciąż żadna z kluczowych przyczyn wybuchu frustracji młodych – od Indonezji po Paragwaj – nie została rozwiązana.

Z punktu widzenia pokolenia Z rzeczywistość bardziej przypomina internetowy serial niż linearną opowieść. Krótkie fazy mobilizacji mogą więc mieć nowy polityczny sens. Warto wobec protestów pokolenia Z przyjąć postawę cierpliwego widza. Jesteśmy dopiero w pierwszym sezonie. Jeszcze nie zbuntowali się młodzi bohaterowie w Indiach, Wietnamie i Brazylii. A flaga z czaszką w słomkowym kapeluszu wciąż powiewa wysoko.

PAULINA WILK

© DONWILSON ODHIAMBO/GETTY IMAGES

REKLAMA



eprasa.pl bb93[illegible]c7ab

Listy z kolonii karnej

Rosjanie na zajętych terenach celowo zaostrzają represje wobec kobiet. Zesłane na Syberię, tkwią w czarnej dziurze przemocy i międzynarodowej bezsilności.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ, STAS KOZLIUK Z KIJOWA

Maria Senedżuk relacjonuje listy, które jej mama wysyła z syberyjskiej kolonii karnej (czyli ocenzurowane): – *Prosiła, żeby nie zapominano o kobietach. Nastroje wśród Ukrainek są coraz gorsze, bo one w zasadzie nie podlegają wymianom więźniów. Mają poczucie, że o nich zapomniano.* Pisane na papierze listy służba więzienna skanuje i przesyła mailem. – *Mama pisze, że tylko ja z najbliższej rodziny jestem na terytorium nieokupowanym, pozostaję więc jej jedyną nadzieją.*

Mama Marii Oksana skończyła właśnie 59 lat. To były już jej drugie urodziny w rosyjskiej niewoli. Z aresztu w rodzinnym Sewastopolu na Krymie wywieźli ją prawie 7 tys. km w głąb Rosji do kolonii kobiecej nr 7 w Buriacji. – *Jest w bardzo złym stanie, nikt z nas nie może jej odwiedzić. Boi się, że rosyjskie współwięźniarki mogą ją zabić. Albo że zostanie pochowana, a my nie będziemy nawet wiedzieć gdzie* – relacjonuje córka.

To również efekt jednej z taktyk rosyjskich oprawców: próbują złamać ofiary, wmawiając im, że nikt o nich nie pamięta. Ze strachu przed rosyjskimi współwięźniarkami (kryminalnymi) Oksana nie buntuje się, gdy każą jej pracować, i to ciężko, choć z powodu wieku i złego stanu zdrowia powinna być zwolniona z tego obowiązku. – *Ma silne migreny i problemy z sercem. To powoduje omdlenia, a przecież nie ma tam lekarzy, tylko jakiś felczer. Leki przekazują rodziny* – dodaje Maria.

Maria wyjechała z rodzinnego Sewastopola prawie 12 lat temu – po tym, jak Rosja dokonała aneksji Krymu. Potem, gdy w 2022 r. zaatakowała już całą Ukrainę, znów musiała uciekać – tym razem do Krakowa. Ostatecznie jednak wróciła z córką do Kijowa. Jej mama cały czas pozostawała na Krymie, by opiekować się starszymi rodzicami.



Oksana, mama Marii Senedżuk. Dostała wyrok 15 lat więzienia za „zdradę stanu" – kilkanaście zdjęć sewastopolskiej zatoki. Wywieźli ją prawie 7 tys. km w głąb Rosji do syberyjskiej kolonii karnej.

© AN , AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Choć z podbitych przez Moskwę terytoriów uciekły miliony ludzi, władze w Kijowie szacują, że wciąż żyje tam 5–6 mln Ukraińców, którzy nie mogli lub nie chcieli wyjechać. Z biegiem czasu wyjazd robi się coraz trudniejszy, a dla niektórych niemożliwy. Ci, którzy doświadczyli brutalnej codzienności, przekonują, że rosyjskie represje nie różnią się bardzo od tych z opowieści ich babć i pradziadków.

Po uwięzieniu Oksany w Sewastopolu został więc już tylko jej mąż, który zapowiada, że będzie „jak żona dekabrysty" – dopóki ona nie wyjdzie na wolność, on nie wyjedzie. Z Krymu łatwiej (choć wcale niełatwo) mu wspierać żonę, bo oboje przebywają na terytorium pod rosyjską administracją. Oksanie nawet dali do niego zadzwonić, on może wysyłać żonie paczki, a w razie potrzeby organizować prawników.

Szczególnie że listy od Oksany przestały ostatnio przychodzić. Kreml coraz skuteczniej utrudnia też korzystanie z komunikatorów, jak choćby WhatsApp, więc i Marii niełatwo skontaktować się z tatą. Po aresztowaniu żony mężczyzna jest coraz bardziej osamotniony, ludzie się od niego odwrócili, a niektórzy przestali nawet się witać. Coraz trudniej też zarobić mu na życie.

Krymska Grupa Praw Człowieka (HRG) wskazuje na wyraźny wzrost represji wobec kobiet na Krymie. – *To celowa polityka. Rosja próbuje zniszczyć jakikolwiek opór na terytoriach okupowanych, a kobiety są jego częścią* – mówi Olha Skrypnyk, szefowa HRG.

Półwysep był do tej pory traktowany mniej brutalnie niż pozostałe terytoria okupowane. Choćby dlatego, że ma duże

eprasa.pl bb931bc7ab

znaczenie symboliczne dla moskiewskiej propagandy – Kreml próbuje utrzymać pozory harmonii. Poza tym Rosja wzięła go niemal bez wystrzału, a terytoria zaatakowane później, w 2022 r., stawiły już militarny opór i represje od razu były brutalniejsze. – *Pobicia, porażenia prądem i głodzenie, ale też groźby przemocy seksualnej, w tym groźby gwałtu na dzieciach czy przemocy wobec bliskich* – wylicza Skrypnyk.

O ile informacje o porwanych przez Rosję tysiącach dzieci przebiły się w świecie, o tyle mało kto ma świadomość, że Rosja porywa też dorosłych. Zależnie od szacunków trzyma w więzieniach kilkanaście, a nawet 20 tys. Ukraińców z terenów, które podbiła. Jak pisze w raporcie o ukraińskich więźniach Amnesty International, „tortury odbywają się w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego (...) To nie jest seria odosobnionych incydentów – to systemowa polityka, która narusza wszelkie zasady prawa międzynarodowego".

Żołnierze, którzy trafiają do niewoli, mają przynajmniej status jeńców. Rosja co prawda nie szanuje ich praw, ale przynajmniej są międzynarodowe zasady, na mocy których mogą odzyskać wolność w ramach wymiany żołnierzy. – *Międzynarodowe prawo humanitarne zabrania porywania i przetrzymywania cywilów, nie istnieje więc mechanizm ich wymiany* – mówi Skrypnyk. I dlatego bardzo rzadko udaje się ich uwolnić.

Szczególnie trudna jest sytuacja tych Ukrainek, które pod okupacją – wbrew międzynarodowemu prawu – zostały zmuszone do przyjęcia rosyjskiego paszportu. – *Moskwa prawie nie wymienia Krymian. Odpowiada, że przecież to obywatele Rosji. Od 2014 r. wróciła do nas tylko jedna kobieta. Ale ona miała ukraiński paszport i mieszkała w Kijowie* – podsumowuje Skrypnyk.

– *Opór kobiet w Ukrainie istniał zawsze* – podkreśla prawniczka, która razem z wieloma innymi Ukrainkami organizowała na Krymie protesty przeciw rosyjskiej agresji. Kobiety wówczas na nich dominowały, również dlatego, że dla mężczyzn było to już zbyt niebezpieczne.

Na terytoriach okupowanych nadal działają nie tylko partyzanci, którzy organizują akty dywersji i ataki, ale też stosujący pokojowe metody cywile. Jedną ze zorganizowanych grup jest założona przez kobiety Zła Mawka. Zła, czyli reprezentująca słuszny gniew. Mawka, czyli postać z ukraińskiej mitologii – dusza zmarłej tragicznie kobiety, leśny duch, symbol kobiecej siły.



Maria Senedżuk: – Mama jest w bardzo złym stanie, nikt z nas nie może jej odwiedzić. Tylko ja z najbliższej rodziny jestem na terytorium nieokupowanym, pozostaję więc jej jedyną nadzieją.

„System, który Moskwa chce wprowadzić w okupowanej Ukrainie, opiera się na strachu i ucisku – i przekonaniu, że kobiety są obywatelkami drugiej kategorii, a ich miejsce jest w domu. (...) Aktywiści ryzykują życie, rozrzucając plakaty, ulotki i inne materiały oporu w okupowanych miastach. Wykorzystują głęboko zakorzenioną mizoginię sił okupacyjnych, które nawet nie podejrzewają, że kobiety mogą odgrywać tak aktywną rolę w oporze" – pisze Zła Mawka w swoim manifeście.

Opór obywatelski jest częścią walki psychologicznej. Rysowane na murach narodowe ukraińskie symbole lub zawiązywane na gałęziach żółte wstążki pokazują, że walka trwa. Biorąc pod uwagę skalę okupacyjnej przemocy, inwigilacji i donosicielstwa, nawet to bywa jednak niebezpieczne. W rosyjskich rejestrach można znaleźć kary nałożone za słuchanie piosenek czy wpisy w mediach społecznościowych.

Anastasija Bajramowa została ukarana potężną karą finansową za to, że zamieściła na Instagramie nagranie, na którym ubrana jest w tradycyjną ukraińską wyszywankę, ma makijaż w barwach ukraińskiej flagi i wyraża poparcie dla prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Od 2014 r. Rosjanie otworzyli na Krymie ponad 1,6 tys. spraw za „dyskredytowanie armii" – 52 proc. z nich przeciwko kobietom.

Za co uwięzili Oksanę? Maria opowiada, że jej mama zawsze była aktywna i proukraińska. Zabierała córkę na kijowskie Majdany, a gdy na Krymie zapanowała już rosyjska okupacja, nie gryzła się w język i obchodziła kolejne urodziny wieszcza Tarasa Szewczenki. – *Zawsze taka była i to właśnie dzięki niej pokochałam Ukrainę* – dodaje Maria.

Na pierwszą rewizję FSB przyjechała do nich w 2022 r., gdy na Oksanę doniosła sąsiadka – bo robiła zdjęcia. Od tamtej pory nieustannie była nękana telefonami i przesłuchaniami. Zabrali ją wiosną 2024 r., bo znaleźli u niej kilkanaście zdjęć sewastopolskiej zatoki. – *Nasz dom stoi tuż obok zatoki. To były zwykłe prywatne zdjęcia, złej jakości, bo ona miała jakiś stary telefon. Nie pokazali żadnego dowodu, że komuś te zdjęcia okrętów przekazała* – mówi Maria. Oksana dostała wyrok 15 lat więzienia za „zdradę stanu".

14-letni wyrok usłyszała w październiku 21-letnia Jana Suworowa (w chwili zatrzymania miała 19 lat). Gdy rosyjskie wojsko wkroczyło do jej rodzinnego Melitopola w 2022 r., mieszkańcy ▶

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ wychodzili na ulice i otwarcie protestowali, a ona została jedną z moderatorek telegramowej grupy „Melitopol to Ukraina". Jej członkowie – nawet 10 tys. osób – wymieniali się informacjami, gdzie doszło do ataku, kto zginął, gdzie można zdobyć leki. Gdy Rosja dążyła do przejęcia kontroli nad sferą informacyjną, grupa przekazywała wieści zdobyte przez media ukraińskie.

Organizacja Reporterzy bez Granic uznaje Janę za dziennikarkę i domaga się jej uwolnienia. – *Ludzie nie wiedzieli, co będzie dalej, i szukali w jej grupie informacji oraz moralnego wsparcia. Jako administratorka Jana miała m.in. wychwytywać rosyjskie boty lub kolaborantów* – opowiada partner zatrzymanej Ołeksandr Nikołajenko. Jana chowała się za chronionym z pomocą technologii pseudonimem, ale moskiewskie służby i tak ją znalazły.

Ołeksandr, który uczy dzieci baletu, poznał Janę jeszcze przed pełnoskalową wojną. Nie interesowała się wtedy polityką, pracowała w branży kosmetycznej i zamierzała studiować pedagogikę. On wyjechał na studia do Kijowa i namawiał ją, by zrobiła to samo, szczególnie po rosyjskiej agresji. Ale Jana uważała, że musi zostać z rodziną. – *Wiedzieliśmy, że ryzykuje, zostając moderatorką, ale prawdopodobnie była bardziej podekscytowana tym, że może coś konkretnego zrobić i pomóc* – opowiada mężczyzna.

O tym, że pętla wokół Jany się zaciska, dowiedzieli się od znajomego rodziny, który pracował w policji. Ograniczyła swoją aktywność w grupie, ale i tak przyszli po nią w środku nocy 20 sierpnia 2023 r. Zabrali też wtedy sześciu innych moderatorów i dziennikarzy. Jana Suworowa została zmuszona do „publicznego wyznania winy", akcja aresztowania całej grupy została sfilmowana i pokazana później w rosyjskiej telewizji.

Ołeksandr zaczął wtedy szukać kontaktu z rodzicami dziewczyny, do niego zaś dzwonili zrozpaczeni bliscy innych aresztowanych. Nikt jednak nie miał doświadczenia, co w takiej sytuacji robić. Na wsparcie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża nie mogli liczyć, bo Moskwa nie dopuszcza jego przedstawicieli do więźniów. Jana zdołała jednak przekazać rodzinie informacje i dane o innych aresztowanych, których spotkała na więziennym szlaku, żeby powiadomić ich rodziny. Ludzie na terytoriach okupowanych znikają czasem bez śladu.



© AN

Jana Suworowa, jedna z moderatorek telegramowej grupy „Melitopol to Ukraina". Chowała się za chronionym z pomocą technologii pseudonimem, ale moskiewskie służby i tak ją znalazły. W chwili zatrzymania miała 19 lat, dostała 14-letni wyrok.

Transportowana od aresztu do aresztu trafiła w końcu do cieszącego się wśród Ukraińców najgorszą sławą aresztu nr 2 w Taganrogu na południowym zachodzie Rosji. To tam kaci torturowali dziennikarkę Wiktorię Roszczynę, choć nie jest wciąż jasne, gdzie dokładnie ją zabili. Jak ustalili dziennikarze Viktoria Project, w zwłokach kobiety, które w końcu zostały oddane Ukrainie, „brakowało niektórych narządów wewnętrznych. W szczególności mózgu, gałek ocznych i części tchawicy".

Rosjanie zaczęli używać aresztu w Taganrogu jako więzienia dla ukraińskich cywilów, gdy jeszcze trwały walki o Mariupol. Więźniowie, którzy przeżyli, a z którymi rozmawiał dziennikarz Stas Kozliuk, opowiadali o okrutnych torturach. Zaczynało się od tzw. pryjomki – byli kopani, bici pałkami, a czasem kolbami karabinów. Według ukraińskich źródeł wywiadowczych udokumentowano przypadki śmierci więźniów już na tym etapie.

Potem ludzi głodzono, bito, przypalano zapalniczkami, wieszano głową w dół i rażono prądem. Grożono im śmiercią i gwałtem. Znany jest przypadek, gdy jedną z zatrzymanych kobiet próbowano wrzucić do pieca, aby ją zastraszyć. Listy do więźniów czasem w ogóle nie docierają, a czasem ich dostarczenie trwa nawet latami. Połączenia telefoniczne są zabronione. Prawnicy słyszą, że klienci nie chcą się z nimi widzieć. Jednym z głównych celów tortur jest zmuszanie ludzi do podpisywania zeznań dotyczących przestępstw, których nie popełnili.

W listach z więzienia, które krętą drogą docierały jednak do Nikołajenki, Jana pisze, że jest wyczerpana i czuje się „jak gówno". Każdy dzień przebiega pod dyktando zestawu surowych reguł, rozkazów i nakazów. – *Musisz śpiewać hymn, potem każą ci stać 30 minut, potem sprzątać i nic nie mówić. Jeśli stawiasz opór, ograniczają ci jedzenie* – relacjonuje.

Jana w listach zarzeka się również, że gdy wyjdzie na wolność, już nigdy nie pójdzie z Ołeksandrem na balet, bo w więziennej telewizji muszą oglądać powtórki „Jeziora łabędziego". Ołeksandr nawiązuje więc do żartu z czasów sowieckich i mówi, że razem z Janą czekają, aż „Jezioro łabędzie" zaczną puszczać w rosyjskiej telewizji. Bo za ZSRR był to nieomylny znak, że aktualna władza na Kremlu chyli się ku upadkowi.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ, STAS KOZLIUK

Tekst powstał dzięki wsparciu europejskiej sieci dziennikarskiej n-ost.

eprasa.pl bb931bc7ab





Na każdy temat z każdej strony

tokfm

JANEK KOZA DLA tokfm

eprasa.pl bb931bc7ab



Burmistrz na początek?

Zwycięstwo 34-letniego Zohrana Mamdaniego w Nowym Jorku może wywołać pokoleniową rewolucję w Partii Demokratycznej. I zainicjować jej powrót do władzy.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Przed oddaniem do druku tego numeru POLITYKI wynik wyborów na burmistrza Nowego Jorku nie był jeszcze znany. Wszystko wskazywało na to, że zwycięzcą zostanie Zohran Mamdani. Ale już sama perspektywa, że rządy w największym mieście najważniejszego wciąż kraju na świecie może objąć urodzony w Ugandzie muzułmanin hinduskiego pochodzenia, określający się jako demokratyczny socjalista, jest wydarzeniem historycznym.

W kampanii wyborczej Mamdani zapowiadał darmowe autobusy, bezpłatne przedszkola, zamrożenie czynszów i podwyżkę płacy minimalnej do 30 dol. za godzinę, co sfinansują wyższe podatki od milionerów. Mało kto sądzi, że uda mu się spełnić takie obietnice, ale kandydat ujął nowojorczyków swoją pasją i językiem konkretów, odbiegającym od mętnej retoryki typowych polityków.

Prawica przewrotnie cieszy się z takiego scenariusza. „Mamdani to przyszłość Partii Demokratycznej" – oznajmił Elon Musk, co powtarzają za nim spin doktorzy Partii Republikańskiej (GOP). Ma to oznaczać ostateczną zgubę Demokratów, bo radykalnego Mamdaniego nie zaakceptuje przecież większość Amerykanów. Republikanie przypominają, że opowiadał się kiedyś za obcięciem funduszy dla policji (w kampanii wycofał się z tego) i sympatyzuje z Palestyńczykami, chociaż popiera go znaczna część Żydów amerykańskich.

Pokolenie przesilenia

Dodatkową satysfakcję trumpistów wywołał spór wśród Demokratów wokół Mamdaniego. Został bohaterem partyjnej lewicy, był fetowany na wiecach przez kongresmenkę Alexandrię Ocasio-Cortez (AOC) i senatora Berniego Sandersa. Jednak prominentni politycy stronnictwa, jak Bill Clinton i senator Charles Schumer, odmówili mu poparcia, a inni zadeklarowali je z wyraźnym ociąganiem. Kandydat, orzeczono, zaostrzył ideologiczne podziały w demokratycznej opozycji, co zmniejszy szanse powrotu do władzy.

Dokładnie rok temu Demokraci (i Kamala Harris) sromotnie przegrali wybory prezydenckie. Z trudem dochodzą do siebie, wciąż mają niskie notowania. Fenomen Mamdaniego jest więc dla nich jak światło w tunelu. Ale jego kariera to nie tylko potwierdzenie rosnącej siły progresywnego skrzydła Demokratów. To także sygnał pokoleniowego przesilenia w całej amerykańskiej polityce.

Prezydent zbliża się do osiemdziesiątki, a średnia wieku członków Kongresu jest o ok. 20 lat wyższa niż mediana całej amerykańskiej populacji (39 lat). Seniorzy rządzą także w Partii Demokratycznej: Schumer ma 74 lata, była przewodnicząca Izby Reprezentantów, wciąż aktywna i wpływowa Nancy Pelosi – 85, a funkcje demokratycznych wiceprzewodniczących komisji pełnią 70-, 80-latkowie.

Wynika to z systemu – braku ograniczeń kadencji w Kongresie, zależności awansu w komisjach od długości pełnienia mandatów oraz forów, jakie w wyborach mają urzędujący legislatorzy. Jeśli dodać do tego zgromadzone już fundusze na kampanie, rozpoznawalność nazwiska itd., młodzi pretendenci często są bez szans. W zeszłorocznych wyborach 96 proc. ubiegających się o reelekcję członków Kongresu obroniło swoje mandaty.

Kariera Mamdaniego, a przed nim Alexandrii Ocasio-Cortez, podsyciła jednak bunt przeciw gerontokracji. Demokraci z pokolenia Z i milenialsi przypomnieli

© ADAM GRAY/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl bb931bc7ab

liderom partii, że młodzi Amerykanie wchodzą w dorosłość w czasach cięższych niż ich rodzice z generacji *baby boomers*. Należy więc – czego nie rozumie demokratyczny establishment – zamiast mówić bez końca o Trumpie i aborcji, położyć nacisk – jak Mamdani – np. na problem drożyzny.

W Kalifornii wyzwanie sędziwej Nancy Pelosi rzucił w prawyborach były szef kampanii wyborczej AOC, specjalista od IT Saikat Chakrabarti. W Chicago 26-letnia Kat Abughazaleh zamierza w ten sam sposób zakończyć karierę miejscowej kongresmenki Jan Schakowsky, zasiadającej w Kongresie od 1999 r. Abughazaleh jest politolożką badającą konserwatywne organizacje i media, ostatnio demonstrowała na ulicach przeciw łapankom na kolorowych imigrantów i została aresztowana za stawianie oporu agentom ICE.

Fala antyestablishmentowego buntu wzbiera w samym Kongresie, gdzie młodzi demokratyczni kongresmeni z „niebieskich", czyli sprzyjających Demokratom stanów, planują podejście do Senatu, by zastąpić tam wiekowych polityków ze swej partii. W Massachusetts 46-letni kongresmen Seth Moulton rzucił rękawicę 79-letniemu senatorowi Edowi Markeyowi, oznajmiając wprost, że jest za stary i za długo zasiada na Kapitolu. W Nowym Jorku AOC rozważa start w wyborach do Senatu i wysłanie na polityczną emeryturę samego Schumera.

Większość młodych Demokratów zdaje się podzielać światopogląd AOC i Mamdaniego – wzywają do rozbudowy państwa opiekuńczego, podwyżek podatków dla bogaczy i korporacji, kładą nacisk na prawa mniejszości rasowych i seksualnych, bronią nielegalnych imigrantów. Ci zasiadający już w Kongresie należą do *progressive caucus*, klubu postępowców, a kandydaci na kongresmenów prawdopodobnie też się w nim znajdą. Nie wszyscy jednak, bo część młodego pokolenia Demokratów trudno zaliczyć do partyjnej lewicy.

Poszukiwacze zagubionej bazy

W Partii Demokratycznej lewicowy segment rósł w siłę od dawna i za prezydentury Joe Bidena praktycznie przejął nad nią kontrolę, co przyczyniło się do wyborczej klęski. W debacie o jej przyczynach do głosu doszli krytycy progresistów, obwiniając ich za utratę tradycyjnej bazy partii, czyli warstw ludowych, i przekształcenie jej w stronnictwo liberalnych, zamożnych wielkomiejskich elit gardzących zacofanymi mieszkańcami wiejskiego interioru.

Zrzeszająca ich grupa Welcome ogłosiła, że partia nadmiernie akcentuje „ochronę praw osób LGBT" i zmianę klimatu, zamiast zająć się uszczelnianiem granic i walką z przestępczością. Innymi słowy, należy wyciszyć w programach kwestie kulturowo-społeczne, ważne dla określonych mniejszości, i położyć nacisk na dotyczące wszystkich – poza milionerami – problemy materialno-bytowe. Sondaże potwierdzają, że działacze Welcome mają rację.

Po zeszłorocznym zwycięstwie Trumpa rosną w Partii Demokratycznej wpływy zwolenników przesunięcia ku centrum. Według sondażu Gallupa pragnie tego 45 proc. zarejestrowanych Demokratów, znacznie więcej niż w 2021 r. Są wśród nich także młodzi aktywiści. W lecie utworzyli Majority Democrats – porozumienie ok. 30 polityków generacji Z i milenialsów, stawiające sobie za cel wspieranie bliskich im ideologicznie, umiarkowanych kandydatów do wybieralnych urzędów. Liderzy tej grupy to wschodzące gwiazdy demokratycznej polityki: kongresmeni Pat Ryan z Nowego Jorku i Jake Auchincloss z Massachusetts, kongresmenka Angie Craig z Minnesoty, młodzi senatorowie Elissa Slotkin z Michigan i Ruben Gallego z Arizony oraz były menedżer Tesli ze stażem w Białym Domu Baracka Obamy, Rohan Patel.

Liderzy Majority Democrats apelują o wyciszenie polaryzujących wyborców społeczno-kulturalnych tematów, jak prawa LGBT, i umieszczenia w centrum programu partii kwestii ekonomicznych. Wzywają też do stonowania protestów przeciw polityce Izraela wobec Palestyńczyków i nie stronią od występów w podkaście guru prawicy Joe Rogana, przez twardogłową lewicę uważanego za „faszystę". Swoją platformę programową określają jako centrolewicową.

Tradycyjne ideologiczne etykietki politycznych podziałów upraszczają jednak amerykańską rzeczywistość. Charakterystyczne, że za najpilniejszą potrzebę zmiany w narracji partii „umiarkowani" Majority Democrats uważają nacisk na drożyznę, kryzys dostępności cenowej (*affordability*) podstawowych dóbr, czyli dokładnie to, co w centrum swojej kampanii wyborczej postawił... „radykalny" Mamdani.

Centrowi Demokraci wzywają również do reformy amerykańskiego ustroju, np. likwidacji Kolegium Elektorskiego i wyboru prezydenta w głosowaniu bezpośrednim – to tradycyjny postulat demokratycznej lewicy. Dwie główne partie w Stanach Zjednoczonych to w istocie bowiem koalicje zróżnicowanych grup interesów, które gdzie indziej tworzyłyby odrębne ugrupowania dążące do wyborczego zwycięstwa.

Efekt domina

Czy więc uosabiane przez Mamdaniego i AOC odmładzanie Partii Demokratycznej pomoże jej odzyskać utraconą rok temu władzę? Pierwszym testem będą przyszłoroczne „połówkowe" wybory do Kongresu. Republikanie liczą, że sensacyjna kariera muzułmańskiego socjalisty w Nowym Jorku zrazi Amerykanów do Demokratów, straszą Mamdanim jako „komunistą". Ale mogą się przeliczyć. Przesunięcie Partii Demokratycznej na lewo i zaniedbanie przez nią trosk i wrażliwości „świata pracy" odebrało jej część wyborców na rzecz GOP i Trumpa. Sondaże wskazują jednak, że krwotok został w tym roku zatamowany, a trendy demograficzne na dłuższą metę stwarzają Demokratom szanse pełnej rehabilitacji.

Jak wskazują badania Pew Research Center, pokolenie Z i milenialsów wciąż dryfuje na lewo. W najmłodszej grupie wiekowej (18–23) tylko 22 proc. aprobuje politykę Trumpa, a 77 proc. ją potępia. Młodzi Amerykanie są bardziej niż ich rodzice liberalni w kwestiach kulturowych (aborcja, prawa LGBT), mniej od nich przywiązani do religii i łatwiej akceptują rasową i wyznaniową mozaikowość społeczeństwa. Po bolesnych doświadczeniach z recesją bardziej też popierają aktywną rolę państwa w gospodarce. Demokratom sprzyja również stopniowe kurczenie się populacji białych i zbliżająca się dominacja kolorowych. Republikanie zdają sobie sprawę z tych trendów i dlatego pozwalają Trumpowi na autorytarne próby ich zahamowania.

Fenomen Mamdaniego nie jest zatem przypadkiem i nie wynika tylko ze specyfiki Nowego Jorku. Zdaniem Jonathana Collinsa, politologa z Uniwersytetu Columbia, ruch w internecie wokół Mamdaniego pokazuje, że nie jest zjawiskiem tylko lokalnym. Popierają go ludzie w nieoczekiwanych, wcale nie liberalnych regionach Ameryki. Jeśli wygra, trzeba szukać dowodów na efekt domina. ■

eprasa.pl bb931bc7ab



Przychodzi Homo do lekarza

Przed tysiącami lat ludzie też chorowali. Jak przetrwali? Fragment książki naszej redakcyjnej koleżanki „Homo nie tylko sapiens. Inna opowieść o naszych przodkach”.



Proteza palucha u nogi Egipcjanki sprzed ok. 3 tys. lat. U góry: **rodząca kobieta. Płaskorzeźba ze świątyni egipskiej bogini Hathor w Denderze, IV w. p.n.e.**

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

akuszerki i położnika

Według popularyzatorki nauki i pisarki Cat Bohannon ludzkość zdołała przetrwać i podbić świat nie dzięki agresji, broni i wojnom mężczyzn, ale dzięki kobiecej współpracy i umiejętności adaptacji, a przede wszystkim ginekologii. Pomimo że w paleolicie zdarzało się, że kobiety były czasami zdane same na siebie, w zdecydowanej większości społeczeństw pomagały im doświadczone akuszerki.

W starożytnym Egipcie praktyka medyczna była nierozerwalnie związana z magią, panowało tam bowiem przekonanie o wpływie sił nadprzyrodzonych na poczęcie, ciążę i poród, dlatego zarówno akuszerki, jak i potem, już w zaawansowanych cywilizacjach, lekarze-kapłani recytowali przy rodzących różne zaklęcia i wykonywali rytualne czynności. W Grecji i Rzymie na wsiach podawano rodzącej łajno maciory, przynoszono jej amulety w kształcie narządów rodnych czy kładziono pod stopę pióro jaskółki. Poza tym położnice wiązano, co miało przyspieszyć poród. Jedynie zamożniejsi mogli sobie pozwolić

© WERNER FORMAN/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES, MINA_NEMO/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bb931bc7ab

na praktykujące, kształcone akuszerki oraz lekarza, który pojawiał się, gdy poród zaczynał się komplikować.

Antyczni medycy uważali, że ból porodowy należy łagodzić, stosowali więc zioła i opium, dopiero chrześcijanie zaczęli widzieć w nim karę za grzech Ewy i przestali po nie sięgać. Akuszerki nie zapomniały jednak o zaklęciach i magicznych czynnościach, tylko modły wznosiły do Boga, Maryi i świętych. Zazwyczaj wrażenie, że siły nadprzyrodzone czuwają nad położnicą, działało jak placebo, niestety przy poważnych problemach zaklęcia się nie sprawdzały. Nie wiadomo, czy starożytne akuszerki, by ratować życie kobiety, decydowały się na usuwanie martwego płodu z jej łona; w wyjątkowych sytuacjach robili to medycy. O zabiegu tym wspomina Hipokrates w IV w. p.n.e. W starożytnym Rzymie wykonywano ponoć cesarskie cięcie (nazwa wzięła się stąd, że według legendy tak przyszedł na świat Cezar), zazwyczaj jednak – na zmarłych kobietach.

U stomatologa

Najstarsze ślady wydobywania resztek pokarmu spomiędzy zębów za pomocą ości, kostek ptaków czy patyczków u hominin sięgają 1,8 mln lat i pochodzą z jaskini Dmanisi w Gruzji, gdzie na zębach *Homo erectus* znaleziono równoległe mikrorysy. U neandertalczyków są one częste, a najstarsze dowody, sprzed niemal 80 tys. lat, pochodzą z jaskini Stajnia na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Przez tysiąclecia korzystanie z wykałaczek było podstawowym zabiegiem higieny jamy ustnej. Innym sposobem, szczególnie popularnym w północnej Europie w mezolicie i neolicie, mogło być żucie lepkiego dziegciu. Usuwało resztki jedzenia spomiędzy zębów, a jednocześnie działało antyseptycznie i bakteriobójczo, dzięki występującym w tej substancji benzenom i fenolom. Nie było to jednak zbyt przyjemne, smoła brzozowa jest bowiem bardzo gorzka.

Homininy leczyły też choroby przyzębia. W kamieniu nazębnym neandertalki z jaskini El Sidrón w Hiszpanii badacze znaleźli pozostałości krwawnika i rumianku, a u mężczyzny –DNA patogenów. Ponieważ korzystał on z zębów jako trzeciej ręki, miał uszkodzone szkliwo i ropień w żuchwie, a w dodatku cierpiał na biegunkę spowodowaną bakteriami *Enterocytozoon bieneusi*. Jedno i drugie schorzenie powodowało bóle, które leczył naturalnym antybiotykiem, czyli pleśnią *Penicillium*, oraz pochodzącym z kory topoli kwasem salicylowym, substancją czynną w dzisiejszej aspirynie.

Leki te nie rozwiązywały wszystkich problemów stomatologicznych, a o plombach można było tylko pomarzyć. Jest jednak dowód na to, że w pradziejach bywali dentyści z wizją. W schronisku skalnym Riparo Fredian (75 km od Florencji) archeolodzy natrafili na szczątki młodego mężczyzny, któremu ktoś 13 tys. lat temu wydłubał z chorego zęba próchniczną zmianę i wypełnił ubytek antybakteryjnym bitumem. W mieszance były też włosy i rośliny, nie wiadomo jednak, czy miały one znaczenie lecznicze, czy przykleiły się z czasem do miękkiej plomby. Długie i bolesne dłubanie w miazdze cienkim przedmiotem było na tyle udane, że pacjent żył po zabiegu jeszcze jakiś czas.

W zaawansowanych cywilizacjach starożytnych lekarze byli przekonani, że próchnicę powoduje żyjący w zębie robak, więc i oni próbowali wydobyć go, używając ostrych narzędzi. Faraonowi Amenhotepowi III, który cierpiał katusze z powodu bólu zębów, albo nikt nie odważył się w nich dłubać, albo niewiele to dało, bo w rozpaczy poprosił króla Mitanii, by przysłał mu posąg Isztar. Być może lepszym sposobem byłoby zażycie uśmierzającego ból opium i usunięcie chorego zęba.

Antropolodzy doskonale widzą w kościach, czy dany ząb wypadł z powodu paradontozy lub szkorbutu, czy też go wyrwano, bo miejsca po usunięciu są zaleczone, a korzenie sąsiednich zębów głęboko tkwią w szczęce. O ekstrakcjach czytamy w tekstach, a w ikonografii pojawiają się przyrządy stomatologiczne. Jednak już egipscy medycy, wiedząc, jakie cierpienie powodują chore zęby i jak trudno sobie z nimi poradzić, zalecali, by o nie dbać.

W II tysiącleciu p.n.e. na medycznym papirusie Ebersa jeden z nich podał przepis na pastę do ich mycia z miodu, mirry i startych minerałów. Poza tym nad Nilem płukano usta sodą i żuto kulki z mirry. Pastę do zębów ze startych kości, muszli, kredy, sody i pumeksu znali też Rzymianie, którzy, aby poprawić zapach z ust, żuli również liście przeciwzapalnego ligustru pospolitego (*Ligustrum vulgare*), miętę, bazylię, a nawet płukali usta różnymi mieszankami, w tym moczem, który miał działanie wybielające. Cały czas stosowano także wykałaczki, a na Bliskim Wschodzie i w Afryce Wschodniej miswak – rozgryzione patyczki z drzewa arakowego, mające właściwości czyszczące i dezynfekujące.

Być może Amenhotep III nie dość dokładnie czyścił zęby, ale gdyby w końcu wyrwano mu te, które go bolały, nie mógłby liczyć na funkcjonalną sztuczną szczękę, bo chociaż balsamiści uzupełniali ubytki zmarłym ze względów estetycznych, to trzymały się one „na słowo honoru". Zęby uzupełniano zmarłym, aby mogli w pełnej krasie stanąć przed bogami zaświatów. Już 7 tys. lat temu mężczyźnie pochowanemu w Faid Souar w Algierii wstawiono piątkę z kości zwierzęcej, niektóre mumie egipskie mają „mostki" ze złotych drucików i zębów, podobnie jak zmarli Etruskowie, którzy mocowali oszlifowane zęby zwierzęce za pomocą złotych pasków i szpil. O robieniu mostków pisał Hipokrates, sugerując, że powinno się je mocować złotymi drucikami do zdrowych zębów; nie ma jednak żadnych dowodów, żeby ktokolwiek zastosował tę jego metodę i by była skuteczna za życia.

Są jednak ślady po implantach, jakie montowali Celtowie. Bogata arystokratka, która zmarła w III w. p.n.e. w północnej Francji, miała tkwiący w kości szczęki żelazny gwóźdź, służący zapewne do zamocowania drewnianej lub kościanej koronki jednego z górnych siekaczy. Podobny bolec miał mężczyzna z grobu w Chantambre (30 km na południe od Paryża). Co ciekawe, gwóźdź wrósł mu już w kość, chociaż żelazo koroduje w kontakcie z płynami, a mężczyzna żył z nowym zębem ponad rok. Po tak drastycznym zabiegu na pewno nie było to życie pozbawione bólu.

U chirurga i protetyka

W paleolicie złamania, skręcenia i zwichnięcia były na porządku dziennym. Ponieważ urazy dobrze widać w kościach, wiemy, że wiedziano, jak nastawiać proste złamania i unieruchamiać kończynę. Dokonywano też amputacji. Te najpowszechniejsze miały być może charakter rytualny, bo dotyczyły usunięcia paliczków dystalnych lub całych palców u rąk. O tym, że było to częste, świadczą odbicia bezpalcych dłoni na ścianach jaskiń, podobne tradycje u wielu ludów pierwotnych oraz dowody osteologiczne – paliczek sprzed 30 tys. lat z Jaskini Obłazowej koło Nowego Targu, który służył być może jako magiczny przedmiot, a także pochówek chłopaka i dziewczyny z obciętymi paliczkami małych palców u obu dłoni sprzed kilkunastu tys. lat z jaskini Murzak-Koba na Krymie. Tylko że obcięcia palca lub jego kawałka nie da się porównać do amputacji nogi czy ramienia, a i takie się zdarzały. ▶

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ W 2020 r. w jaskini Liang Tebo na Borneo natrafiono na pochówek młodej osoby żyjącej 31 tys. lat temu, której pradziejowy chirurg usunął części kości piszczelowej i strzałkowej, gdy była dzieckiem, na co wskazuje zagojone precyzyjne cięcie. Nastolatek żył z zaleczonym kikutem jeszcze dziesięć lat. Innej udanej amputacji dokonano 7 tys. lat temu w Buthiers-Boulancourt, 65 km na południe od Paryża, gdzie starszemu mężczyźnie usunięto lewą rękę powyżej łokcia. Amputacja była przeprowadzona z dużą precyzją, przy użyciu narzędzi z krzemienia, a pacjent żył wiele lat po zabiegu. Niewykluczone, że w neolicie podobne operacje wykonywano częściej, gdy ludzie zaczęli mieszkać w większych grupach, co umożliwiło stały dostęp do specjalistów.

W zaawansowanych cywilizacjach zaczęto nawet wykonywać całkiem funkcjonalne protezy kończyn, czego najlepszym przykładem jest drewniany paluch z grobu żyjącej niemal 3 tys. lat temu sześćdziesięciolatki z okolic Luksoru. Doskonale trzymał się na stopie dzięki skórzanemu pasowi. Podobnych protez (choć nie tak dobrze wykonanych) znaleziono w egipskich grobach epoki późnej więcej, być może dlatego, że w kraju, gdzie jedynym obuwiem były sandały, brak palucha u nogi uniemożliwiał ich noszenie.

Z tekstów wiemy, że antyczni konstruowali też protezy amputowanych rąk i nóg, jednak do naszych czasów zachowała się tylko jedna proteza nogi, z grobu w Kapui sprzed 2,3 tys. lat. Była to brązowa skorupa, której wnętrze wypełniał kiedyś drewniany rdzeń, prawdopodobnie przyczepiana do pasa noszonego w talii lub na biodrach. Znacznie bardziej funkcjonalna była równie stara drewniana proteza nogi sześćdziesięciolatka z grobu w Shengjindian w Turfanie, którą mocowano za pomocą troków do skórzanej obręczy założonej na udo, zakończona kopytem konia lub osła, zapewniającym kalece większą stabilizację przy chodzeniu.

Choć najczęściej medycy i znachorzy w walce z rakiem stosowali tylko lekarstwa uśmierzające ból, takie jak opium czy konopie indyjskie, w starożytnym Egipcie chirurdzy już ponad 5 tys. lat temu próbowali być może usuwać widoczne zmiany nowotworowe. Na czaszce trzydziestolatka przechowywanej w Duckworth Collection na University of Cambridge zauważono dużą zmianę nowotworową i 30 mniejszych przerzutów, wokół których były cięcia wykonane ostrym narzędziem, ślady po próbie pozbycia się guzów. A na czaszce zmarłej w połowie I tysiąclecia p.n.e. pięćdziesięciolatki przy dużym guzie były dwie rysy, z których jedna powstała podczas zabiegu, kto wie – może i w tym wypadku starano się usunąć zmianę. W obydwu przypadkach nieskutecznie.

U neurochirurga

Najpowszechniejszym i najbardziej inwazyjnym zabiegiem było otwieranie czaszek, tyle że nie zawsze z powodów medycznych, ale magicznych. Intencjonalnie wykonany otwór zrobiono u mężczyzny, który żył 14 tys. lat temu w Maroku, ale zabieg ten stał się popularniejszy w neolicie, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie i w Chinach. Aż 70 proc. z setek trepanowanych czaszek ma ślady regeneracji kości, przypuszcza się jednak, że masowe kraniotomie były wykonywane głównie z powodów rytualnych, aby wypuścić z głowy złe duchy lub pozwolić wniknąć dobrym.

Choć moda na otwieranie głów trafiła do Nowego Świata najpóźniej, bo dopiero ok. V w. p.n.e., niezwykle się upowszechniła w cywilizacjach andyjskich. Z 3 tys. podziurawionych czaszek znalezionych w Andach badacze przeanalizowali ok. 800 i doszli do wniosku, że ta operacja w czasach Inków udawała się nawet u 90 proc. pacjentów. Z biegiem czasu medycy wykonywali coraz mniejsze otwory i unikali miejsc, gdzie było największe niebezpieczeństwo krwawienia; byli tak sprawni, że rekordzista przeszedł aż siedem udanych trepanacji różnymi technikami. Operację przeprowadzano głównie na mężczyznach, po znieczuleniu ich kokainą i alkoholem, a po niej podawano pacjentom rośliny o właściwościach bakteriobójczych i przeciwzapalnych.

Otwory wykonywane przez operatorów na całym świecie mogły być różnych kształtów. Do ich wykonywania używano kamiennych noży, muszli, a z czasem pił i trepanów. Otwarcie głowy, poza swym wymiarem magicznym, miało też leczyć autentyczne dolegliwości – bóle i zawroty głowy, padaczkę, choroby psychiczne. Trepanacjami zajmowali się na początku głównie plemienni uzdrowiciele, z czasem wzięli się do nich również medycy. Hipokrates opisuje pięć urazów głowy i rekomenduje trepanację, by pozbyć się nadmiaru krwi mogącej się zepsuć i spowodować infekcję. Przestrzega jednak, by podczas zabiegu nie uszkodzić błony opony twardej, uważać na szwy czaszkowe i ochładzać trepan, by się zbytnio nie przegrzał. Rzymski lekarz Galen, który w II w. leczył urazy głowy u gladiatorów i żołnierzy, stosował ten zabieg także w sytuacjach, gdy podczas urazu połamane kości czaszki naciskały na oponę twardą.

W paleolicie trzeba było liczyć na wiedzę i umiejętności najbliższego szamana, choć nie można wykluczyć, że wieść o jakichś wyjątkowo uzdolnionych uzdrowicielach rozchodziła się lotem błyskawicy i przybywano do nich po pomoc z daleka. W neolicie, gdy osadnictwo było gęstsze, dostęp do nich mógł być ułatwiony, a poza tym liczba czaszek po kraniotomii świadczy o tym, że specjalistów od otwierania głów musiało być sporo. W zaawansowanych cywilizacjach im ktoś był zamożniejszy, tym lepszej mógł się spodziewać opieki medycznej, choć nie gwarantowało to udanego zabiegu. Tak było w przypadku dwóch braci pochowanych w bogato wyposażonym grobowcu ok. 3,5 tys. lat temu na terenie Megiddo w Izraelu. Obaj cierpieli na przewlekłą chorobę, która powodowała poważne zmiany na kościach, jednak żyli całkiem długo dzięki stałej opiece lekarzy. Nie wiadomo, dlaczego u jednego z nich wykonano kraniotomię, ponieważ jednak na kościach nie ma śladów gojenia, oznacza to, że mężczyzna nie przeżył bardzo fachowo przeprowadzonego zabiegu.

Trepanacje na pewno nie leczyły padaczki, bólów głowy czy chorób psychicznych, a mogły je wręcz wzmacniać lub powodować. Dość zaskakujące jest to, że skuteczność, do jakiej doszli neolityczni i andyjscy trepanatorzy, udało się osiągnąć nowożytnym medykom dopiero w końcu XIX w. Czy fakt, że w pradziejach z powodzeniem przeprowadzano taki zabieg bez antyseptyki i antybiotyków nie jest dowodem, że ludzie w przeszłości byli odporniejsi? Niekoniecznie. Po pierwsze, większość ludzi, których operowano, była fizycznie zdrowa, bo zabieg miał znaczenie rytualne, a nie medyczne, a po drugie – nie wiemy, jakie miał dla nich konsekwencje zdrowotne.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Wideopodkast z Agnieszką Krzemińską można obejrzeć na projektpulsar.pl

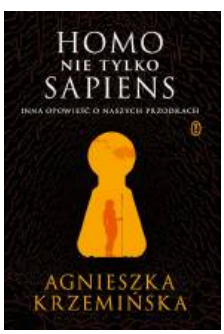

Agnieszka Krzemińska, „Homo nie tylko sapiens. Inna opowieść o naszych przodkach", Wydawnictwo Literackie, 2025

© MP

eprasa.pl bb931bc7ab

Dotyk, który uczy



„Nie dotykać eksponatów!". Ten komunikat zwiedzający muzea mają w pamięci od dziecka. Są, oczywiście, wyjątki. Choćby mężczyzna, który w Palazzo Maffei usiadł na krześle „Van Gogh". Dla dzieła było to katastrofalne. Dla gościa musiało być bolesne i nie przyniosło mu wiedzy. No, może nieco emocji. Tyle że raczej niechcianych.

Te pożądane odczuwa się w muzeach, jeśli podziwia się dzieła i nie sprawdza ich wytrzymałości. Można ich też doświadczyć w miejscach, gdzie komunikaty brzmią: „Dotykajcie eksponatów!", „Rozłóżcie przedmiot na części! (i nie szkodzi, jeśli nie uda się wam go złożyć)". Nawet, jeśli są tam dzieła sztuki, traktuje się je jak urządzenia, części maszyn i modele anatomiczne. Jednym słowem obiekty, które dzięki nauce powstały i nauce służą. Szczególnie w przypadku dzieci.

Dotknięcie:
pierwszy etap zrozumienia

Kontakt z nimi zaczyna się od instrumentalizacji, czyli oswajania. Zwiedzający sprawdza, co trzeba zrobić, żeby przedmiot zdziałał. Przyciska guziki, porusza pokrętłami, suwa elementami, które wyglądają na ruchome. Obiekty mogą być nieskomplikowane. W pracy „Interaction With Exhibits: The Significance of Instrumentalization" („Science Education") dr Ilona Iłowiecka-Tańska i Katarzyna Potęga vel Żabik podają przykład: „Wirujący piasek". Obiekt składa się z trzech obrotowych platform wyposażonych w pokrętło regulujące prędkość. Są także piasek oraz łopatki – choć „narzędziem" może być też własny palec. Trzeba wysypać piasek na koło, uruchomić maszynę i zacząć rysować. To pierwszy zysk: nabycie wiedzy proceduralnej umożliwiającej skorzystanie z dostępnych przedmiotów. Drugi to wiedza ucieleśniona – doświadczenie sensoryczne prowokuje do refleksji nad mechanizmem rządzącym różnymi jawiskami. „Kiedy poruszasz palcem, na wirującej tarczy powstają nieoczekiwane kształty – tłumaczą autorki. – Obrazy tworzą się w wyniku ruchów twojego palca oraz obrotowego tarczy. Chociaż z twojej perspektywy palec porusza się po linii prostej, to gdyby na tarczy siedział mrówka, zobaczyłaby twój palec kreślący spirale. […] Zrozumienie, że każde zjawisko zależy od przyjętej perspektywy, ma kluczowe znaczenie dla poznawania Wszechświata".

Jest i inny efekt. Rysujące dziecko zachęca inne do podjęcia wyzwania. Może działać samo, rywalizować lub współpracować. Wejść w interakcję.

Fascynacja:
drugi etap obrzydzenia

Co motywuje kilku- kilkunastolatków, by – jeśli im pozwolić – „brały naukę w swoje ręce"? Ciekawość, rzecz jasna. Jeśli przyjrzeć się cechom osobowości składających się na tzw. „Wielką Piątkę", większość dzieci ma dwie. Otwartość na doświadczenie – potrzeba emocji i przygody, bogata wyobraźnia i kreatywność. I ekstrawersję, która oznacza też potrzebę doświadczania stymulujących emocji. Mogą one być przyjemne: zadziwienie, zachwyt. Ale też takie jak niechęć czy obrzydzenie – np., kiedy można dokonać sekcji serca wołowego. Wszystkie służą poznaniu – otaczającego świata, jak i siebie samego. Poznaniu różniącemu się zdecydowanie in plus od tego, które wynika z oglądania filmów na ekranie telefonu. Dotyk zmienia wiele.

Współpraca:
kolejny etap poznania

Za pierwszą placówkę, w której zwiedzającym pozwoliło się „dotknąć nauki" uważa się Exploratorium w San Francisco. Pomysłodawcą był fizyk cząstek elementarnych Frank Oppenheimer, który optował za szacunkiem dla inwencji i zabawy. „Jeśli proces uczenia się będzie podejmowany przez uczącego się z potrzeby poznania, a nauczanie będzie wynikało z satysfakcji dzielenia się wiedzą i pasją, możliwe stanie się stworzenie szerokiego rozumienia edukacji" – pisał w 1981 r.

Tę ideę przełożyło na polskie realia działające od 15 lat Centrum Nauki Kopernik. Podporządkowane są jej nie tylko wystawy. Działa w nim także Pracownia Przewrotu Kopernikańskiego – ośrodek badawczo-rozwojowy, w którym naukowcy, edukatorzy, przedsiębiorcy i artyści opracowują eksponaty, pomoce naukowe czy zestawy edukacyjne. Korzystają z nich m.in. trzy ogólnopolskie sieci edukacyjne koordynowane przez Kopernika, niemal 50 ośrodków partnerskich oraz lokalnych Stref Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności (SOWA) i wiele szkół.

„Czasami wystarczy zwykła lupa – mówi dr Ilona Iłowiecka-Tańska, zastępczyni dyrektor programowej ds. innowacji CNK – Kiedy przyłoży się ją do rośliny czy owada, świat od razu zaczyna być inny". W Koperniku „lupy" są bardziej rozbudowane i jest ich wiele. Każdy może wziąć do ręki tę, która pozwoli mu zaspokoić jego ciekawość.

Wideokast z dr Iloną Iłowiecką-Tańską można posłuchać tutaj: https://www.projektpulsar.pl/czlowiek/2320337,1,wideokast-1-ilona-ilowiecka-tanska-wiedza-bierze-sie-z-rak.read



eprasa.pl bb931bc7ab



Złodzieje genów

Kim jestem, skąd pochodzę, jakich mam nieznanych krewnych? Odpowiedzi coraz częściej szukamy w DNA. Ale uwaga: udostępnianie go prywatnym firmom nie zawsze jest bezpieczne.

MICHAŁ WITT

Dziś jest to proste. Materiał biologiczny do izolacji DNA dla celów diagnostycznych pozyskuje się poprzez pocieranie wacikiem nabłonka wewnętrznej strony policzka lub po przepłukaniu jamy ustnej odpowiednim roztworem elektrolitowym. Uzyskana zawiesina komórek nabłonkowych wystarczy do izolacji DNA we właściwej ilości i jakości. Źródłem informacji może stać się również materiał niestandardowy, np. wszelkiego rodzaju ślady biologiczne (włosy, ślady wydzielin lub wydalin, elementy ubioru, odciski palców na przedmiotach codziennego użytku itp.). Bazują na tym choćby nowoczesne technologie analiz medyczno-sądowych.

Analiza sekwencji DNA jest także przystępna finansowo. Cena analizy całoegzomowej (wszystkich fragmentów genomu kodujących białka) standardowo waha się w okolicach 1 tys. dol., choć najnowsza oferta jednej z firm (oczywiście promocyjna) wynosi 38 dol.! Rekordowy czas badania to zaledwie ok. 5 godz., co ma szczególne znaczenie choćby w medycynie stanów nagłych.

Rasowe oszustwo

Stosowanie testów genetycznych nie jest ograniczone do celów naukowych, medycznych czy sądowych – także różne inne podmioty wykorzystują dane uzyskiwane z analizy sekwencyjnej genomu. Najlepszym przykładem jest przemysł farmaceutyczny, który musi opierać swoje badania na analizie dużych kolekcji DNA o zasięgu populacyjnym. Olbrzymie zasoby danych genomowych znajdują się w rękach policji i innych służb. W przyszłości takimi informacjami zapewne będą się interesować np. ubezpieczyciele czy pracodawcy.

Nie pierwszy raz w historii nauki możliwości techniczne wyprzedzają pojmowanie etyczno-prawne rzeczywistości, w której żyjemy. Przykładem coraz popularniejsze w Polsce, a zainicjowane i od lat wykonywane głównie w Ameryce badania z zakresu genealogii genetycznej. Ich zasada sprowadza się do ustalenia obrazu polimorfizmu zestawu markerowych SNP (*short nucleotide polymorphism*, najbardziej powszechny typ zmienności genetycznej u ludzi: w określonym miejscu w DNA występuje różnica w jednym nukleotydzie pomiędzy różnymi osobnikami). Badania takie bardzo szybko skomercjalizowano. Najwięksi gracze na tym rynku to amerykańskie AncestryDNA, 23andMe i FamilyTreeDNA oraz izraelska

eprasa.pl bb931bc7ab

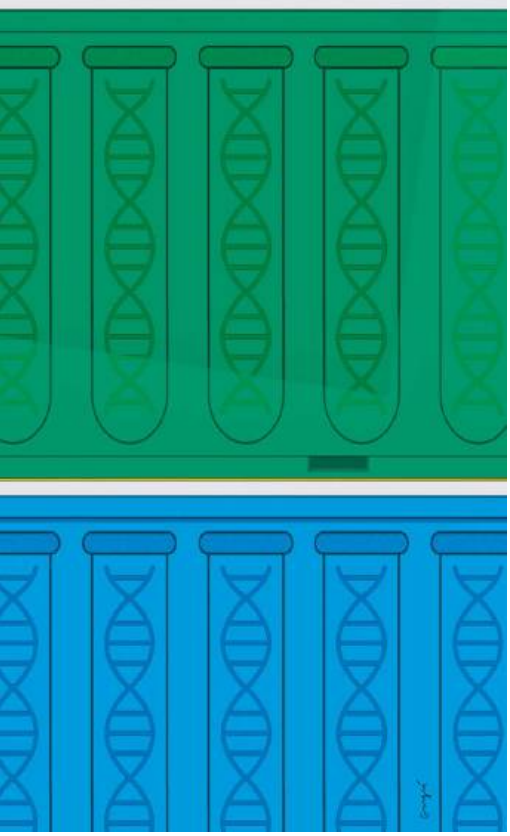

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

MyHeritage. Przy pewnych różnicach działają na identycznej zasadzie – nowe obrazy polimorficznych markerów porównywane są z obrazami uzyskanymi wcześniej.

Na tej podstawie wyciąga się wnioski o pokrewieństwie, korzeniach etnicznych, miejscu pochodzenia itp. Przy czym grupa referencyjna nie stanowi średniej populacyjnej, tylko grupę innych osób badanych w tejże firmie, które na takie badanie się zdecydowały (i było je na nie stać). Stwierdzenie wyższej częstości podobnego obrazu markerów na danym obszarze wcale nie musi wskazywać na miejsce pochodzenia. Genetyka to nauka probabilistyczna, posługująca się statystycznym prawdopodobieństwem jako narzędziem interpretacyjnym. Powszechne w wynikach badań firm genealogicznych stwierdzenia, że badana osoba jest np. w 68 proc. Polakiem, 27 proc. Aszkenazyjczykiem, a w 5 proc. Ukraińcem, nie mają racjonalnego sensu. Co gorsza, w niektórych przypadkach mówi się o pochodzeniu rasowym, choć pojęcie rasy już dawno zostało przez genetykę odrzucone jako nieprawidłowe.

Firma 23andMe z San Francisco w 2025 r. ustanowiła precedens, który całą światową genetykę powinien bardzo poważnie zastanowić. Pokazał on bowiem, jak zgubny w skutkach jest brak regulacji prawnych dotyczących badań genomowych.

Poznaj Żyda

23andMe ostro weszła na rynek w 2006 r., pod rządami prezeski Anne Wojcicki, wówczas żony Sergeya Brina, współzałożyciela Google. Przyświecała jej rewolucyjna na owe czasy idea wprowadzenia na rynek niedrogich, acz zaawansowanych technologicznie testów genomowych dla celów medycznych, ujawniających informację na temat obecnego i przyszłego stanu zdrowia. Oferta ta spotkała się z rezerwą środowiska genetyków medycznych, a do sceptyków dołączyła amerykańska państwowa agencja FDA (Food and Drug Administration). Wskazywała, że wyniki te mogą zwiększyć ryzyko np. zmiany dawkowania leków bez konsultacji z lekarzem, nieuzasadnionych okaleczających zabiegów chirurgicznych (np. mastektomia, histerektomia) czy podejmowania leczenia na własną rękę. W 2013 r. FDA cofnęła zezwolenie na wykonywanie takich badań przez 23andMe.

W 2015 r. firma zdobyła zezwolenie FDA na oferowanie – jako jedyna na świecie – testu diagnostycznego na zespół Blooma, chorobę bardzo rzadką, dotykającą głównie Żydów aszkenazyjskich. Równolegle rozwijała badania nad nowymi terapeutykami opracowywanymi na podstawie danych genomowych oraz informacji klinicznych. Mimo ogromnych zasobów firmowa baza danych miała poważne wady – dane fenotypowe (w tym kliniczne) pozyskiwano nie w drodze badań, lecz po samodzielnym wypełnieniu przez klienta 300-punktowego kwestionariusza.

W rezultacie firma oferowała na rynku ograniczoną paletę testów często o wątpliwej wartości naukowej (predyspozycja do budowy muskulatury sportowej, rodzaj woskowiny ucha, predyspozycja do wystąpienia rumienia poalkoholowego, metabolizowanie czerwonego wina, preferencje żywieniowe itp.). A za swój główny atut operacyjny i finansowy uznała badania genealogiczne. Jednocześnie powiększała swoją bazę danych genomowych wraz z załącznikami fenotypowymi, osiągając imponującą liczbę 15 mln rekordów. Zasobniejsza w dane jest tylko firma AncestryDNA (20 mln). W tym czasie 23andMe osiągnęła wartość giełdową ponad 6 mld dol.!

Prawdziwe kłopoty 23andMe zaczęły się w 2023 r., gdy z serwerów wykradziono dane ok. 7 mln użytkowników – prawie połowy przebadanych osób. Chwilę później haker o pseudonimie Golem zamieścił w dark webie ofertę sprzedaży nazwisk, adresów i pochodzenia genetycznego ok. 1 mln użytkowników 23andMe – wyłącznie Żydów aszkenazyjskich. Kilkoro zaniepokojonych użytkowników wniosło pozwy sądowe przeciwko 23andMe za narażenie ich na niebezpieczeństwo, bo dane mogłyby np. przydać się terrorystom. Firma nie przyznała się jednak do błędów.

Kilka miesięcy później potwierdziła kolejny atak hakerski. Z 14 tys. kont użytkowników wykradziono bardzo szczegółowe informacje o ich stanie zdrowia. Dalsze włamania doprowadziły m.in. do wyprowadzenia rekordów surowych danych genotypowych, raportów o predyspozycjach zdrowotnych, danych o nosicielstwie patologicznych wariantów genów itp. Wykradzione zostały również dane osobowe 5,5 mln użytkowników, którzy poszukiwali genetycznych krewnych. Wniesiono kilkadziesiąt pozwów sądowych, zarzucających 23andMe zaniedbanie obowiązków i naruszenie prywatności. Podkreślano, że firma okłamywała klientów, zapewniając o szczególnie wysokim poziomie zabezpieczenia ich danych.

Dane na tacy

W marcu 2025 r. 23andMe złożyła wniosek o ochronę przed upadłością na podstawie rozdziału 11 amerykańskiego kodeksu upadłościowego (firma może prowadzić podstawową działalność, jednocześnie negocjując warunki spłaty długów i próbując osiągnąć stabilność finansową). Giełdowa wartość jej akcji spadła raptownie o ponad 90 proc. Przyczyną był bez wątpienia kryzys wizerunkowy związany z wyciekiem wrażliwych danych genetycznych, a skutkiem – rezygnacja praktycznie całego zarządu, pozostającego w konflikcie z prezeską Anne Wojcicki. ▶

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ Kilka tygodni później amerykański gigant Regeneron Pharmaceuticals złożył – w ramach aukcji nadzorowanej przez sąd – ofertę zakupu za 256 mln dol. większej części 23andMe: usługowej części genetycznej wraz z biobankiem i bazą danych, zawierającą profile genetyczne ponad 15 mln osób (bez działu telemedycyny przejętego już wcześniej). Ostatecznie jednak całość zasobów nabył TTAM Research Institute, organizacja non profit, której właścicielką jest Anne Wojcicki. Cena: 305 mln dol.

Przejęcie 23andMe przez TTAM to coś znacznie poważniejszego niż jeszcze jedna transakcja korporacyjna. I skłania do działań na rzecz precyzyjnej definicji prawnej i skutecznej ochrony tożsamości osobistej w erze cyfrowej. Informacja ma przecież kluczowe znaczenie z punktu widzenia politycznej władzy, generowania zysków czy też szeroko pojętego zarządzania. A nie trzeba szczególnej przenikliwości, by dostrzec, że głównym celem wielkich korporacji, takich jak np. Google, wcale nie jest ułatwianie życia ludziom, lecz masowe zdobywanie informacji o nich. Podobnie celem 23andMe było przede wszystkim zdobycie gigantycznego zasobu wrażliwych danych genetycznych.

Taki megazbiór może zostać użyty w najróżniejszy sposób: od sprzedaży za gigantyczne pieniądze korporacjom farmaceutycznym po konstrukcję precyzyjnie adresowanej broni biologicznej. Nie bez powodu Pentagon zabronił swoim wojskowym pracownikom używania domowych zestawów do pobierania materiału w celu izolacji DNA, takich jak te wysyłane do użytkowników 23andMe.

Oto prywatna firma, niezwiązana z ochroną zdrowia, zebrała bezcenny zbiór wysoce wrażliwych danych, a osoby będące źródłem materiału biologicznego do badania udostępniły go z własnej nieprzymuszonej woli, płacąc za to z własnej kieszeni. Określono to jako „big data big business". 23andMe umiejętnie wykorzystała powszechny brak wiedzy na temat genomu, utrwalając deterministyczny pogląd na genetykę, niezgodny ze współczesną wiedzą naukową.

A Chińczyk korzysta

Komisja Izby Reprezentantów ds. Nadzoru i Reform Rządowych oraz Komisja Senatu ds. Sądownictwa przeprowadziły w czerwcu 2025 r. niezależne przesłuchania najważniejszych członków zarządu 23andMe. W ich trakcie wykazano m.in., że sugerowane przez samą firmę zamknięcie indywidualnych kont użytkowników w praktyce do niczego nie prowadzi, gdyż jest technicznie bardzo trudne czy wręcz niemożliwe, a ponadto nawet likwidacja konta nie powoduje całkowitego wymazania danych z poszczególnych rekordów na serwerach 23andMe. Na usunięcie kont zdecydowało się prawie 2 mln użytkowników, ale czy zrobili to skutecznie?

Firmie zarzucano, że postępowała z gruntu nieetycznie, aby zachować swoje zasoby biznesowe. Członkowie komisji pytali: skoro wyłącznym dysponentem najbardziej osobistych i wrażliwych danych biometrycznych są osoby, których te dane dotyczą, dlaczego spółka może sprzedać coś, co faktycznie do niej nie należy, bez indywidualnej zgody każdego z nich?

W czasie przesłuchań starano się również ustalić, czy w procesy generowania i przechowywania danych genetycznych i w potencjalne procedury sprzedażowe nie były zaangażowane Chiny lub Rosja. Skądinąd wiadomo, że w swoim czasie 23andMe otrzymała olbrzymie dofinansowanie od jednej ze spółek powiązanych z Komunistyczną Partią Chin i Chińską Armią Ludowo-Wyzwoleńczą. Zapewnienia, że 23andMe nie zostanie sprzedana żadnemu podmiotowi powiązanemu z tymi państwami, wzbudziły spore wątpliwości wśród senatorów i kongresmenów. Duże zbiory danych obejmujące tak genetycznie zróżnicowaną populację jak amerykańska mogłyby zostać wykorzystane do uczenia modeli sztucznej inteligencji umożliwiających śledzenie i identyfikację osób.

Polską perspektywę podejścia do tej problematyki ogranicza brak zasadniczej regulacji prawnej na poziomie ustawowym. Pierwsza wersja założeń do ustawy genetycznej powstała już w 2012 r. Dalsze próby jej urealnienia, podejmowane przez środowisko genetyków medycznych, spełzały dotychczas na niczym i ciągle czekają na łaskawość Sejmu. Tymczasem nasz rynek testów genetycznych rośnie dynamicznie. Genealogia genetyczna również ma tu coraz więcej zwolenników, a zlecenia na takie badania kierowane są prawie wyłącznie do zagranicznych usługodawców. 23andMe zapewne ma w tym również swój udział, choć nie da się go ocenić ilościowo. Wiąże się to w oczywisty sposób z rosnącym zagrożeniem wglądu w polskie dane genomowe przez podmioty zagraniczne.

Niestety, nie bez winy jest tu samo środowisko naukowe, korzystające w dobie mizerii finansowej z bardzo korzystnych ofert cenowych firm chińskich na usługi sekwencjonowania genomowego. Procedury takie finansowane są głównie ze środków grantowych. Powinno to wzbudzać czujność zarówno grantodawców, jak i Głównego Urzędu Ochrony Danych Osobowych, a także służb kontrwywiadowczych.

Nie wszystko na sprzedaż

Nasze DNA to przecież znacznie więcej niż tylko dane. DNA nie tyle zawiera informację, ile samo jest informacją. To nie gra słów, lecz istotne przesunięcie akcentu znaczeniowego. Chodzi o kod życia, mapę naszego obecnego stanu zdrowia i predyspozycji kształtujących naszą przyszłość, niepowtarzalne dziedzictwo przekazywane z pokolenia na pokolenie. Czy będziemy traktować dane genetyczne jako zwykły komercyjny towar, którym można handlować bez ograniczeń, czy jako fundamentalny aspekt naszej wyjątkowości, wymagający szczególnych zabezpieczeń prawnych, etycznych i informatycznych?

Istniejące ramy prawne dotyczące ochrony danych genetycznych są zdecydowanie niewystarczające, zarówno w Polsce, jak i na świecie. Jedynym sposobem wydaje się jednoznaczny zakaz komercjalizacji i sprzedaży danych pochodzących z analizy DNA, gdyż są to informacje unikatowe, niezmienne i głęboko osobiste. Konieczny również jest nadzór nad sektorem badań genetycznych oraz instytucjami naukowymi realizującymi genomowe projekty badawcze. W przeciwnym razie sprzedaż 23andMe może stworzyć groźny w skutkach precedens – traktowanie DNA jak zwykłego aktywa korporacyjnego może podważyć zaufanie publiczne wobec badań genetycznych i ochrony danych szczególnie wrażliwych.

MICHAŁ WITT

Prof. dr hab. med. **Michał Witt** jest członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, przewodniczącym Komitetu Genetyki Człowieka i Patologii Molekularnej PAN. Były dyrektor Instytutu Genetyki Człowieka PAN w Poznaniu. Obecnie pracownik w Collegium Medicum Akademii Mazowieckiej w Płocku.



© PIOTR SKÓRNICKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl bb931bc7ab

POSZERZAMY HORYZONTY

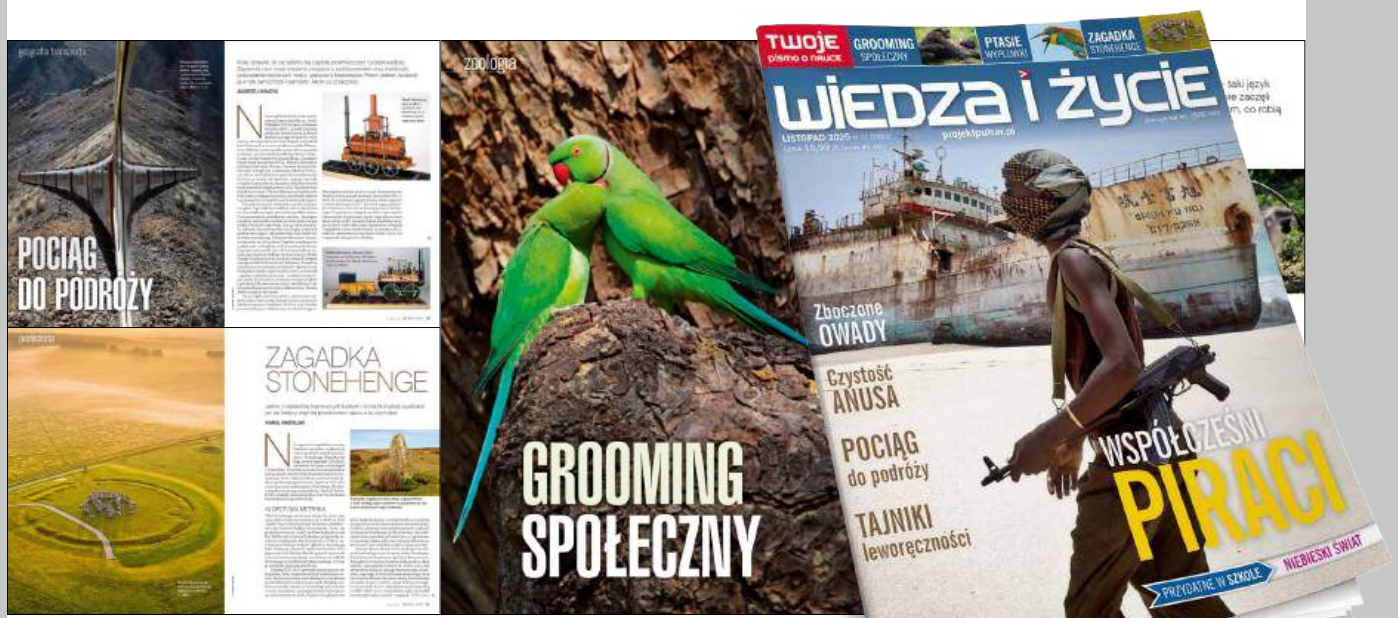

Naukowe miesięczniki POLITYKI





Listopadowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl bb931bc7ab



Dr inż. Marek Wodziński jest adiunktem na Wydziale Elektrotechniki, Automatyki, Informatyki i Inżynierii Biomedycznej AGH w Krakowie oraz pracownikiem badawczym w Centrum Zindywidualizowanej Medycyny Cyfrowej – Sano, gdzie zajmuje się m.in. rozwojem algorytmów sztucznej inteligencji w obrazowaniu medycznym.

Kości zostały uzupełnione

O tym, jak nauczyć sztuczną inteligencję radzić sobie z ubytkami czaszki, mówi dr inż. Marek Wodziński, laureat tegorocznej Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki techniczne.

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Wybrał pan bardzo konkurencyjną dziedzinę AI, czyli analizę obrazów, również tych medycznych. Zajmują się tym najwięksi gracze w branży, m.in. Google.**

MAREK WODZIŃSKI: – Rzeczywiście, konkurencję mamy na tym polu ogromną, szczególnie ze strony big techów. Dostęp do danych i zasobów, jakimi one dysponują, jest nieporównywalny z możliwościami małych jednostek badawczych, takich jak moja. Obszar szeroko rozumianej medycyny cyfrowej jest jednak na tyle duży, że nawet ci mniejsi znajdą swoją niszę.

Panu też to się udało?

Tak. Zajęliśmy się projektowaniem za pomocą sztucznej inteligencji wypełnień czaszki, czy też bardziej ogólnie – kości. To tematyka, w którą weszło tylko kilka zespołów badawczych na świecie. To zaś pozwoliło stosunkowo spokojnie pracować mojej grupie w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie nad naszym flagowym projektem DeepImplant. To algorytm komputerowy do szybkiego projektowania implantów czaszkowych.

Dlaczego okazał się konkurencyjny?

Wyróżnia go innowacyjne podejście do tematu. Większość algorytmów przeznaczonych do rekonstrukcji ubytków kości bazuje na dość prostej architekturze. Najpierw zostają „nauczone", jak wygląda prawidłowa anatomia: sztuczna sieć neuronowa otrzymuje bardzo dużą liczbę np. skanów zdrowych czaszek, aby „zrozumiała" ich ogólne wzorce i kształty. Ten proces trwa długo i wymaga sporej mocy obliczeniowej. Gdy sieć jest już wytrenowana, wtedy wprowadzane są do komputera dane medyczne, czyli konkretny skan pacjenta z ubytkiem. Algorytm analizuje go i – bazując na wcześniej nabytej wiedzy – potrafi zrekonstruować brakujący fragment.

Tak działa także nasz system, ale tylko na pierwszym etapie. W drugim kroku – i to jest unikatowe rozwiązanie – wykorzystujemy tzw. uczenie ze wzmocnieniem. Działa ono na zasadzie prób i błędów, a algorytm otrzymuje „nagrody" za zaproponowane pożądane rozwiązania oraz „kary" za nieudane. Dzięki temu użytkownik systemu, np. chirurg, może nie tylko „pokazać" DeepImplantowi czaszkę z defektem, ale również zdefiniować, jakich parametrów rekonstrukcji oczekuje. Sieć neuronowa potrafi już bowiem modyfikować wstępny projekt uzupełnienia ubytku kości.

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl bb931bc7ab

Jest to kluczowe, ponieważ w projektowaniu tego typu implantów często mamy więcej niż jedno poprawne rozwiązanie. Zależy ono m.in. od materiału, z którego mają być zrobione, np. polimerów albo tytanu. Ich wybór zależy z kolei czasami nawet od takich czynników jak szerokość geograficzna, na której żyje pacjent. Użycie materiałów o dużej rozszerzalności cieplnej w gorącym klimacie nie wchodzi w grę, gdyż na skutek nagrzewania się czaszki mogłyby pojawić się naprężenia prowadzące do stanów zapalnych. Nasz system umożliwia użytkownikowi zdefiniowanie tych wszystkich wymogów, dzięki czemu implant będzie miał dokładnie takie cechy, jakich oczekuje chirurg. DeepImplant jest więc obecnie najdokładniejszym na świecie narzędziem do automatycznej rekonstrukcji defektów czaszkowych. Co więcej, umożliwia projektowanie w pełni automatyczne w ciągu zaledwie kilku, maksymalnie kilkunastu sekund. Ma to niebagatelny wpływ na praktyczny potencjał opracowanego rozwiązania.

Jakie są szanse, że będzie ono w praktyce wykorzystywane przez lekarzy? I kiedy to nastąpi?

Mamy już gotowy prototyp, który na pewno działa, bo został przetestowany w warunkach laboratoryjnych. W tej chwili możemy jednak nawiązywać współpracę tylko z zainteresowanymi placówkami medycznymi na zasadzie non profit. Wygląda to tak, że np. klinika zwraca się do nas z konkretnym problemem pacjenta, przesyłając jego zanonimizowane dane obrazowe, na podstawie których algorytm przygotowuje rekonstrukcję fragmentu czaszki. Następnie lekarz sam decyduje, czy zaprojektowane przez AI wypełnienie będzie użyteczne. Mogę na razie potwierdzić, że przynajmniej jeden pacjent posiada implant przygotowany przez nasz algorytm. Niestety, nie w Polsce.

Dlaczego za granicą?

Zabrzmi to paradoksalnie, ale nasz system jest obecnie lepiej znany poza Polską. Lekarze ze Szwajcarii, z Hiszpanii oraz z innych państw zachodnich są bardziej zainteresowani wykorzystaniem algorytmów AI w rekonstrukcji czaszki. Drugą barierą są kwestie typowo administracyjne. Za granicą można znacznie szybciej i prościej nawiązać współpracę badawczą w obszarze medycyny cyfrowej i łatwiej rozpropagować działanie opracowanego przez nasz zespół systemu.

Jak długo trzeba będzie czekać na komercjalizację?

Największe wyzwanie to przeskok od gotowego prototypu do faktycznego wdrożenia rynkowego. Finansowanie, które otrzymujemy w Polsce w formie grantów z budżetu państwa, obejmuje jedynie prace badawcze i rozwojowe. Czyli potrafimy doprowadzić projekt do etapu gotowego do komercjalizacji, ale już nie dalej. Żeby wykonać ten ostatni krok, potrzebowalibyśmy znacznie większych nakładów finansowych oraz zainteresowania inwestorów.

Na razie więc skupiamy się na komercjalizacji samego modelowania implantu jako usługi wyłącznie software'owej, co jest raczej w naszym zasięgu, jeśli chodzi o certyfikację. Gdybyśmy jednak chcieli stworzyć system, który nie tylko projektuje, ale też od razu drukuje i dostarcza gotowe implanty do szpitali, musielibyśmy dodać m.in. usługę ich sterylizacji.

Zajął się pan również diagnostyką glejaka mózgu i nowotworów piersi.

Opracowałem m.in. metody służące do aktualizacji planów resekcji glejaka w trakcie operacji chirurgicznej. Chodzi o to, że lekarz ma przygotowaną „mapę" zabiegu, pokazującą, gdzie dokładnie znajduje się guz i które zdrowe tkanki wokół niego należy bezwzględnie ominąć. Kłopot w tym, że gdy chirurg zaczyna usuwać fragmenty nowotworu, to cała „geometria" operowanego obszaru może się modyfikować, bo mózg jest miękką tkanką. W rezultacie pierwotna „mapa" szybko się dezaktualizuje. Ale dzięki algorytmom sztucznej inteligencji można temu zaradzić. Działają „na żywo" podczas zabiegu, czyli pobierają nowe dane, np. z obrazowania śródoperacyjnego, i w czasie rzeczywistym korygują „mapę".

Ogólnie zajmowałem się tzw. patologią cyfrową, czyli automatycznym wykrywaniem zmian w tkankach badanych pod mikroskopem, np. nowotworowych. I rozważałem nawet, czy po powrocie ze Szwajcarii, gdzie przez pewien czas pracowałem, nie stworzyć zespołu badawczego skupionego właśnie na tym obszarze. Wymaga to jednak dostępu do wielkich zbiorów danych medycznych, a co za tym idzie, bardzo ścisłej, bezpośredniej współpracy lekarzy z inżynierami. Niestety, w Polsce jest to wręcz ekstremalnie trudne, m.in. ze względu na sformalizowane i skomplikowane procedury takiej kooperacji.

Pańskie zainteresowania naukowe łączą dwa światy – medycynę i inżynierię. Co sprawiło, że postanowił pan poświęcić swoją karierę właśnie temu, rozwijając AI na potrzeby obrazowania medycznego?

Już w szkole średniej wiedziałem, że chcę się zajmować tematami z szeroko rozumianej medycyny. Rozważałem nawet, czy nie zostać lekarzem. Ostatecznie jednak stwierdziłem, że chyba bardziej nadaję się na inżyniera. Jednak fascynacja światem medycyny pozostała i byłem zdecydowany zajmować się tematami związanymi bezpośrednio z leczeniem ludzi.

Czy AI może w przyszłości stać się niemal równorzędnym partnerem lekarzy?

To nieuniknione. AI na pewno będzie mieć ogromny wpływ na medycynę, szczególnie jeśli chodzi o szeroko rozumianą automatyzację i przyspieszanie diagnoz. Co nie zmienia faktu, że powinna być stosowana z dużą ostrożnością. Badania wskazują, że młodzi medycy, którzy od początku swojej kariery używają narzędzi sztucznej inteligencji, stają się gorszymi specjalistami. Nie możemy też zapominać, że to lekarz podejmuje ostateczną decyzję i ponosi za nią pełną odpowiedzialność. ■

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2025
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2025
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaKS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
TVP info
tokfm
FORUM AKADEMICKIE
eprasa.pl bb931bc7ab



Bitwa duńsko-szwedzka o Sund w 1658 r. na obrazie nieznanego artysty

Wrota Bałtyku

Cieśniny Duńskie od tysiąca lat są barometrem niepokojów w Europie. Miały udział w triumfie polskiej Solidarności, mogą zamknąć Rosji drogę do zwycięstwa w Ukrainie.

ŁUKASZ WÓJCIK

Gefion to w mitologii nordyckiej bogini rolnictwa i dziewic. Gdy poprosiła północnego króla o ziemię, ten odparł, że dostanie tyle, ile uda jej się zaorać w ciągu jednego dnia. Gefion zamieniła swoich synów w woły i zaorała ziemię aż za horyzont. W ten sposób miała powstać duńska wyspa Zelandia, którą rozeźlony król kazał odciąć od stałego lądu. Przy czym lądem tym była dzisiejsza Szwecja, ale Duńczycy niechętnie o tym mówią... A Gefion traktują prawie jak bohaterkę narodową.

To odcięcie stało się Sundem, jedną z Cieśnin Duńskich (uwaga: nie Cieśniną Duńską oddzielającą Islandię od Grenlandii), które wracają na pierwsze strony historii za każdym razem, gdy coś ważnego dzieje się w Europie. Nie inaczej jest i tym razem: chodzi o rosyjskie statki z tzw. floty cienia – często nieubezpieczone, w słabym stanie technicznym, z załogami objętymi międzynarodowymi sankcjami, które nielegalnie transportują rosyjską ropę naftową z Bałtyku przez Cieśniny do odbiorców na całym świecie (w sumie 60 proc. rosyjskiego eksportu idzie tą drogą). W ten sposób zarabiają na rosyjską machinę wojenną.

eprasa.pl bb931bc7ab

Jak pisze francuski mediewista Michel Mollat du Jourdin w książce „Europa i morze”, przez wieki kontrola nad Cieśninami Duńskimi była jednym z najważniejszych geopolitycznych (i finansowych) atutów na kontynencie. Decydowała o losie bałtyckich portów, o gospodarce państw z tego regionu, o przebiegu kilku wojen. I dziś znów może zadecydować o jednej z nich. Dlatego coraz więcej państw, w tym Polska, domaga się zamknięcia Cieśnin dla rosyjskiej floty cienia. Nie będzie to łatwe.

Z Cieśninami Duńskimi zawsze był problem, bo znajdują się one w pobliżu terenów gęsto zaludnionych i kluczowych strategicznie. Przebiegają tamtędy trzy drogi morskie. Pierwsza, ta najczęściej używana, przez Sund, zwęża się w pewnym momencie do pięciu kilometrów. Przechodzi między wspomnianą już Zelandią i zachodnim wybrzeżem Szwecji. Druga wiedzie przez cieśninę Wielki Bełt, ma nieco ponad 20 km szerokości w najwęższym miejscu. Trzecia jest wytyczona przez Mały Bełt, który w kilku miejscach zbiega się do zaledwie 80 m.

Poza tymi drogami z Bałtyku można się wydostać tylko przez sztuczne kanały o ograniczonej przepustowości: Kiloński oraz rosyjskie przejścia prowadzące od Petersburga aż do Morza Białego. Dlatego Cieśniny są tak ważne – za każdym razem, gdy były zamykane, twierdzi du Jourdin, Bałtyk zamieniał się w drogi basen, gdy trzeba było płacić Duńczykom.



Strzał z armaty

Historycznie rzecz biorąc, duńska kontrola nad Cieśninami była niemal powszechnie akceptowana w ramach zasady „strzału armatniego”, zezwalającej państwom na sprawowanie kontroli nad wodami przybrzeżnymi w oparciu właśnie o zasięg ich armat nadbrzeżnych. Ale w praktyce różnie z tym bywało.

Historia Cieśnin Duńskich i kontroli nad nimi jest nierozerwalna z układem sił na Bałtyku. A od XII w. rządziła tu Hanza, początkowo jako sojusz wolnych miast Lubeki i Hamburga, później rozrosła się do 160 miast kontrolujących handel na morzach Północnym i Bałtyckim. To była siła, z którą Królestwo Danii musiało się liczyć, dlatego w zasadzie do upadku Hanzy w XVII w. jej statki miały w Cieśninach immunitet.

Opłaty za przekraczanie Cieśnin Duńczycy pobierali prawdopodobnie już w XII w. Ale oficjalny cennik wprowadził w 1429 r. król Eryk VII, czyli „nasz” Eryk Pomorski, który do dziś spoczywa w Darłowie – to dopiero pierwszy polski akcent związany z Cieśninami, a będą aż cztery. Królestwo Danii, nakładając cła na Sund, odwoływało się do prawa rzymskiego i wzorowało na podobnych rozwiązaniach wprowadzonych w XIV w. przez Genuę i Wenecję, a także Cesarstwo Bizantyńskie, które już wówczas pobierało opłaty na Bosforze i Dardanele.

Mechanizm był prosty. Duńczycy postawili lub częściowo rozbudowali dwie twierdze w najwęższym miejscu cieśniny: Helsingør („zamek Hamleta”) w dzisiejszej Danii i Helsingborg, który historycznie był duńską posiadłością, a dziś jest szwedzki. Te twierdze – oddalone od siebie o zaledwie cztery kilometry – sprawiały, że nie opłacało się unikać opłat.

Początkowo pobierano je w jednej wysokości dla każdego statku, ale w 1567 r. Duńczycy zamienili jednolite cło na podatek w wysokości 1–2 proc. od wartości ładunku, co natychmiast przyniosło trzykrotnie większe dochody. Przy czym Duńczycy zagwarantowali sobie prawo zakupu towaru po cenie zadeklarowanej przez kapitana, co ukróciło zaniżanie wartości.

Według historyka Michaela Northa, autora „Historii Bałtyku”, w XVI i XVII w. zdarzało się, że prawie dwie trzecie duńskiego budżetu pochodziło z ceł na Sundzie. I tu kolej na drugi polski wątek – w duńskich archiwach po 1600 r. prawie co trzeci statek uiszczający opłaty w Helsingørze przewoził polskie zboże, głównie do Niderlandów. Ale gdy na początku XVIII w. Duńczycy podnieśli opłaty dla statków z państw nieobjętych darmowym przepływem (a było ich coraz więcej, o czym zaraz), zbiegło się to z kryzysem gospodarczym w Rzeczpospolitej. Opłaty były do tego stopnia wysokie, że niektórym armatorom opłacała się zamiana transportu na lądowy przez Półwysep Jutlandzki.

A teraz o darmowym przepływie. Od ceł były wyjątki, najczęściej uzależnione od polityki zagranicznej Kopenhagi. I tak ze specjalnego statusu korzystały statki z miast Hanzy. Również szwedzkie jednostki początkowo nic nie płaciły, ponieważ w momencie wprowadzenia regularnych ceł Sztokholm był razem z Kopenhagą w unii kalmarskiej. Potem w wyniku wojen między tymi sąsiadami to się kilkakrotnie zmieniało.

Płatne z góry

W kolejnych dekadach toczyła się rywalizacja o Bałtyk – głównie między Szwecją, Rosją i Niemcami. O Cieśninach Duńskich marzył car Piotr Wielki, który nakazał budowę floty bałtyckiej. Na Bałtyk zaglądali Brytyjczycy, o czym przypomina m.in. bitwa pod Kopenhagą w 1801 r., gdzie w czasie wojen napoleońskich lord Nelson rozbił połączoną duńsko-norweską flotę. Opłat jednak nie zniesiono nawet wtedy.

Zdaniem Northa duńska koniunktura oparta na dochodach z ceł skończyła się w pierwszej połowie XIX w. Najpierw bunt przeciwko wysokim opłatom na Sundzie podnieśli kopenhascy kupcy, którzy tracili na zmniejszonej żegludze. Potem sprawę wolnej żeglugi podniosły mocarstwa: Rosja, Prusy, Francja, Wielka Brytania, ale też Stany Zjednoczone, które już wówczas były największym orędownikiem tej idei.

W efekcie przyciśnięta wewnętrznie i zewnętrznie Dania w ramach konwencji kopenhaskiej z 1857 r. zgodziła się na jednorazową opłatę w wysokości 33,5 mln talarów duńskich (równowartość 12-letnich ceł) w zamian za całkowite i bezterminowe zniesienie opłat na Sundzie przy jednoczesnym utrzymaniu dość kosztownej obsługi ruchu (latarnie, porty, statki pilotujące itd.). Z całej tej sumy Wielka Brytania zapłaciła około jednej trzeciej, tyle samo carska Rosja. Dzisiejsi zwolennicy przywrócenia opłat w Cieśninach dla rosyjskich statków argumentują m.in., że wspomnianą konwencję podpisało nieistniejące już państwo.

Na mocy konwencji kopenhaskiej Cieśniny Duńskie w sensie prawnym stały się wodami międzynarodowymi. Czyli od prawie 170 lat obowiązuje tam reżim przejścia tranzytowego, który do minimum ogranicza prawa państw przyległych, Danii i Szwecji. Ewentualne kontrole przepływających statków są możliwe jedynie przy bezspornych dowodach na to, że ich tranzyt grozi ▶

© HERITAGE IMAGES/FORUM, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ katastrofą ekologiczną, co jest ważne w kontekście problemów z flotą cienia.

Od tych 170 lat Dania ma też obowiązek zapewnienia nawigatorów, którzy mogą przeprowadzić statek przez Cieśniny, ale żadna jednostka nie ma obowiązku ich zabrać. Szczególnie że taka usługa zawsze była kosztowna (dziś to ok. 10 tys. dol.) i w praktyce pozwalała Duńczykom na nieformalną inspekcję. Dlatego statki z rosyjskiej floty cienia korzystają z pilotów coraz rzadziej.

Szerszenie do gniazd

W wyniku obu wojen światowych znaczenie Cieśnin wzrosło. W trakcie tej pierwszej floty brytyjska i amerykańska tak obawiały się rajdów niemieckich okrętów podwodnych, że przeprowadziły kosztowne minowanie głębinowe na Morzu Północnym i w pobliżu niemieckich portów. A wiosną 1918 r. amerykańska eskadra postawiła dwa pola minowe w samym Kattegacie, u północnego wejścia do Cieśnin, aby – jak to ujął sekretarz marynarki USA Josephus Daniels – „zamknąć szerszenie w ich gniazdach", co się zresztą udało.

Na początku XX w. Duńczycy wprowadzili nakaz meldowania dla większych jednostek z powodu coraz większego natężenia ruchu, ale też ze względu na ograniczenia spowodowane budową kolejnych mostów przez Cieśniny, z których pierwsze powstały jeszcze pod koniec XIX w. Pierwszy most nad Małym Bełtem zbudowano w latach 1929–33, drugi już w latach 70. XX w. (W 1997 r. Duńczycy oddali do użytku most nad Wielkim Bełtem i wreszcie w 2000 r. – nad Sundem; trasa ta częściowo prowadzi podmorskim tunelem).

Jeszcze przed drugą wojną w związku z rosnącymi napięciami międzynarodowymi Kopenhaga wprowadziła restrykcyjną kontrolę obcych okrętów. Zezwolono im się poruszać wyłącznie po wyznaczonych trasach i zgodnie z zasadami tzw. nieszkodliwego przepływu – musi on być nieprzerwany i możliwie szybki na całej długości (od 1999 r. obowiązuje system meldowania się okrętów, jeśli płyną trzy lub więcej, z kolei okręty podwodne muszą przepływać Cieśniny w wynurzeniu).

W latach 30. kontrola nad Cieśninami Duńskimi stała się niemiecką obsesją strategiczną. Zgodnie z planami miała zapewnić swobodny przepływ nie tylko okrętom III Rzeszy, ale też zamknąć tę drogę dla jednostek ZSRR. Już po rozpoczęciu wojny, ale jeszcze w ramach paktu Ribbentrop–Mołotow radzieckie MSZ bezskutecznie domagało się otwarcia Cieśnin dla radzieckich jednostek. A kilka dni przed operacją Barbarossa Adolf Hitler zapowiedział admirałom: „Głównym celem jest utrzymanie Cieśniny Bałtyckiej (chodzi o Cieśniny Duńskie – przyp. red.) i zablokowanie Leningradu".

Legenda „Orła"

W kwietniu 1940 r. Niemcy błyskawicznie zajęli Danię, a potem opanowali Norwegię, docierając do Cieśnin z obu stron. Dało to im nie tylko kontrolę nad Bałtykiem, ale również zabezpieczyło transport szwedzkiej rudy żelaza i ostatecznie zepchnęło radziecką flotę do Zatoki Fińskiej (Niemcy byli już wtedy w Helsinkach), z której wyrwała się dopiero we wrześniu 1944 r.

W czasie drugiej wojny światowej Polska po raz trzeci zapisała się w historii Cieśnin Duńskich. Rankiem 9 października 1939 r. wpłynął do nich ukradkiem polski okręt podwodny ORP „Orzeł". To był finał historii, która zaczęła się 1 września – „Orzeł" ruszył wtedy na Bałtyk w poszukiwaniu niemieckich celów. W końcu musiał zawinąć do portu i padło na neutralny Tallin. Estończycy pod presją III Rzeszy natychmiast internowali okręt, demontując z niego część uzbrojenia i zabierając mapy. Wtedy polski kapitan zdecydował się na ucieczkę.

Płynąc niemal na pamięć, okręt dotarł do Gotlandii, gdzie wysadził dwóch estońskich strażników. Wtedy też okazało się, że Estończycy (świadomie?) zostawili na pokładzie spis latarń bałtyckich. Na podstawie tak znikomych danych nawigator „Orła" por. Marian Mokrski odręcznie sporządził mapy Bałtyku i szczegółowo samych Cieśnin Duńskich, a kapitan zdecydował, że będą przedzierać się do Wielkiej Brytanii. Przejście przez Cieśniny wymagało nawigatorskiego geniuszu i stalowych nerwów (płynęli tylko w nocy, dni spędzali przyczajeni na dnie). O ostatecznym sukcesie „Orła" napisały później największe gazety świata.

Kontrola nad Cieśninami odegrała kluczową rolę również po wojnie. Decydujące znaczenie miało to, że Dania była członkiem założycielem NATO: dla strategów Sojuszu ewentualne ich zamknięcie mogło zdecydować o wyniku wojny morskiej na Atlantyku, gdyż odcięłoby od tego obszaru działań od 100 do 150 radzieckich okrętów bazujących w latach 70. i 80. na Bałtyku.

Głębia Wałęsy

Jednak to nie stratedzy NATO najskuteczniej blokowali dostęp na Bałtyk, ale głębokość Cienin Duńskich – przez wieki ograniczała ona zanurzenie statków wpływających na Morze Bałtyckie i z niego wypływających. W ostatnim stuleciu dno Sundu przez długi czas blokowało również rozwój przemysłu stoczniowego na Bałtyku. Największe statki, jakie mogły wypłynąć stąd na pełne oceany, tzw. klasa Baltimax, coraz bardziej odstawały od morskich gigantów, które już w latach 60. XX w. opanowały globalny fracht.

Pierwszy impuls do pogłębienia Cieśnin dała budowa Kanału Kilońskiego przez Cesarstwo Niemieckie w latach 1887–95. Przeciął on Półwysep Jutlandzki, pozwolił wyraźnie skrócić trasę i przede wszystkim „ubezpieczył" transfer niemieckich statków i okrętów z Morza Północnego na Bałtyckie na wypadek wojny. W latach 1907–14 Niemcy pogłębili Kanał Kiloński z 9 do 11 m. Kolejne etapy pogłębień rozpoczęły się w latach 60.

Stąd decyzja duńskich władz, aby pogłębić Cieśniny. W efekcie współczesny kształt otrzymały dwa podstawowe szlaki wodne. Mniejsze statki o zanurzeniu do 7,7 m mogą przepływać krótszą trasą przez Sund – w tym wypadku odległość między Skagen a Bornholmem wynosi 252 mile morskie. Dla większych, o zanurzeniu do 15 m (w ostatnich latach to już 17 m), pozostaje tzw. Trasa T, która prowadzi przez Wielki Bełt i liczy sobie 377 mil.

I tu historia Cieśnin po raz czwarty przecina się z historią Polski. Pogłębienie Cieśnin dało impuls rozwojowy polskiemu Wybrzeżu, co doskonale opisują dwie inżynierki z Gdańska, Karolina A. Krośnicka i Aleksandra Wawrzyńska. W Gdańsku w latach 70. XX w. powstał głębokowodny i nowoczesny Port Północny, obok rafineria. Zaczęły tam zawijać nowoczesne giganty, kontenerowce, masowce, które już mogły przechodzić przez Cieśniny. W drugą stronę popłynęły na eksport polskie statki. Do rekordowych rozmiarów rozbudowywały się zakłady pracy, jak Stocznia Gdańska, ściągając do miasta ludzi z całej Polski. Jednym z nich był niejaki Lech Wałęsa. Potem przyszła Solidarność i wolna Polska. Pogłębione Cieśniny Duńskie mają w tym swój udział.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl bb931bc7ab



Małomiasteczkowy bar, lata 60.

Seta w spelunie

Jak w podrzędnych knajpach obchodzono zakazy i nakazy dotyczące picia alkoholu.

DARIUSZ ŁUKASIEWICZ

Słowo „mordownia” w dawnej polszczyźnie określało pułapkę w fortyfikacji; otwór wykonany wysoko w zamkowej bramie, pozwalający niespodziewanie zaatakować przeciwnika z góry. Miejsce mordowania wroga stało się jednak z czasem miejscem mordowania trzeźwości i dobrych obyczajów. Obskurny lokal gastronomiczny, w którym klienci piją na umór, kojarzy się z brudem, agresją i przemocą. Alkoholowe piekiełka określano też z niemiecka szynkami, a Samuel Bogumił Linde w Słowniku języka polskiego z początku XIX w. ostrzegał, że w nich „wino gorsze do lepszego przymieszają”. Lokale najniższej kategorii dla biedoty nazywano też spelunkami, co odnotował językoznawca Witold Doroszewski, wyjaśniając, że to miejsca „wykorzystywane przez elementy przestępcze”, a nazwa wywodzi się od dawnego określenia nory.

Zepsuta cywilizacja

Wódka zaczęła się w tych miejscach lać obficie w wieku XIX wraz z upowszechnieniem uprawy ziemniaków, wzrostem liczby gorzelni i rozwojem miast oraz przemysłu. Spadała cena, rosła konsumpcja. Publicyści i lekarze niepokoili się upodobaniem klasy ludowej do wysokoprocentowych trunków. W samej tylko Łodzi w 1859 r. działały 73 szynki. Historyczka łódzka Aneta Bołdyrew w książce o patologiach społecznych „Pijaństwo i alkoholizm w piśmiennictwie Królestwa Polskiego w XIX i na początku XX wieku. Aspekty społeczne, pedagogiczne i kulturowe” zwraca uwagę, że w końcu XIX w. alkoholizmem zagrożone były całe środowiska.

Stopniowo ten nałóg połączony z degradacją moralną zaczęto przypisywać robotnikom i wiązać go z urbanizacją i industrializacją. Pijaństwo ubogiej ludności miejskiej miało być jednym z przejawów zepsucia cywilizacji. Nowoczesne miasto uważane było za siedlisko występku. Lekarze pisali o skarleniu w nim gatunku ludzkiego. Oceniano, że mieszkańcy dzielnic robotniczych są drobni, wymizerowani i szybko umierają. Miały to być blade osobniki o miękkim i zwiotczałym ciele. Z piciem kojarzono plagę chorób wenerycznych.

Robotnicy mieszkali z rodzinami najczęściej w jednoizbowych klitkach ▶

© MAREK ZÜRN/FORUM

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ w kamienicach czynszowych, toteż ich życie toczyło się zwykle poza domem: sąsiedzi zbierali się na rozmowy w bramie, na korytarzu i podwórku. Wracając z roboty zachodzili z kolegami na kielicha. Już wtedy pieniądze na życie robotniczej rodziny trzymały często żony i zostawiały mężowi jakieś kieszonkowe.

Pijaństwo należało do stałego zestawu występków razem z rozpustą i hazardem, toteż narastał ruch trzeźwości dowodzący, że tylko całkowita abstynencja jest rozwiązaniem problemów. Byli i uczeni nawołujący do rozsądku w ocenach. Pisarz i pedagog Adolf Dygasiński wystąpił w obronie szynków, poparł go socjolog Ludwik Krzywicki w 1891 r. w wydawanym w Warszawie czasopiśmie „Tygodnik Powszechny". Uważał, że lud szuka chwili oderwania od trudów codzienności i jeżeli nie ma w tym przesady, to nic złego.

Pod Karasiem

Jak czytamy w czasopiśmie „Kłosy" z 1870 r., w szynku wódczanym Pod Karasiem przy Krakowskim Przedmieściu lud warszawski zbierał się gromadnie: „W taniej wódce szuka zapomnienia na zgryzoty życia i pociechy, a ta wierna przyjaciółka nigdy nie zawiedzie, zawsze rozweseli, usunie troski, w niepamięci zagrzebie domowe kłopoty i biedę i serce rozczula, dopóki przytomności nie odbierze". Setki osób tłoczyły się od rana w brudnej, pełnej zaduchu izbie, by wypić kieliszek, pogadać z towarzyszami i dowiedzieć się, jak się komu powiódł napad z włamem. Oprócz wódki sprzedawano tu nadpleśniałe pomarańcze, nadpsute jabłka i śliwki, śledzie, rzodkiew, bułki, salcesony, pierniki, orzechy oraz zupę podejrzanego pochodzenia, po półtorej kopiejki za porcję. Ci, którzy ją zamówili, siedzieli na bruku pod murem i tam ją spożywali.

W czasach II Rzeczpospolitej mordownie miały się znakomicie, a ich stałymi gośćmi byli przestępcy i prostytutki. Janina, żona Władysława Broniewskiego, wspominała, że na przystankach nocnych tramwajów stały po dwie, po trzy takie „nocne ćmy" na wysokich obcasach i w pstrokatych sukienkach.

Największy ruch w przedwojennym warszawskim pogotowiu ratunkowym był między godz. 19.00 i 20.00 z powodu alkoholowych bijatyk w spelunkach. Pieśniarz i pisarz Stanisław Grzesiuk, który dzieciństwo spędził w najbiedniejszej dzielnicy – na Czerniakowie – pisał, że pełno tam było knajp, a pijanych widziało się na ulicy w sobotę. Spłacali w sklepie dług z całego tygodnia i resztę tygodniówki przepijali w szynku. Dla większości lokale, nawet podłe, były jednak za drogie, więc pili w bramach, na klatkach schodowych, w mieszkaniach. Policjanci takie towarzystwo lali pałami bez pytania.

„Dziennik Bydgoski" w 1924 r. w artykule „Pijacka Bydgoszcz" donosił: „W sobotę wieczorem i w niedzielę w wielu mieszkaniach słychać było pijacki śpiew na zmianę z awanturami, które przeważnie kończyły się pobiciem kogoś". Wyliczono, że jeden szynk przypada tu na 126 mieszkańców, a policja bydgoska meldowała, że w soboty i niedziele zgarnia średnio 80 pijaków.

W Łodzi znana była knajpa Icka Leipcigera Kokolewole (nazwę zmieniono później na Kokolobolo). Bywali w niej apasze (czyli opryszki), złodzieje, alfonsi i szumowiny wielkomiejskie. Jako częstego gościa wspomina się znanego z krzepy dwumetrowego dryblasa Jana Przytulnika. Został zamordowany w lokalu ciosem noża w serce. Królował tam łódzki Al Capone, czyli Ślepy Maks, przywódca żydowskiego półświatka. Tam złodziej Zagórski założył się o litr wódki, że przejdzie się po Łodzi w kalesonach, co zrobił, zataczając się w towarzystwie przygrywającej mu orkiestry.

Twarz bufetowej

W Polsce Ludowej lokale gastronomiczne dzieliły się na cztery kategorie: od najlepszej S do najgorszej III. Ta trzecia oznaczała tanie bary alkoholowe. O życiu tych ostatnich w latach 50. śpiewano: „Gdy nadchodzi późna godzina, na ulice zapada już zmrok, wtedy w spelunkach życie się zaczyna, orgia zabawy i pijaństwa moc". Specyficzny, ponury, ale jednocześnie jakoś barwny klimat tych miejsc powodował, że stały się one tematem literackim twórczości głośnych pisarzy: Marka Hłaski, Leopolda Tyrmanda, Marka Nowakowskiego czy Edwarda Stachury.

Tyrmand opisywał w „Życiu towarzyskim i uczuciowym" brzydotę tego środowiska, „mazowiecko-wędliniarską twarz bufetowej": „Wokoło, wśród woni gotowanej kapusty i podgrzewanych sosów, tłoczonej przez wentylator do środka, a nie wypychanej na zewnątrz na skutek błędu w konstrukcji, siedzieli Polacy i pili wódkę, lub piwo, zakąszali flakami, żeberkami wieprzowymi, nóżkami w galarecie, lub (...) zeszłorocznym ogórkiem kwaszonym. To były bardzo niedobre dania".

Wnętrza też nie były nadzwyczajne. W raporcie z 1953 r. pisano: „Najbardziej brudne i zaniedbane są lokale peryferyjne. Większość urządzeń mechanicznych i chłodniczych jest nieczynna (...). Na stołach brak obrusów". „Życie Warszawy" ubolewało, że w lokalach Jantar i Baryłeczka piwo spożywa się w „antykulturalnych" warunkach: stojąc i nie ściągając płaszczy i nakryć głowy. Brakowało popielniczek i nie działała wentylacja. W mordowniach używano niedomytych aluminiowych sztućców, piwo zamiast w kuflach, których brakowało, podawano w szklankach. Nie wykładano mydła i ręczników w toaletach. W salach unosił się dym tytoniowy, pachniało potem, resztkami jedzenia, brudnym ubraniem, a rozmowy co chwilę przerywały awantury.

O obsłudze krążył żart, że na całym świecie barmana można poznać po tym, że stoi po trzeźwej stronie baru, a w Polsce nigdy nie wiadomo. Rozdygotane ręce wielu kelnerów świadczyły o chorobie alkoholowej. Na obsługę czekano długie kwadranse.

Spelunki funkcjonowały wówczas przy mniej uczęszczanych ulicach, w dzielnicach słynących z półświatka, jak warszawska Praga, w pobliżu fabryk, w miastach portowych. Ich uciążliwość dla okolicy polegała też na publicznym załatwianiu potrzeb fizjologicznych przez nietrzeźwych klientów oraz piciu pod knajpą. Kierownik Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego (SKP) w Gdańsku meldował w 1962 r., że pijalnia piwa przy reprezentacyjnym Długim Targu jest „siedliskiem elementów wykolejonych, pijackich, kobiet lekkich obyczajów. Często bywalcy pijalni wychodzą po wypiciu większej ilości piwa na ulicę i rozsiadają się na ławkach. Rozpijaczonym wyglądem, a nierzadko wulgarnymi wyrażeniami wywołują zgorszenie, szczególnie wśród wycieczek młodzieży szkolnej".

Do Komitetu Centralnego PZPR nieustannie napływały skargi obywateli na uciążliwość tego rodzaju lokali. Mieszkańcy starali się usunąć lokal szpecący ich życie. Przy większych awanturach i protestach lokale traciły koncesje na sprzedaż alkoholu. Robiono to jednak niechętnie, bo knajpy z wódką były bardziej dochodowe niż restauracje, a ich likwidacja prowadziła do powstawania w okolicy melin,

eprasa.pl bb931bc7ab



Chłopi w karczmie, obraz Franciszka Kostrzewskiego, XIX w.

w których można było o każdej porze nielegalnie kupić alkohol.

A jednak w Polsce Ludowej lokali gastronomicznych było niewiele. W czasach stalinowskich restauracje dla bogatych miała zastąpić egalitarna stołówka w zakładach pracy. Władza ludowa uważała, że trzeba oszczędzać i korzystać z oferty żywienia zbiorowego lub jeść w domu. Względne odrodzenie gastronomii zaczęło się w czasach Władysława Gomułki w latach 60. Krzysztof Kosiński w „Historii pijaństwa w czasach PRL" podaje, że w połowie lat 60. na tysiąc mieszkańców w Polsce były 22 lokale gastronomiczne, podczas gdy na Węgrzech – 90, a w Czechach – 120. U progu lat 70. działało trzy razy tyle kawiarń, barów, herbaciarni i cukierni, ile dekadę wcześniej. Pojawiły się modne lokale oferujące kawę i likiery, choć władza widziała w nich symbol Polski przedwojennej i zbędny luksus. Felietonista Stefan Kisielewski pisał, że broni kawiarni, chociaż wie, że często gnieżdżą się tam miglance.

Knajpy z niskobudżetowym jedzeniem i wódką władze z założenia uważały za podejrzane miejsca pijatyk, bójek i prostytucji. W „warszawskim barze Łowickim mieściło się zagłębie „prostytucyjno-bandziorskie". „Brać pije, kłóci się, popycha, wymyśla sobie plugawie. Niekończąca się sjesta w smrodliwym dymie Giewontów i odorze czyściochy, przerywana pojawieniem się złodziei z łupami" – napisał Olgierd Budrewicz w „Bedekerze warszawskim" w latach 60. Pod koniec lat 70. Tadeusz Konwicki w „Małej apokalipsie" opisał rozpadający się kraj pogrążony w pijaństwie.

Publicystyka PRL kontynuowała XIX-wieczną tradycję piętnowania degradującego charakteru mordowni.

Były jeszcze budki z piwem – pomalowane zwykle na zielono kioski, wokół których codziennie gromadziły się grupki mężczyzn pijących na stojąco. Kobiet tam nie widywano. Podobnie mordownie nie były miejscem dla kobiet. Bywali w nich niemal wyłącznie robotnicy, drobni kombinatorzy, złodzieje, paserzy, nałogowcy.

Kto by się przejmował

Nad sytuacją władze starały się zapanować nakazami i zakazami. Klienci z ich omijania zrobili się mistrzami. W mordowni w Ostrowcu Świętokrzyskim obowiązywał zakaz podawania alkoholu do godz. 17.00. Już o 14.00 był tam tłum ludzi wznoszących toasty oranżadą. Wlewanie wódki do butelek po oranżadzie albo wodzie mineralnej było rozpowszechnione. W Kargowej w zielonogórskim był zakaz podawania trunków w dniu wypłaty. Tu z kolei klienci zamawiali herbatę, do której dolewano wódkę. Zakazywano konsumpcji alkoholu bez zakąski, więc kelnerzy przynosili jajko w majonezie albo śledzia i sałatkę jarzynową, a potem odnosili je do baru. Nie przejmowano się także zakazem podawania wódki w kieliszkach 100 ml.

Nie wolno wnosić własnego alkoholu? Kto by się przejmował. Na warszawskim Muranowie w barze Gdańskim klienci siedzący na wysokich stołkach przy barze dolewali sobie dyskretnie z butelek ukrytych w ubraniu czy torbie.

Były lokale w ogóle nieserwujące alkoholu, ale i z tą niedogodnością sobie radzono, zwłaszcza kiedy było za zimno na picie w bramie. I tak np. zastraszone barmanki baru kawowego Szarotka w śródmieściu Warszawy ogłosiły, że ich lokal jest pod okupacją alkoholików, którzy nielegalnie wnoszą tam wódkę i zrobili sobie pijacką melinę.

Nietrzeźwych nie wpuszczano? W restauracji Europejska we Włocławku w 1969 r. pijak pobił portiera, który nie chciał go wpuścić, i został skazany na dwa miesiące więzienia.

Nietrzeźwym alkoholu nie podawano? Trzeba było odwagi. Jerzy Besala w „Alkoholowych dziejach Polski. Czasy PRL-u" opisał historię ze Szczecina. Tuż po wojnie nie tylko w gastronomii decydowały często pięść i napad. W 1947 r. klient, któremu w barze odmówiono podania wódki, chwycił za szklaną butelkę z wodą i wyrżnął nią barmana w głowę. Najbardziej ekstremalny przypadek miał miejsce w Polanicy-Zdroju w 1962 r. W restauracji Zdrojowa zabito jej kierownika, kiedy kelnerzy odmówili pijanym gościom podania alkoholu.

DARIUSZ ŁUKASIEWICZ

© MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

eprasa.pl bb931bc7ab

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)



film

Cztery ściany piekła 4/6

Dom dobry, reż. Wojciech Smarzowski, prod. Polska, 107 min, w kinach od 7 listopada

Wiadomo, że kino Wojciecha Smarzowskiego dostarcza silnych emocji, że potrafi drażnić, prowokować, zmuszać do zastanowienia, a najczęściej szokuje. Każdy jego film to brutalny cios wymierzony w strefę komfortu widza. Zawsze chodzi o jakiś głębszy problem, jakieś tabu, przemilczaną patologię, usprawiedliwiającą terapię wstrząsową bezpardonowo fundowaną przez reżysera. W „Domu dobrym" jest dokładnie tak, jak nas Smarzowski do tego przyzwyczaił, tylko o wiele mocniej, boleśniej, bardziej wprost i bez żadnych zahamowań. Przy czym nie chodzi o zbrodnie i wykroczenia dokonywane przez zwyrodnialców z siekierami, tylko przez uprzywilejowanych samców alfa należących do wykształconych elit.

Po krótkim prologu wyglądającym jak romantyczna pocztówka z zagranicznej podróży poślubnej następuje gwałtowne zerwanie kurtyny. Idealny mąż grany przez **Tomasza Schuchardta** nagle zamienia się w gruboskórnego, pozbawionego empatii oprawcę znęcającego się fizycznie, psychicznie i w każdy inny możliwy sposób nad ciężarną żoną (**Agata Turkot**). Preludium tej metamorfozy jest scena przyjęcia, w czasie którego małżonek upokarza partnerkę, naśmiewając się publicznie z jej chrapania, co udokumentował bez jej zgody filmikiem nagranym telefonem komórkowym. Dalej, aż do koszmarnego finału, mamy lawinę wyjątkowo okrutnych obrazów, przeplataną brakiem należytej reakcji udającego obrońcę wartości rodzinnych Kościoła, obrazami opieszałości służb, obojętnego państwa oraz nieskorych do pomocy bliskich i przyjaciół. Przestrzeń ograniczona do czterech ścian, która w czasie pandemii stała się dla wielu ofiar pułapką, nie służy rozwijaniu psychologicznych niuansów. Liczy się dokonywana bez znieczulenia operacja na wrażliwości widzów. W rezultacie „Dom dobry" to przeraźliwie długi, naturalistyczny horror przemocy domowej z wielominutowymi scenami brutalnego gwałtu, czystego sadyzmu, co oczywiście działa terapeutycznie, a nawet oczyszczająco, jednak dla wielu nieprzygotowanych na to osób może się stać torturą i traumą.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Psychodeliczny odlot 5/6

Bugonia, reż. Yorgos Lanthimos, prod. USA, Korea Płd., Irlandia, Kanada, Wielka Brytania, 120 min, w kinach od 7 listopada



Obrazoburcze, dekadenckie widowisko greckiego wizjonera lubującego się w obnażaniu ludzkiej głupoty na pierwszy rzut oka wydaje się groteskową komedią. W rzeczywistości stanowi gęstą tematycznie i niepokojąco aktualną refleksję nad nieuchronnym upadkiem cywilizacji. Operujący rozpoznawalnym stylem – mrocznie prześmiewczym, wywrotowym, nieprzewidywalnym i coraz śmielej barokowym – Yorgos Lanthimos tym razem ma dla nas gorące przesłanie: ludzkość wkrótce stanie w obliczu sądu ostatecznego. „Bugonia" to wciągające studium dynamiki klasowej i zacierania cienkiej granicy między pewnością a złudzeniami. Fabuła, mimo pozorów science fiction, nie wygląda tak bardzo na fikcję. Całkiem realnie odzwierciedla paranoję trzeciej dekady XXI w., nakręcaną teoriami spiskowymi denialistów klimatycznych czy ludzi przekonanych, że trzeba odzyskać Amerykę z rąk pedofilów, globalistów i kosmitów. Najmocniejszą stroną filmu są wybitne kreacje aktorskie: **Jesse Plemons** w roli pszczelarza zatrudnionego w korpo oraz **Emma Stone** jako bezwzględna szefowa firmy farmaceutycznej podejrzewanej o to, że działa na rzecz obcych. Mistrzowska, błyskotliwa rozrywka z filozoficzno-społecznymi podtekstami, dorównująca, jak dla mnie, hitowemu widowisku „Jedna bitwa po drugiej" Paula Thomasa Andersona. JW

© PAWEŁ TYBORA, ATSUSHI NISHIJIMA/FOCUS FEATURES, SUSIE ALLNUTT/NETFLIX, APPLE TV, KAROLINA JÓŹWIAK

eprasa.pl bb931bc7ab

serial



Nowa twarz Wiedźmina 3/6

Wiedźmin 4 (The Witcher 4), twórczyni serii: Lauren S. Hissrich, 8 odc., Netflix

Po trzech rozczarowujących seriach tej ekranizacji – a może uczciwiej napisać: wariacji na motywach – cyklu opowiadań i powieści Andrzeja Sapkowskiego o Geralcie z Rivii, nie byłoby sensu recenzować czwartej. Nie byłoby, bo ton i estetyka się nie zmieniają, Lauren S. Hissrich wraz ze współpracownikami wciąż tworzą produkcję z gatunku, powiedzmy, young adults fantasy. To Sapkowski uproszczony, bez niuansów, z niewielką, jeśli w ogóle, dawką sarkazmu i ironii. A jednak recenzujemy, bo to ten – przy okazji przedostatni – sezon, w którym zmienia się aktor grający tytułowego bohatera. Takie czary dotąd miały miejsce głównie w telenowelach, tymczasem Henry Cavill, który raczył widzów swoimi kultowymi mruknięciami, w końcu postanowił zsiąść z Płotki, a miecz i skórzane wdzianko przejął po nim najmłodszy z braci Hemsworthów, Liam. Jak twórcy uzasadniają transformację wizualną, ale też zmianę charakteru Geralta? Dużo się tu wspomina o przemianach i dojrzewaniu, a ten wątek i tak wychodzi twórcom lepiej niż samo popychanie tej opowieści do przodu, czyli do finału. To kolejny sezon, w którym trójka bohaterów, rozłączona, toczy swoje walki (także dosłownie) osobno. Geralt dorabia się swoistej nowej rodziny, o którą się troszczy. Yennefer (Anya Chalotra) stara się uwierzyć w siłę siostrzeństwa. A Ciri (Freya Allan) próbuje się wpasować w młodociany gang Szczurów.

ANETA KYZIOŁ

serial

Rozrywka z powtórki 4/6

Droga do prawdy (Down Cemetary Road), twórczyni serii: Morwenna Banks, 8 odc., Apple TV

Serialowa adaptacja „Kulawych koni", bestsellerowej, brytyjskiej serii szpiegowskiej Micka Herrona, zbiera kolejne nagrody i bije rekordy popularności (piąta seria jest już dostępna w całości). Apple TV poszła więc za ciosem, biorąc na warsztat debiutancką powieść Herrona. To thriller z intrygą obejmującą – znów – tajne operacje rządowe i bezwzględne zacieranie śladów, rozgrywany – znów – w Londynie, ale też w Oksfordzie i na malowniczej szkockiej prowincji. Trudno ukryć wady serii, czyli brak świeżości, oryginalności, ale obsada częściowo je rekompensuje. Gwiazdą „Kulawych koni" jest grany przez Gary'ego Oldmana zgryźliwy i przenikliwy tetryk dowodzący oddziałem szpiegów z odrzutu. W „Drodze do prawdy" prym wiodą bohaterki, a w głównych rolach znów mamy gwiazdy. **Emma Thompson** wciela się w detektywkę Zoë Boehm, z rockandrollową aparycją i takim stosunkiem do życia, nieulęknioną, nieuciszalną i nie do zatrzymania. Partnerująca jej **Ruth Wilson** rolę Sarah Tucker dołącza do swojej bogatej kolekcji neurotycznych outsiderek, które nie chcą i nie potrafią odpuścić. Wszystko zaczyna się od eksplozji domu, w wyniku której ginie małżeństwo. Oficjalnie zawinił gaz, dlaczego jednak władze ukrywają miejsce pobytu kilkuletniej córeczki ofiar? Śledztwo bohaterek przeplata się z akcją tajnych agentów i wtedy wkraczamy w świat znany z „Kulawych koni". Do tego grono typowo brytyjskich oryginałów i błyskotliwie kąśliwy humor. AK



scena

Strategie przeżycia 4/6

Sublokatorka, według Hanny Krall, reż. Maja Kleczewska, Teatr Powszechny w Warszawie



Przed premierą reżyserka Maja Kleczewska powtarzała, że właśnie dziś należy czytać i wystawiać teksty Hanny Krall. Historia wydaje się zataczać koło, wojna, prześladowania, łapanki, wywózki, ukrywanie się znów stają się codziennym doświadczeniem wielu osób na świecie. Sami coraz częściej rozmawiamy o wojnie i analizujemy strategie przeżycia. „Sublokatorkę", która jest podstawą spektaklu w Teatrze Powszechnym (towarzyszą jej także teksty z reporterskich książek Krall), można tak właśnie czytać. Naszą przewodniczką jest tajemnicza, czarna dziewczynka, mistrzyni ukrywania się, obok niej swoje historie opowiadają inne żydowskie dzieci, które przetrwały Zagładę w Polsce: w ziemiankach, stodołach, szafach, w grobach, z dopasowywanym do okoliczności życiorysem, religią, kolorem włosów, płcią. Ich „sublokatorski" kontrakt w każdej chwili może zostać wypowiedziany, bo skończą się pieniądze, cierpliwość „gospodarzy", zostaną wydaleni, wydani, zabici. Trzygodzinny spektakl, rozgrywany w wolnym rytmie ostentacyjnie i z premedytacją nie ułatwia widzom zadania. Niektórych pewnie znuży – te holokaustowe historie przecież znamy. Teraz jednak przeglądamy w nich własne lęki. Innych może zirytować brakiem jasnych odniesień do działań izraelskiego wojska w Gazie. Kleczewska jednak nie mówi do Izraelczyków, tylko do nas, przypominając nam naszą własną historię i przestrzegając przed powtórką. AK

eprasa.pl bb931bc7ab



Świętokrzyska zemsta 5/6

Maciej Siembieda, **Gołoborze**, Znak Literanova, Kraków 2025, s. 528



Nowa powieść Macieja Siembiedy różni się od jego wcześniejszych książek i jest najbardziej osobista. „Grabińska zemsta nie miała początku ani końca" – pisze autor. Mała wieś niedaleko Starachowic ma swój pierwowzór, a historie, które opowiada, w dużej mierze zdarzyły się naprawdę. Nazwy i nazwiska są zmienione, ale sam pisarz od dzieciństwa znał historię walki dwu klanów, która sięgała czasów powstania styczniowego. W powieści rody Kończków i Cebrzynów walczą ze sobą, bo honor jest ważniejszy niż życie. Grabin to osobna republika, która rządzi się swoimi prawami. Wielka historia dociera tam (Siembieda zaznacza ją przełomowymi dla Polski datami), ale nie zmienia układów wewnętrznych, w których chodzi o wymordowanie przeciwników. W całej tej trwającej ponad wiek opowieści są momenty, kiedy wojenny topór mógł zostać zasypany – miłość Jadźki Kończak i Stefka Cembrzyny mogłaby połączyć zwaśnione rody. Ale prawo zemsty im na to nie pozwoliło. Siembieda pokazuje zamkniętą, hermetyczną społeczność, która może nam przypominać porachunki mafii na Sycylii. Ta historia, inaczej niż w poprzednich powieściach, nie prowadzi do rozwiązania zagadki, ale tutaj w każdym pokoleniu pojawiają się kolejne ukryte zbrodnie i przemilczane sprawy. Zbrodniarz może też stać się bohaterem w pamięci społeczności. Kimś takim jest tutaj Karaś, człowiek o łuskowatej skórze, wcielenie zła. Płynnie łączą się w tej opowieści świętokrzyskie legendy i historie prawdziwe. Wyjątkowy jest też rytm.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Druga połówka 5/6

Jacqueline Harpman, **Orlanda**, przeł. Katarzyna Marczewska, ArtRage, Warszawa 2025, s. 280

Jacqueline Harpman, nieżyjąca od parunastu lat belgijska autorka, jest jednym z najnowszych literackich fenomenów TikToka. Młodzież czyta zwłaszcza wyśmienitą dystopijną powieść „Ja, która nie poznałam mężczyzn", znajdując w niej przewrotny rodzaj ukojenia. Przewrotny, bo to niewesoła wizja końca świata. Na tych łamach też przyznaliśmy tej książce maksymalną notę, rzecz wydana w latach 90. dziś rezonuje nawet bardziej. „Orlanda" ukazała się mniej więcej w tym samym czasie. To oczywiste – jak podpowiada tytuł – nawiązanie do Virginii Woolf i jej kultowej powieści, wariacja na temat przeobrażenia, odjechana w elektryzującym stylu belgijskiej autorki. Aline, jej bohaterka, przygotowuje się do wykładu, czyta Woolf bez większego przekonania. Koncept przemiany z „Orlanda" tak ją przeniknął, że mentalnie odrywa się od samej siebie i wstępuje w ciało przypadkowego towarzysza podróży, zblazowanego dwudziestoparolatka. Kim on teraz jest – nią, nimi, kobietą, mężczyzną? I kim jest Aline, tłamszona w dzieciństwie przez matkę, wciskana w ramy kobiecości, ale i – znów – wiecznie od siebie oderwana. Harpman, psychiatrka z zawodu, penetruje tę dwoistość w sposób wywrotowy, niczym Woolf w swoich czasach. Belgijka napisała mnóstwo nieznanych u nas powieści, oby więcej ich dotarło do Polski.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Koło życia

Marcin Kołodziejczyk, **Blaga**, Wielka Litera, Warszawa 2025, s.190

Napisana przez Marcina Kołodziejczyka – od ponad 20 lat naszego redakcyjnego kolegę – „Blaga" to reportaż w najczystszej, krystalicznej postaci. Nie tropi afer i nikogo nie przyszpila, lecz opisuje codzienną walkę istoty ludzkiej o jakiś sens w życiu – tym razem w latach 90., w Polsce. Taki pisany z ambicją literacką, artystyczną reportaż został prawie przegnany ze współczesnej prasy. „Otyli i brudni sprzedawcy mięsa wśród chabaniny jak nerony; w słodyczy starej krwi i waporze psucia się tego, co pod spodem podgniwa w ciszy (…) Zielona mucha mięsna od uderzenia rozbryzguje się wokoło jak u wczesnego Tarantina i Rodrigueza. Nie dziwi nic. Mówi się o tym »gospodarka rynkowa«" – opisuje Koło. Dyktowana reporterskim słuchem autorska narracja w „Bladze" (jego ósmej książce) nafaszerowana jest słowami i frazami z przestrzeni społecznej lat 90.; z mowy potocznej i z oficjalnej, propagandowej. Autor posługuje się subtelną ironią, ale nie sięga po parodię czy szyderstwo. Jest dosadność, ale nie ma epatowania okrucieństwem, wulgarnością, pospolitością. Można powiedzieć: bardziej Zemeckis (ten od „Forresta Gumpa") niż Tarantino (od „Pulp Fiction"). Marcin rzuca rękawicę zabiurkowym publicystom i badaczom, analitykom sondaży i badań społecznych, usiłującym skomponować przekonujący obraz naszego społeczeństwa z procentów i wskaźników. Używa do tego swoich narzędzi: słucha, patrzy, kręci się po prawdziwym życiu. Obrazuje w „Bladze", jak dwie dekady temu kiełkowała współczesność, która wytrawnych analityków zdumiewa, bo skąd w nas – jako społeczeństwie – tyle bolesnych podziałów, zawiści i nienawiści, tyle dzielności i głupoty zarazem. Trop nas i przyszpilaj dalej. Run, Koło, run.

EWA WILK

© MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, MUZEUM SZTUKI W ŁODZI, PER OLE HAGEN/REDFERNS/GETTY IMAGES, ŁÓDZKIE CENTRUM KOMIKSU I NARRACJI INTERAKTYWNEJ EC1, GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES, MP (5)

eprasa.pl bb931bc7ab

galeria

Puzzle z awangardy 4/6

Sposoby widzenia. Kolekcja Muzeum Sztuki w Łodzi, ms2, wystawa stała

Kolekcja Muzeum Sztuki uchodzi za jeden z najbardziej wartościowych zbiorów sztuki XX i XXI w. w Polsce. Rządzący z nadania PiS poprzedni dyrektor placówki jej ekspozycję odesłał do magazynów. Kolejnemu kierownictwu zajęło niemal dwa lata, by ją przywrócić. Oczywiście po nowemu, w odmienionym narracyjnie kształcie. Każdy, kto spodziewa się muzealnej opowieści o losach polskiej (a po trosze też światowej) sztuki ostatniego stulecia, może się rozczarować. I to z dwu powodów. Po pierwsze, brakuje w ekspozycji reprezentacji całych potężnych bloków artystycznych, jak choćby koloryzmu czy pop-artu, nie mówiąc o nieobecności wielu twórców, bez których nie wyobrażamy sobie tej historii (np. Magdaleny Abakanowicz, Jerzego Nowosielskiego, Mirosława Bałki czy Stefana Gierowskiego). Po drugie, zrezygnowano z narracji chronologicznej, swobodnie mieszając ze sobą różne okresy, nurty i postawy artystyczne, środki wyrazu. Ekspozycję zbudowano wokół pojęcia

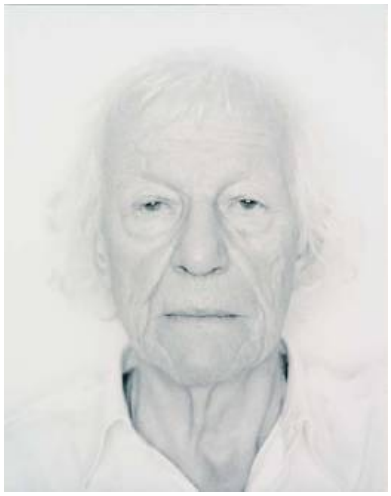

Roman Opałka, „Opałka 1965;1-∞, Detal 5372639", fotografia niedatowana

„sposobów widzenia" i jego różnych aspektów. Dla widza zaawansowanego w wędrówkach po współczesnej sztuce takie ujęcie z pewnością będzie ciekawe i inspirujące, ale osoby mniej zorientowane mogą się pogubić w tym intelektualnym meandrowaniu między dziełami i w ich nieoczywistym zestawianiu. Tak czy inaczej, do Łodzi warto się wybrać, bo w żadnym innym miejscu w kraju nie da się zobaczyć na raz tak wiele (kilkaset prac) i tak wysokiej jakości nowoczesnej współczesnej sztuki. Zwłaszcza tej o awangardowej proweniencji.

PIOTR SARZYŃSKI

muzyka

Duża i głośna 4/6

Florence + The Machine, **Everybody Scream**, Republic



Kilkanaście tygodni temu Florence Welch, czyli siła napędowa Florence + The Machine, dała sygnał, że coś się szykuje. Opublikowała krótki filmik, w którym wykopuje dziurę w ziemi i próbuje w nią wykrzyczeć emocje. Ostatecznie „Everybody Scream", zapowiadane trzema coraz ciekawszymi singlami, to płyta bardzo intensywna, momentami podniosła, jednak nie krzykliwa. Za to ma szansę być bardzo głośna: Welch operuje głosem jak zwykle w rejonach między Kate Bush a PJ Harvey, ale piosenki momentami mają potencjał hitów Taylor Swift, tyle że przeniesionych w dojrzalsze, a przy tym dość mroczne, nawet gotyckie realia i zahaczające o magię tematy. O ambicjach, które towarzyszą tej płycie, pierwszej od trzech lat i najbardziej przekonującej od czasów „How Big, How Blue, How Beautiful", dużo mówi gwiazdorski jak zwykle dobór producentów. Tym razem padło na Aarona Dessnera, ostatnio regularnie pracującego m.in. ze Swift. Wrócił też James Ford, bez którego trudno sobie ostatnio wyobrazić najbardziej przebojowe angielskie płyty. Tu przydała się szerokość jego zainteresowań, bo muzyka Florence dalej jest, jaka była: podąża za osobowością i ekspresją bohaterki, trochę w poprzek mód i gatunków.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Inside Seaside, Gdańsk, AmberExpo, 8–9 listopada

Gdańsk po raz kolejny zaprasza na letni festiwal jesienią, czyli w wersji halowej. Ta edycja pozornie stoi pod znakiem nowej fali rocka z początku wieku (Franz Ferdinand, The Kills). Warto się jednak zdecydować na alternatywną ścieżkę: turecki psychodeliczno-rockowy **Altın Gün**, nieprzewidywalnych Australijczyków King Gizzard & The Lizard Wizard, którzy wystąpią z orkiestrą Filharmonii Bałtyckiej, polski Cinnamon Gum oraz Marcina Masseckiego w nowym, latynoamerykańskim programie. BCH



Trust the Process, Centrum Komiksu I Narracji Interaktywnej, Łódź, do 8 marca 2026 r.

Przekrojowa wystawa twórczości **Przemysława Truścińskiego**, jednego z czołowych polskich grafików, nie ogranicza się do jego prac komiksowych. Obok plansz z albumów – także tych, które dopiero będą miały premierę w 2026 r. – eksponowane są jego ilustracje prasowe, zdjęcia, komercyjne projekty graficzne (szczególnie te związane z grami wideo o wiedźminie), dowodzące, że Trust to artysta, który doskonale odnajduje się w różnych konwencjach: od realizmu, poprzez fantastykę, po kreskówkową groteskę. JD



Bruce Springsteen, Nebraska '82 Expanded Edition, Columbia

Film fabularny „Springsteen: Ocal mnie od nicości" przypomniał historię sesji albumu „Nebraska". **Bruce Springsteen** uparł się wtedy, by surowe wersje demo nowych piosenek nagrywane solo na kasetę w małym domku nad jeziorem w New Jersey, opublikować jako oficjalne wydawnictwo. Po latach przypomina materiał w czteropłytowej wersji: są oryginały, także te niewykorzystane, ale też elektryczne przymiarki nagrań ze studia – i potwierdzają, że artysta miał rację. BCH

eprasa.pl bb931bc7ab



Zdjęcia do serialu kręcono m.in. na wciąż pływającym promie bliźniaku „Jana Heweliusza”. Po prawej: **Borys Szyc jako kapitan Andrzej Ułasiewicz.**

Większa woda

32 lata temu na Bałtyku zatonął prom „Jan Heweliusz”, zginęło 56 osób. Przywołujący tę katastrofę serial Netflixa to zrealizowany z rozmachem dramat katastroficzno-sądowy z Polską na ławie oskarżonych.

ANETA KYZIOŁ

Serialowy kapitan Andrzej Ułasiewicz, kreowany przez Borysa Szyca ze specjalnie wykonaną, wodoodporną łysinką, w nagranej na automatyczną sekretarkę wiadomości dla żony – ostatniej, jak się okaże – mówi, że wychodzą w morze spóźnieni. Na Bałtyku strasznie buja, uderzyli w nabrzeże i „teraz chłopaki próbują naprawić to, co żeśmy uszkodzili”. „Nie lubię pływać »Hewelkiem« w takich warunkach” – stwierdza. „Mieli naprawić napęd, ale zdaje się gówno zrobili” – dodaje, po czym zapewnia, że kupił córce batony Daimy i prosi o nagranie „Listy przebojów Trójki”: „czysta kaseta jest przy koszyczku”. „Całusy, buziaki i się widzimy za pięć dni” – kończy. W tle słychać wołanie, że czas ruszać. W Świnoujściu wieje porywisty, lodowaty wiatr.

Polskie prognozy pogody na noc z 13 na 14 stycznia 1993 r. zapowiadały zwyczajowe o tej porze roku na Bałtyku 6–7 stopni w 12-stopniowej skali Beauforta. W tym czasie brytyjskie media przestrzegały swoich rodaków przed idącym z północy nad Bałtyk huraganem. Ostatecznie prędkość wiatru wyjdzie poza skalę Beauforta, czyli będzie wiało ponad 117 km/h, a fale będą osiągać wysokość 5–7 m. Do tego ulewa i piana morska w powietrzu, uniemożliwiające naoczne ocenienie położenia statku, gdy przyrządy nawigacyjne szwankowały, zalewane i łapiące słony aerozol.

Tej nocy na Bałtyku było jednak wiele statków, w tym promy pasażerskie. Co zdecydowało o tym, że „Heweliusz” – w przeciwieństwie do innych – nie dopłynął bezpiecznie do portu? W serialu pada fraza „bękarci statek”, scenarzyści przywołują szereg wad konstrukcyjnych, które fatalnie wpływały na stateczność: zbyt wysoko położony punkt ciężkości, zalanie betonem górnego pokładu,

eprasa.pl bb931bc7ab

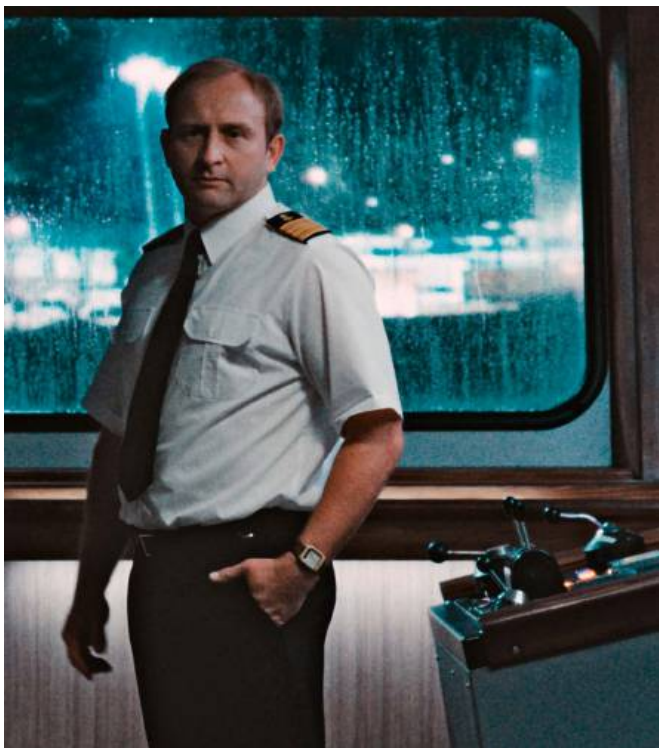

awaryjny system antyprzechyłowy. „Heweliusz" już przed swoim ostatnim rejsem przeszedł wiele wypadków, z których kilka tylko dzięki łutowi szczęścia nie zakończyło się tragicznie. Dlaczego wciąż pływał i co mogło się wydarzyć feralnej nocy na pokładzie? O tym opowiada serial Netflixa. O tym i o Polsce, powoli i w bólach zmieniającej ustrój i mentalność.

Oddać cierpienie

Reżysera Jana Holoubka zaskoczyła liczba wiadomości, jakie dostał w swoich mediach społecznościowych po tym, jak ogłosili, że zaczynają zdjęcia. Ludzie, głównie z Pomorza, pisali, jakie to dla nich ważne, żeby tę katastrofę przypomnieć, opowiedzieć. – *Myślałem, że skoro minęło 30 lat, to sprawa zdążyła się zatrzeć* – wspomina.

Za Netflixowego „Heweliusza" odpowiada ekipa, która trzy lata temu zrealizowała hitową „Wielką wodę", serial o powodzi stulecia w 1997 r. na Dolnym Śląsku: Holoubek, scenarzysta Kasper Bajon i producentka Anna Kępińska. Wtedy z pomysłem wyszła Kępińska, teraz – Bajon. – *Od dawna chodził za mną obraz z telewizji tonącego promu „Heweliusz"* – tłumaczy. – *Kiedy pojechaliśmy na pierwszy research do żony kapitana Jolanty Ułasiewicz i ich córki Agnieszki, zorientowałem się, że jako dziecko mieszkałem bardzo blisko nich i przez pewien czas chodziłem do tej samej szkoły, co Agnieszka. Może więc o tej sprawie się więcej mówiło w naszej okolicy i to mi się odłożyło? Ale zawsze też chciałem coś zrobić o morzu, bo ono jest dla mnie bardzo istotne, i o ludziach morza. Przy pisaniu scenariusza w jakiś sposób towarzyszył mi Joseph Conrad, to moja odpowiedź na „Lorda Jima".*

Research trwał rok i oprócz popłynięcia trasą „Jana Heweliusza" i poznania topografii promu, obejmował przede wszystkim rozmowy z osobami, które przeżyły, i z wdowami po ofiarach. Bajon tłumaczył im, że serial będzie opartą na faktach fikcją. Pod własnym imieniem i nazwiskiem występuje kapitan Andrzej Ułasiewicz i jego najbliżsi – ta część historii powstała w konsultacji z żoną Ułasiewicza Jolantą. Inni bohaterowie są kompilacją kilku rzeczywistych postaci. – *Nie chcieliśmy retraumatyzować ludzi ani żeby czuli się wykorzystani. Chcieliśmy oddać rodzinom ofiar to, co często przy katastrofach znika: ich cierpienie. Bo zwykle w takich przypadkach nie ma koncentracji na pojedynczym człowieku. Katastrofa jest wypadkową wielu czynników, wiele instytucji chce przy tej okazji zrzucić z siebie winę, zatuszować swój udział* – mówi dziś Bajon.

Krążą teorie

Autor scenariusza rozmawiał także z dziennikarzami, którzy się tym tematem zajmowali, oraz z kapitanami. – *Dla tych ostatnich to, co się wydarzyło tamtej nocy na „Heweliuszu", jest wciąż tematem rozważań, bo tam jest tajemnica, brak logiki* – opowiada. Rzecz dotyczy decyzji podejmowanych na mostku kapitańskim.

Ocalały z katastrofy trzeci oficer, który jako jedyny mógł rzucić światło na łańcuch wydarzeń, w wyniku których nastąpił przechył promu, jego zatonięcie i śmierć 56 osób, podczas przesłuchań nie potrafił odpowiedzieć na większość pytań, powoływał się na luki w pamięci i szok. Nie skończył szkoły morskiej, przeszedł kolejne szczeble kariery, awansując od marynarza. Stopień oficera uzyskał po kursie skończonym miesiąc przed feralnym rejsem. Zdaniem części zainteresowanych – opisuje to, jak wiele innych teorii dotyczących tragicznego wypadku, Adam Zadworny w reporterskiej książce „Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku" – skrywał sekrety, które zabrał do grobu w 2011 r.

Takich teorii jest więcej, w tym ta dotycząca „specjalnego ładunku". Twórcy serialu mocno na nie stawiają, łącząc w pięciu odcinkach przejmujący film katastroficzny, intrygujący dramat sądowy oraz swego rodzaju thriller polityczny. – *Zasadniczo nie zmyślamy, tylko wybieramy z teorii, które krążyły i wciąż krążą* – wyjaśnia Kasper Bajon. I dodaje: – *1993 r. to był specyficzny czas. Hiperinflacja, szalejące bezrobocie, ale też np. kwestia granic zachodnich mimo traktatów wciąż była problematyczna, co rzutowało na akcję ratunkową na Bałtyku. Półtora roku wcześniej był pucz Janajewa, z Polski wychodzą ostatni radzieccy żołnierze, jest zabawa teczkami, zaraz postkomuniści dojdą do władzy i jest wojna na Bałkanach.*

– *To wszystko wpłynęło na to, jak ta katastrofa była odbierana, a może też ją determinowało, jakby musiała się wydarzyć* – uważa Bajon. Do myślenia dała mu m.in. późniejsza o półtora roku katastrofa szwedzko-estońskiego promu „Estonia", kursującego na trasie Sztokholm-Tallin. Utonęły 852 osoby z 989 znajdujących się na pokładzie. Jako oficjalny powód podano oderwanie się podczas sztormu (8 stopni w skali Beauforta) rufy dziobowej, co skutkowało wdarciem się wody na pokład samochodowy. Ale szwedzki rząd oskarżano o zatajanie faktów, pojawiła się hipoteza o wybuchu i o przewożeniu przez prom broni kupowanej przez szwedzki wywiad od stacjonujących w Estonii wojsk rosyjskich.

We wspomnianej książce Adam Zadworny przywołuje wspomnienie z katastrofy jednego z dziewięciu ocalałych z „Heweliusza", asystenta elektryka Grzegorza Sudwoja: „Kiedy Sudwoj patrzy na światełka pasów ratunkowych z włazu tratwy, przychodzi mu do głowy cmentarz w noc 1 listopada". Serial Netflixa niemal pozwala przeżyć grozę, jaka stała się udziałem wyrwanych ze snu ludzi, którzy często tylko w bieliźnie i w owych pasach ratunkowych lądują w ciemnościach w wodzie o temperaturze ▶

© NETFILX (2)

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ 2 stopni Celsjusza. Szansę na przeżycie mieli niemal wyłącznie posiadacze aquat – piankowych kombinezonów, do których dostęp miała tylko załoga.

Nie utopić się, stojąc

Producenci „Heweliusza" z dumą wyliczają: ponad 120 postaci, 3 tys. statystów, 60 kaskaderów, nurkowie, 140 członków ekipy, a wreszcie tir ze Szwecji będący kopią tego, który zatonął na promie. Kręcili na wciąż pływającym promie bliźniaku „Jana Heweliusza", do najłatwiejszych nie należały zdjęcia zimą w porcie w Świnoujściu. Kilku z ocalonych zagrało w serialu drobne role. Porażające sekwencje katastrofy kręcili w dwóch częściach. Pierwszą – zatonięcia promu – w studiach Polsatu w Warszawie, gdzie zbudowali na podnośniku m.in. replikę mostku kapitańskiego „Heweliusza" i stopniowo zwiększali przechył, najpierw do 30 stopni, potem do 70, dorzucając efekty sztormu: armatki wodne i dmuchawy. Dla bezpieczeństwa poza głównymi bohaterami granymi przez aktorów w mniejszych rolach pasażerów i członków załogi wystąpili wyłącznie kaskaderzy.

Druga tura zdjęć – z walką o przeżycie na tratwach ratunkowych i podejmowaniem ocalałych z wody przez niemiecki śmigłowiec – powstawała w studiu wodnym w Brukseli, w krytym basenie o głębokości do 10 m, gdzie można kręcić m.in. zdjęcia podwodne.

W obiekcie panują tropikalne warunki, bo woda, ze względu na aktorów spędzających w niej wiele godzin dziennie przez ponad tydzień, ma 30 st. C. Pierwsze do akcji ruszają ciężkie boje – bomby, uderzają rytmicznie w taflę wody, tworząc wysokie fale, następne dołączają deszczownice, urządzenia do wystrzałów wody i wielkie dmuchawy, robi się trudny do wytrzymania huk, po czym gaśnie światło, mrok oświetlają tylko błyskawice, a aktorzy w ograniczających ruchy aquatach i bez, w bujającej się, zalewanej tratwie próbują wyłowić z wody kolegę i wciągnąć go do środka. Tu nie trzeba grać, tylko walczyć o życie – relacjonują później. W kolejnym ujęciu do akcji wkracza helikopter, markowany na planie przez ramię dźwigu, rozbitkowie próbują się obwiązać zrzucaną z niego liną, ktoś spada do wody. Wygląda to bardzo realistycznie i dramatycznie, po wszystkim mokra jest także ekipa i zaproszeni na plan dziennikarze, a choroby morskiej można dostać od samego patrzenia.

Podczas wodnych zdjęć nad bezpieczeństwem aktorów czuwali nurkowie, a nad ich zdrowiem fizjoterapeuci. Aktorzy zaś wcześniej przeszli trzyetapowe szkolenie. Oprócz pływania uczyli się m.in. zarządzania oddechem pod wodą, żeby ograniczyć ryzyko ataku paniki podczas nieplanowanego wypadnięcia z tratwy czy dostania się pod nią podczas ujęcia. Największym wyzwaniem dla Tomasza Schuchardta, grającego w „Heweliuszu" jednego z kierowców tirów, okazała się scena dialogowa na tonącym promie. – *Żeby się nie utopić, stojąc, bo tak silny strumień wody był skierowany w moją twarz, musiałem zaczerpnąć powietrza bokiem, pod pachą, w stronę ściany, i później już na wstrzymanym oddechu wypowiedzieć kwestię. To mnie trochę zaskoczyło* – przyznaje.

Katastrofa pojawia się w każdym z pięciu odcinków, ale większość serialowego czasu zajmuje to, co wydarzyło się przed, a przede wszystkim po niej: walka o prawdę, o sprawiedliwość, o dobre imię, o odszkodowania. – *To historia o manipulacji faktami ze strony państwa, opowieść o walce jednostki z państwem, z aparatem państwa, z dysfunkcją państwa* – wylicza reżyser Jan Holoubek. – *Ale też opowieść o żałobie. Nie ma tu czarno-białych postaci, niemal każdy z bohaterów ma coś na sumieniu, wielu w jakimś sensie mogło zapobiec katastrofie.*

Oprócz granej przez Magdalenę Różczkę kapitanowej Jolanty Ułasiewiczowej, do grona głównych bohaterów należą Aneta Kaczkowska (Justyna Wasilewska), wdowa po jednej z ofiar, kapitan Piotr Binter (Michał Żurawski), przyjaciel Ułasiewicza i jego zmiennik na „Heweliuszu", oraz Witold Skirmuntt (Konrad Eleryk), pierwszy oficer, który skrywa tajemnicę ostatnich minut na mostku kapitańskim.

Holoubek jest szczególnie dumny z tego, jak udało im się odtworzyć realia początku 1993 r. Słusznie, bo to wielki walor serialu. Operator Bartosz Kaczmarek inspiracji do zdjęć nie szukał w filmach o katastrofach morskich, jak „Titanic" czy „Kursk", tylko w zdjęciach z epoki, np. Chrisa Niedenthala. „Heweliusz" ma styl reportażu i elegii jednocześnie: monochromatyczne, stalowo-mroczne kadry, oddające ból i żałobę. Im brzydziej, tym prawdziwiej – taka idea przyświecała odpowiedzialnej za kostiumy Weronice Orlińskiej, która postawiła na prawdziwe ubrania z lat 90. wyszperane w lumpeksach. Szare blokowiska, bazary, zapiekanki sprzedawane z przyczep kempingowych, „El Cóndor Pasa" grany na placach przez zespoły z południowej Ameryki, samochody z wybitymi szybami i dziurami po wyrwanych przez złodziei radiach.

Proste jak świński ogon

Dobrze tamte realia streszcza serialowy wiceminister do spraw żeglugi, jasno wyrażając przy okazji oczekiwania władzy: „Navica Ferries (tak nazywa się w serialu armator „Heweliusza" – AK), polska marka, ambasador Polski na świecie, daje pracę 5,7 tys. osobom, z rodzinami to ponad 20 tys. A w kraju 20-procentowe bezrobocie, nawet górale pod Morskim Okiem strajkują. I my mielibyśmy z powodu jednego jebanego promu wypierdolić tych wszystkich ludzi na bruk? Wiecie, co to jest odpowiedzialność społeczna? To umiejętność wybierania mniejszego zła, to jest proste jak świński ogon". W skrócie: przyznanie, że winny katastrofy jest armator, oznacza konieczność wypłaty odszkodowań i bankructwo firmy, ale też blamaż państwa, do czego dopuścić nie wolno. Kolejne procesy ciągnęły się więc latami, ostatni – przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu – zakończył się w 2005 r.

„Na główną ceremonię żałobną na skwerze Kościuszki w Gdyni przyszło 22 stycznia 1993 r. kilka tysięcy osób, wiała dwunastka – relacjonuje w książce „Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku" Adam Zadworny. – Kiedy u stóp pomnika Józefa Conrada-Korzeniowskiego, przy dźwiękach syren okrętowych i marsza żałobnego Chopina, na czarnym katafalku składano symboliczną urnę z godłem Polski, fale z hukiem rozbijały się o pobliskie nabrzeże. Na masztach łopotały opuszczone do połowy flagi narodowe Polski, Węgier, Niemiec, Norwegii, Czech, Szwecji i Austrii". Przy wtórze werbli odczytano nazwiska ofiar, a prezydent RP Lech Wałęsa mówił do zgromadzonych: „Czy nie została przekroczona granica ryzyka? To pytanie jest tu obecne w waszych i moich myślach. Trzeba je wypowiedzieć".

Tej sceny w serialu Netflixa nie ma, ale i tak oglądając, nie sposób uciec od skojarzeń z inną katastrofą. Liczba zbieżności między zatonięciem „Jana Heweliusza" 14 stycznia 1993 r. obok Rugii a upadkiem Tu-154 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku zaskakuje. A może wcale nie.

ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl bb931bc7ab

Energa CAMERIMAGE

33.
MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY

15–22.11.2025, TORUŃ
KUJAWY POMORZE



idea plakatu: MAREK ŻYDOWICZ, projekt: NADIA KASPROWICZ

HONOROWY PATRONAT MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO PIOTRA CAŁBECKIEGO

WSPÓŁFINANSOWANIE: MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, MIASTO TORUŃ ORAZ WOJEWÓDZTWO KUJAWSKO-POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MIASTO – GOSPODARZ: MIASTO TORUŃ

Partnerem głównym wydarzenia jest Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego / REGION – GOSPODARZ: KUJAWY POMORZE; Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

SPONSORZY I PARTNERZY OFICJALNI: SONY, Aputure, MOD21, KGHM Polska Miedź, CINEMA CITY, HONGQI

SPONSOR STRATEGICZNY: Energa Grupa Orlen

WSPÓŁORGANIZATOR I GŁÓWNY PATRON MEDIALNY: TVP, TVP Kultura

PATRONI MEDIALNI: 100 lat Polskiego Radia, PAP Polska Agencja Prasowa, Rzeczpospolita, rp.pl, Polityka, Kino, WP, Elle, Telemagazyn, Nowości, Sundance TV, amc, Film&TV Kamera, Lynx, Přěsto, ekrany, Filmweb

SPONSORZY I PARTNERZY: Panavision, Blackmagic design, Godox, Stowarzyszenie Filmowców Polskich, PSC, Zeiss, Otto Nemenz, The Studio BH

DZIAŁANIA W RAMACH FESTIWALU SĄ WSPÓŁFINANSOWANE Z FUNDUSZY EUROPEJSKICH: Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza; Rzeczpospolita Polska; Dofinansowane przez Unię Europejską

Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

www.visitTorun.com energacamerimage.pl camerimage camerimage.festival CamerimageFest

ORGANIZACJA I PRODUKCJA: Fundacja Tumult, Europejskie Centrum Filmowe Camerimage

eprasa.pl bb931bc7ab

Wyjście z cienia

Chciałem przekonać czytelników, że na architekturę musimy patrzeć nie tylko w kategoriach „podoba mi się lub nie podoba". Ważniejsze jest, czy się z niej dobrze korzysta – mówi Grzegorz Piątek o swojej nowej książce „Świątynia i śmietnik".



PIOTR SARZYŃSKI: **– Już sam tytuł książki brzmi intrygująco, podobnie jak jej początek, w którym zestawia pan ze sobą pałacową altanę ogrodową w Łazienkach z altaną śmietnikową na jednym z warszawskich osiedli. Czym właściwie jest architektura cienia i dlaczego warta jest poważnej publikacji, poważnego badacza?**

GRZEGORZ PIĄTEK: – Regularnie i zawodowo zajmuję się pisaniem o architekturze od 20 lat. Już dawno uderzyło mnie, że w publicznej debacie o architekturze nieproporcjonalnie dużo uwagi zajmują obiekty prestiżowe, luksusowe gmachy, mówiąc bardzo generalnie właśnie świątynie, wieżowce, muzea. Nie mówię, że one są niepotrzebne, są to jednak w większości obiekty używane odświętnie, które nie wpływają na jakość naszego codziennego życia. Chciałem te proporcje odwrócić. „Architektura cienia" to pojęcie, które wymyśliłem nie ja, lecz architektka Aleksandra Wasilkowska (zdobywczyni Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI – przyp. red.), która zaczęła swoje badania od toalet publicznych i bazarów. Ją interesowały obiekty wyparte z publicznej debaty z powodów estetycznych albo z powodu jakiegoś tabu – bo higiena, bo seks, bo prymitywne formy handlu. Natomiast uważam, że znaczenie tego pojęcia warto rozszerzyć o wszystko, co jest prozaiczne i po prostu służy obsłudze codzienności.

13 lat temu wspólnie z Jarosławem Trybusiem wydaliście książkę o tytule w sumie podobnym, choć bardziej metaforycznym: „Lukier i mięso". To jakiś rodzaj powrotu?

Super, że zwraca pan na to uwagę, bo chodziło mi po głowie, że tą nową

Grzegorz Piątek (ur. w 1980 r.) – pisarz, krytyk architektury, z wykształcenia architekt. Autor m.in. książek „Najlepsze miasto świata" i „Gdynia obiecana". Za tę ostatnią otrzymał w 2023 r. Paszport POLITYKI oraz kilka nagród literackich. Jego nowa książka „Świątynia i śmietnik. Architektura dla życia" ukaże się 12 listopada.

eprasa.pl bb931bc7ab





Łódzki węzeł przesiadkowy zwany Stajnią Jednorożców – dziwaczny, ale funkcjonalny. Obok: **budowlany plankton – gigantyczny paczkomat we Wrocławiu.**

książką załatwiam pewien niedosyt. Tamta opowieść była głównie o owym architektonicznym lukrze, który analizowaliśmy, nad którym się pastwiliśmy. Byłem młodszy, lubiłem się czepiać. Punktować, jak ci niesforni uczniowie z tylnej ławki. Teraz uznałem, że więcej uwagi trzeba poświęcić ciastu, a nie rodzynkom.

Ale przecież ta architektura cienia też potrafi błyszczeć i zamieniać się w rodzynki.

Rzeczywiście, ta architektura ma swoje ikony, bardziej zauważone, wyjątkowe. By nie sięgać daleko w przeszłość, to choćby osiedle TBS Ajnfart w Rybniku, wyróżnione zresztą Nagrodą Architektoniczną POLITYKI. Ale mimo wszystko większość tej architektury powstaje trochę mimochodem i pozostaje niezauważona. SARP podał ostatnio, że 98 proc. zamówień publicznych na projekty w Polsce opiera się wyłącznie na kryterium najniższej ceny. A to oznacza, że bierzesz projektantów, którzy są najtańsi, że kryterium jakości czy piękna jest na jakimś absolutnie odległym miejscu. A to dotyczy właśnie żłobków, przedszkoli, szkół, mieszkań komunalnych itd.

Jako adwokat diabła zapytam: ale czy przedszkola muszą być piękną architekturą? Może coś innego jest ważne?

Chciałoby się, żeby były oryginalne, zwracały uwagę. Ale oczywiście nie to jest najważniejsze. Przystanek autobusowy, śmietnik, a nawet żłobek czy przedszkole – to są obiekty o bardzo powtarzalnym zestawie potrzeb i one też mogą być typowe i powtarzalne. Najbardziej istotne, by były funkcjonalne, wygodne, trwałe, dostępne, przyjemne w korzystaniu. Powinny być „życiodajne", czyli służyć dobremu samopoczuciu, bo mówimy w końcu o architekturze dla życia. Na przykład taki pozornie drobiazg jak akustyka. Większość współczesnych przestrzeni jest bardzo źle wyciszona, czego na zdjęciach nie widać. W szkołach dominują twarde powierzchnie, które potęgują zgiełk, a to męczy dzieci, męczy nauczycieli i nauczycielki, powoduje, że wszyscy są bardzo rozdrażnieni, nie mogą się skupić i muszą krzyczeć. Dlatego w książce odwołuję się często do ciała. Bo to nasze ciało dotyka, czuje temperaturę, wilgotność, słucha. Dla ciała ważna jest wygoda sięgania po coś czy przemieszczania się. To jest ostateczny sprawdzian każdej architektury – i tej niepozornej, i tej luksusowej.

Skoro o ciele i jego potrzebach mowa… Bardzo dużo miejsca poświęca pan w książce publicznym toaletom. Czyli elementowi miejskiej infrastruktury będącemu praktycznie w zaniku. Dlaczego?

Dlatego, że powinno być ich więcej! To jest bardzo wymowne, że zarówno w Polsce, jak i w całym zachodnim świecie przez ostatnie 30 lat takie toalety redukowano. To była sfera utrzymywana przez sektor publiczny, non profit, i w ramach cięć wydatków publicznych toalety zawsze stawały się pierwszymi ofiarami. To temat, który łatwo się przemilcza, bo jest związany z tabu, łatwo rozpętać awanturę medialną, jak wokół słynnej już toalety w parku Skaryszewskim, łatwo sobie z tego dowcipkować i łatwo zaakceptować, że to może być zrobione tanio i byle jak. Tymczasem uważam, że to jest jedna z najważniejszych funkcji przestrzeni publicznej, ponieważ wszyscy musimy korzystać z toalet, kobiety częściej niż mężczyźni, ludzie starsi i dzieci też częściej. I uważam, że dałoby się z nich uczynić rodzaj sztandaru troski o człowieka. Powiem więcej, pierwszy burmistrz, który się za to odważnie zabierze, moim zdaniem wygra wizerunkowo.

Może to kwestia cywilizacyjnej dojrzałości? Mówię to, mając przed oczami film Wima Wendersa „Perfect Days" o czyścicielu publicznych toalet w Tokio. Ten przykład u pana nie pada.

Dlatego, że postanowiłem pokazywać dobre wzory w polskich realiach. Po co Tokio, skoro Aleksandra Wasilkowska zrobiła bardzo udany moim zdaniem prototyp warszawskiej automatycznej toalety. Pokazałem pracownię xystudio, która projektuje świetne żłobki i przedszkola. Pokazałem też samorządowców z Sopotu, Rybnika czy Warszawy, którym się chce. Jest jeszcze coś: mój nawyk, wyniesiony jeszcze z redakcji miesięcznika „Architektura-Murator", w której przepracowałem sześć lat. Otóż panowała tam zasada, że piszemy wyłącznie o realizacjach, które zna się z autopsji, widziało się na własne oczy. Dla mnie to minimum. Najlepiej odwiedzić dane miejsce wiele razy, by mieć pełną wiedzę o tym, jak się sprawdza, jak się zużywa, jak w praktyce służy ludziom.

Myślę, że jako człowiek bardzo aktywny zna pan tych miejsc, także w Polsce, bardzo wiele. Tymczasem książka skupia się na Warszawie, jest trochę o Trójmieście i o Śląsku, nieco o Łodzi. Nic pana nie zaciekawiło w Poznaniu, Krakowie, we Wrocławiu i innych miastach? ▶

© LESZEK ZYCH, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, BARTŁOMIEJ KUDOWICZ/FORUM

eprasa.pl bb931bc7ab



Jedna z ikon architektury cienia: osiedle TBS Ajnfart w Rybniku, wyróżnione Nagrodą Architektoniczną POLITYKI

▶ Chciałem napisać o miejscach, które najlepiej znam, z którymi związane było lub jest moje życie. To mi daje poczucie, że wiem, o czym mówię, że się doskrobuję do spodu. Warszawa i jej osiedla, bo się na nich wychowałem, Trójmiasto, bo mieszkałem w nim trzy lata i nadal często bywam, Łódź, z której pochodzi mój partner, Rybnik, skąd pochodzą moi dziadkowie i do dziś mam tam rodzinę. Zbierając materiały do książki, planowałem nawet rozdział o krakowskich osiedlach, ale szybko zdałem sobie sprawę, że to nie są miejsca przeze mnie wydeptane, które szczególnie czuję, i że zostanę skazany na wiedzę książkową. Dlatego zrezygnowałem.

Najwięcej miejsca w swojej książce poświęca pan mieszkaniówce w jej różnych odsłonach, od dobrych i gorszych przykładów z PRL, po domy komunalne, TBS-y, projekty deweloperskie. Dlaczego?

Dlatego, że to jest najważniejsze zadanie architektury. Każdy gdzieś mieszka, każdy się urządza, każdy kupuje albo wynajmuje. I każdy ma na ten temat własne zdanie. W domu spędzamy najwięcej czasu, dlatego też bardzo mi się spodobała myśl wybitnej architektki Haliny Skibniewskiej, której zresztą poświęcam osobny rozdział, gdy mówiła, że nie jest ważne, jak budynek wygląda z zewnątrz, ale jak rozplanowane jest mieszkanie i jaki jest widok z okna.

Dziś chyba cała energia idzie w to, by ładnie wyglądał z zewnątrz. Z kolei internet jest pełen śmieszno-strasznych widoków z okna, które fundują nabywcom mieszkań deweloperzy. Z funkcjonalnością też chyba nie jest za dobrze.

Mieszkanie stało się towarem, lokatą kapitału. To prowadzi do zawyżania cen, ale też do tego, że inwestorzy komercyjni w ogóle nie muszą myśleć o jakości mieszkania. Ważna jest tylko określona liczba metrów w określonej lokalizacji, w którą ktoś wpakuje pieniądze. W efekcie, zamiast rozwijać się cywilizacyjnie, cofamy się. Rozkłady mieszkań w czasach gierkowskich czy nawet gomułkowskich były wręcz luksusowe w porównaniu z tym, co oferuje się dzisiaj. Nawet w tych, powszechnie krytykowanych dziś, blokach z wielkiej płyty. Jeden przykład: kuchnia. Dziś wszechobecny wariant projektowania, nawet apartamentów mających po 200 m kw., to salon z kuchennym aneksem. Oczywiście, niektórzy tak lubią, ale naprawdę tu chodzi o jak najkorzystniejsze z punktu widzenia dewelopera gospodarowanie metrami kwadratowymi. Mieszkania mają być jak najgłębsze, a te ciemne pomieszczenia niewymagające okien, jak łazienka, kuchnia, garderoba, są po prostu rozdymane.

Z kolei w mikroapartamentach – cóż za przekorna nazwa – słońce dochodzi wszędzie.

Za to nie masz gdzie powiesić płaszcza, bo zaraz za drzwiami wejściowymi znajduje się kuchenka. Dlatego bardzo wierzę w budownictwo samorządowe, które nie stawia na zysk i może podnosić standardy, stając się alternatywą dla deweloperów.

Trochę brakuje mi w tej opowieści o architekturze cienia rozdziału o budynkach handlowych. W PRL będących w awangardzie architektury, a dziś klonowanych w formule „stodoła".

Architektura handlowa ciekawi mnie przede wszystkim jako scenografia dla ludzi i dla spotkań. Na przykład centra handlowe są fascynujące nie z powodów architektonicznych, ale społecznych. Lubię na przykład Złote Tarasy jako miejsce, lubię patrzeć na spędzających tam czas ludzi, prawie pełen przekrój społeczny: emerytki i studentów, migrantów i turystów, aż po nastolatki, dla których jest to często ważne trzecie miejsce, po szkole i domu. Podobne doświadczenia wynoszę z transportu publicznego.

A te rozsypane po kraju, wciskane wszędzie sklepy Biedronki czy Dino?

Mam wrażenie, że to są obiekty stosunkowo krótko żyjące, łatwe w budowie i w rozbiórce. Niedawno mijałem opuszczonego McDonalda, który mógł mieć góra 20 lat. Już wiemy, że podobne rzeczy pojawiają się i znikają, jak peerelowskie pawilony handlowe, jak budki telefoniczne. Pamiętam jeszcze dwie dekady temu poważne dyskusje, jak powinien wyglądać nowoczesny kiosk Ruchu, powstawały nawet ambitne projekty. A dziś nie ma po nich śladu. Są za to paczkomaty, których wówczas nie było. To jest taki budowlany plankton, który nieuchronnie przepływa przez miasta, pojawia się i znika. Mam wobec tego typu budynków coraz więcej dystansu, bo wiem, że znikną. Dużo ważniejsze jest, by architektura, która pozostaje na dłużej, miała dobrą strukturę i jakość.

Cały rozdział poświęca pan łódzkiemu węzłowi przesiadkowemu, powszechnie krytykowanemu i ironicznie zwanemu Stajnią Jednorożców. A pan go właściwie chwali.



© JAKUB CERTOWICZ, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bb931bc7ab

Jestem wręcz dumny, że udało mi się dotrzeć do autora tego projektu, a nie było to łatwe, ponieważ odszedł z zawodu. Tak, na tym projekcie wszyscy wieszali psy, kpili, ale dla mnie najważniejsze, że jest pożyteczny. Porównajmy go choćby z powszechnie chwalonym za architekturę węzłem przesiadkowym przy stadionie we Wrocławiu. Ten łódzki może jest dziwaczny, ale równocześnie bardzo funkcjonalny. Ten wrocławski jest dla odmiany piękny, ale efektowna wiata nie zadasza całego peronu. A transportowa architektura powinna być przede wszystkim dla ciała. Jest na nią coraz więcej pieniędzy, ale efekty nie zawsze zadowalają. Dworzec autobusowy w Lublinie – pełen rozmachu, ale mało funkcjonalny. Warszawskie przystanki: płytkie, nie chronią przed słońcem. Przykłady można mnożyć.

Mnie urzekło, że na architekturę patrzy pan nie jak architekt, ale uwzględniając różne konteksty jej funkcjonowania: społeczne, ekonomiczne, obyczajowe, nawet polityczne. Co pańskim zdaniem najmocniej determinuje tworzenie przyjaznej ludziom architektury?

Takich czynników jest wiele, od dobrych przepisów po mądre finansowanie. Ale we mnie coraz bardziej rośnie przekonanie, że wszystko zaczyna się i kończy na ludziach. Że jak masz na przykład ambitnego burmistrza, który chce po sobie coś dobrego zostawić, to się udaje, papiery szybciej krążą, pieniądze się znajdują. A jak nie ma ambicji? To wszystko się gdzieś rozpływa. Wrócę raz jeszcze do tych warszawskich toalet. Około 2017 r. pojawił się plan postawienia 30, co na dwumilionowe miasto jest i tak kroplą w morzu potrzeb. Do dziś nawet i tylu nie wybudowano, a ludzie, którzy to pilotowali, poodchodzili z pracy. A z drugiej strony mamy Sopot, gdzie jeszcze poprzedni prezydent postanowił budować dobrej jakości mieszkania komunalne, a jego następczyni rozumie, dlaczego to jest ważne, kontynuuje tę linię.

Gdyby miał pan sformułować główne przesłanie tej książki, co by pan powiedział?

Chciałem pokazać ludzi, którzy robią coś dobrego i jako projektanci, i jako inwestorzy, pokazać, że w Polsce „się da". Ale też podkreślić, że niezależnie od tego, czy mówimy o architekturze dla codzienności, o architekturze cienia, czy o luksusowej, prestiżowej, to powinna o nas dbać. I chciałem przekonać czytelników, że na architekturę musimy patrzeć nie tylko w kategoriach „podoba mi się lub nie podoba". Ważniejsze jest, czy się z niej dobrze korzysta, czy czujemy się w niej komfortowo, czy czujemy się zaproszeni.

Z inspiracji jedną z pana wcześniejszych książek, poświęconej odbudowie Warszawy po drugiej wojnie światowej, powstała opera o Warszawie, która niedawno miała premierę w Teatrze Wielkim. Jak się pan czuł, oglądając ją po raz pierwszy?

Zaszczycony i zadowolony, że materiał trafił w dobre ręce. Wszyscy twórcy i wykonawcy dali z siebie maksimum, powstało naprawdę poruszające i piękne widowisko. Bardzo też doceniam, że autor libretta Beniamin Bukowski wydobył z tej historii napięcie między gigantomanią władzy i niektórych architektów a najzwyklejszymi, codziennymi potrzebami, o które musi dbać architektura.

ROZMAWIAŁ PIOTR SARZYŃSKI

REKLAMA



eprasa.pl bb931bc7ab

Złota i nieskromna

Donald Trump buduje w Białym Domu przeskalowaną salę balową. To pamiątka, którą tu zostawi – po sobie i swojej ulubionej estetyce.

MARIUSZ ZAWADZKI

Od 1812 r., kiedy wojska brytyjskie zdobyły Waszyngton, nie było takich zniszczeń w Białym Domu. Wtedy został podpalony. Teraz, pod koniec października, buldożery zrównały z ziemią całe wschodnie skrzydło gmachu, dobudowane w czasie drugiej wojny światowej. Demolka zajęła zaledwie trzy dni. Zlecił ją Donald Trump, który zdecydował, że powstanie w tym miejscu wielka sala balowa. A jeszcze trzy miesiące temu obiecywał, że zostanie nieinwazyjnie dobudowana do wschodniego skrzydła: „Nie będzie kolidowała z Białym Domem. Stanie obok niego, ale nie będzie go nawet dotykać. Będziemy szanować istniejący budynek, którego jestem największym fanem".

Jednakże na budowach – jak powszechnie wiadomo – plany często się zmieniają. Hillary Clinton, rywalka Trumpa z wyborów prezydenckich z 2016 r., oburzona alarmowała naród amerykański na X (dawniej Twitterze): „Biały Dom to nie jest jego prywatny dom. To jest wasz dom. I on go wam niszczy".

Takich głosów jest w Ameryce wiele. Jednakże Karoline Leavitt, rzeczniczka Białego Domu, twierdzi, że oburzenie jest sztuczne i niepotrzebne. „Wielu prezydentów marzyło o sali balowej, ale dopiero obecny, nasz naczelny budowniczy, postanowił te marzenia zrealizować!" – wyjaśniała. Sam Trump jest jeszcze bardziej kategoryczny i zarzeka się, że „od 150 lat każdy amerykański prezydent chciał sali balowej w Białym Domu, ale przede mną żaden nie miał pojęcia, jak ją zbudować".

Prezydenccy historycy nie potwierdzają tej śmiałej tezy. Ale jest niezaprzeczalnym faktem, że Trump osobiście jest wielkim entuzjastą i zapalonym budowniczym sal balowych. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że jest to jego największa życiowa pasja. W tym sensie przebudowa Białego Domu nie jest kaprysem, tylko spełnieniem marzeń.

Te dziadowskie namioty

Już w 2010 r. Trump dzwonił do Davida Axelroda, najbliższego doradcy ówczesnego prezydenta Baracka Obamy, z nietypową propozycją: „Zawsze jak macie jakieś duże przyjęcie, to rozstawiacie na trawniku przed Białym Domem te dziadowskie namioty. Tymczasem ja buduję sale balowe. Najpiękniejsze na całym świecie. Możesz przyjechać do mnie na Florydę i sam zobaczyć. Pozwólcie mi zbudować taką salę w Białym Domu, nie zawiedziecie się, będzie fantastyczna". Obama i jego ludzie zignorowali ofertę.



Projekt olbrzymiej sali balowej w Białym Domu według Trumpa.

Sala balowa na Florydzie, o której Trump wspominał Axelrodowi, znajduje się w jego słynnej rezydencji Mar-a-Lago w Palm Beach. Zbudował ją w 2004 r. na własne wesele – z obecną żoną Melanią. Ma powierzchnię 1,6 tys. m kw., jest zatem większa niż Sala Zwierciadlana w Wersalu, która służyła jako inspiracja. Z sufitów zwisają wielkie kryształowe żyrandole, po ścianach i kolumnach pną się złocone liście, a światło wpadające przez wysokie okna zakończone półkolami dodatkowo odbija się w 22 lustrach, rozświetlając wszechobecny marmur i złoto.

Po Mar-a-Lago Trump wybudował jeszcze trzy sale balowe: na swoich polach golfowych w New Jersey i w Turnberry w Szkocji oraz w luksusowym hotelu Trump International w Waszyngtonie, który stworzył w dawnym budynku poczty głównej (potem go sprzedał, obecnie znajduje się tam hotel Waldorf Astoria, ale Prezydencka Sala Balowa nadal jest). Przeprowadził też gruntowną renowację jeszcze jednej sali balowej – na swoim polu golfowym Doral w Miami.

Sala balowa w Białym Domu, jako szósta w jego dorobku, będzie bardzo podobna do pierwszej, czyli tej z Mar-a-Lago. Tylko pięć razy większa. Ma kosztować 300 mln dol., ale rzekomo pieniądze wykładają prywatni sponsorzy, m.in. koncern zbrojeniowy Lockheed Martin, Amazon, Apple, Google, Facebook, Microsoft, T-Mobile i rodzina Adelsonów, właścicieli kasyn w Makao i Las Vegas.

eprasa.pl bb931bc7ab





Obok: **gruz pozostały po wschodnim skrzydle.**

Największe obawy budzi nawet nie finansowanie, tylko skala projektu. Biały Dom to relatywnie niewielki – jak na rezydencję przywódcy mocarstwa – budynek, który zajmuje powierzchnię 1,5 tys. m kw. Oglądany z lotu ptaka mieści się w prostokącie 50 na 30 m. Na początku XX w. prezydent Theodore Roosevelt dobudował do niego zachodnie skrzydło (ze słynnym Gabinetem Owalnym), a 40 lat później prezydent Franklin Delano Roosevelt – wschodnie skrzydło (pod którym jest bunkier). Oba skrzydła były mniejsze i dużo niższe od głównego, ikonicznego budynku z końca XVIII w. Były z nim połączone długimi łącznikami i dodatkowo dyskretnie schowane za drzewami. Dlatego na pocztówkach i zdjęciach zwykle ich nie widać.

A sala balowa, która powstanie na miejscu wschodniego skrzydła, zajmie powierzchnię kilka razy większą niż historyczny budynek i dorówna mu wysokością (przynajmniej tak wygląda na makietach pokazanych mediom). Dlatego Carol Quillen, szefowa National Trust for Historic Preservation (Narodowego Związku Ochrony Dziedzictwa Historycznego), napisała w liście otwartym: „Jesteśmy głęboko zaniepokojeni, że gabaryty i wysokość planowanej budowli przytłoczą Biały Dom i zakłócą wyważoną klasyczną kompozycję architektoniczną historycznego budynku z jego dwiema mniejszymi i niższymi dobudówkami (skrzydłami)".

Problem jest nie tylko czysto architektoniczny i estetyczny, ale również symboliczny.

Architekt Pierre Charles L'Enfant, który projektował stolicę Stanów Zjednoczonych na zlecenie pierwszego prezydenta George'a Waszyngtona, pierwotnie planował dużo większy Biały Dom – dorównujący rozmiarem siedzibie Kongresu.

Jednak Waszyngton się nie zgodził, bo chciał się zdecydowanie odciąć od idei monarchii. Przywódca nowej republiki miał żyć dużo skromniej niż król. Dlatego Biały Dom jest kilkadziesiąt razy mniejszy niż pałac Buckingham, Wersal czy Hofburg, czyli rezydencje europejskich monarchów z XVIII w. I dlatego wybudowano go, podobnie jak Kapitol, w stylu neoklasycystycznym, nawiązującym do ateńskiej demokracji i rzymskiej republiki – imponującym, jednak prostym, praktycznym, bez ekscesów i bez przejawów próżności. W szczególności: bez sal balowych i w ogóle bez zbędnego przepychu, bo prezydent i kongresmeni nie mieli być klasą panującą, która epatuje bogactwem i się bawi na balach, tylko mieli służyć obywatelom.

Garderoba zapaśnika

Trump, który całe życie epatuje bogactwem i władzą, jaką dają pieniądze, kiepsko przystaje do republikańskich idei ojców założycieli. W pierwszej kadencji czuł się w Białym Domu trochę niepewnie, ale po powrocie nie ma żadnych kompleksów ani hamulców. Nie tylko w polityce, ale również w wystroju wnętrz. Gigantyczna sala balowa to element serii upiększeń Białego Domu, która trwa od pierwszych dni jego drugiej prezydentury.

Z każdym tygodniem w Gabinecie Owalnym pojawiało się coraz więcej złotych akcentów. Żywe pnącze nad kominkiem wyrzucono, zamiast niego ustawiono rząd złotych dzbanków i wazoników. Nad nimi pojawił się złoty cherubinek ze złotą kiścią winogron. Na ścianach i suficie tu i ówdzie zawieszono złote listki albo jakieś złote zawijasy. Nawet klamki są już ze złota!

Trump jest z tych zmian bardzo dumny i podkreśla, że wszystkie ozdoby wybiera osobiście. „Ludzie od dawna próbują stworzyć farbę, która wygląda jak złoto, ale jak do tej pory im się nie udało. Dlatego to wszystko tutaj to prawdziwe złoto" – zapewniał Laurę Ingraham z telewizji Fox News, którą zaprosił na obchód po Białym Domu. Ale czy to prawda? Tego nie wiadomo. Dociekliwi internauci znaleźli dokładnie takie same „złote" listki ▶

© MCCRERY ARCHITECTS/WHITEHOUSE.GOV, ERIC LEE/GETTY IMAGES

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ i „złote” ścienne zawieszki na chińskim portalu alibaba.com w cenie po kilka dolarów za sztukę.

Kilka lat temu pisarka Fran Lebowitz mówiła, że Trump jest „ucieleśnieniem tego, jak biedni ludzie wyobrażają sobie bogacza”. Teraz Gabinet Owalny staje się kwintesencją tego, jak biedni ludzie wyobrażają sobie gabinet bogacza.

Jednych to śmieszy. Innych niepokoi, bo podobne zamiłowanie do złota, marmuru i kryształowych żyrandoli wykazywali najróżniejsi operetkowi dyktatorzy, tacy jak Saddam Husajn, Muammar Kaddafi czy Wiktor Janukowycz. Albo ich filmowe karykatury, jak generał Aladeen w komedii Sashy Barona Cohena („Dyktator”).

A niektórzy są zniesmaczeni. Piosenkarz Jack White, który śpiewał w zespole White Stripes i dostał 12 nagród Grammy, tak pisał na Instagramie: „Zobaczcie, jak obrzydliwie Trump przeobraził historyczny Biały Dom. Teraz wygląda jak wulgarna, pozłacana i tandetna garderoba zawodowego zapaśnika”. Odpowiedź Białego Domu była miażdżąca: „Jack White to wypalony i przebrzmiały przegryw, który wypisuje bzdury w mediach społecznościowych, bo jego kariera jest praktycznie skończona i ma zbyt dużo wolnego czasu”.

Powrót do przeszłości

W swoim największym hobby – budowaniu sal balowych – Trump jest uroczo przestarzały, bo moda na nie minęła w Ameryce około stu lat temu. Pojawiła się pod koniec XIX w., kiedy wielkich fortun dorobili się przemysłowi i bankowi magnaci, tacy jak Andrew Carnegie, JP Morgan, John Rockefeller czy Andrew Mellon, i chcieli dorównać europejskim arystokratom. Tamten czas znany jest w Ameryce jako Gilded Age, czyli wiek pozłacany, nawet nie ze względu na zamiłowanie miliarderów do złota, tylko dlatego, że pod „złotem”, czyli bogactwem, kryło się bezwzględne wykorzystywanie robotników i korupcja.

Jednakże kulturowych korzeni i inspiracji Trumpa nie należy się doszukiwać w amerykańskim wieku pozłacanym ani w baroku Ludwika XIV, tylko w latach 80., kiedy dominowała estetyka przesady, taniego blichtru i wizualnego hałasu. Można je oglądać na teledyskach Madonny i Cher (tapirowane fryzury, wielkie kolczyki, połyskujące materiały z lycry, neonowy róż), ale również na zdjęciach osławionego apartamentu Trumpa w jego nowojorskim wieżowcu przy Piątej Alei, w którym znajduje się rekordowe w skali świata nagromadzenie marmuru, złoceń, korynckich kolumn, tandetnych posążków Apolla, Erosa i Afrodyty oraz tanich reprodukcji obrazów Renoira. Wtedy, w latach 80., walczył o zainteresowanie nowojorskich tabloidów. Wydzwaniał do dziennikarzy jako swój sekretarz „John Barron” – tę postać wymyślił – i opowiadał, że jego szef ma tak wielkie powodzenie u kobiet, że sama Madonna chciała się z nim umówić na randkę. Mentalnie pozostaje w tamtej epoce do dzisiaj i nadal stosuje podobne metody – w życiu i w architekturze – żeby przyciągnąć uwagę.

A teraz buduje swój pomnik. Złocenia z Gabinetu Owalnego można będzie łatwo usunąć, dekrety prezydenckie anulować, zepsute prawo wyprostować, ale gigantycznej sali balowej w Białym Domu – kiedy już powstanie – pozbyć się znacznie trudniej. Prawdopodobnie zostanie z Amerykanami na zawsze – jako przypomnienie, jakiego sobie kiedyś wybrali prezydenta.

MARIUSZ ZAWADZKI



Jak diament

Ludzie z wytwórni, chcąc mnie zdyskredytować, zrobili ze mnie wtedy wariatkę. Cały czas zderzałam się ze ścianą – opowiada **Kayah** o trudnych chwilach poprzedzających wydanie obchodzącej 30 lat przełomowej płyty „Kamień”.

JACEK GÓRECKI: **– Stanisław Soyka powiedział przed laty, że jest pani przykładem konsekwencji i siły człowieka, który wie, dokąd idzie. Skąd w pani ta siła?**

KAYAH: – Z miłości do muzyki. Pamiętam, jak kiedyś jako nastolatka wbiegłam do kuchni i zapytałam mamę, czym dla niej jest muzyka, bo dla mnie dosłownie wszystkim, a ona powiedziała, że muzyka to po prostu dźwięki. Jako zodiakalna Panna mocno stała na ziemi. Podczas kiedy ja po skorpiońsku umiałam się egzaltować. Myślę, że na tę siłę mama miała duży wpływ. Ufała mi i pozwalała – 14-latce – biegać do klubu Akwarium i wysłuchiwać niemal w mistycznym przeżyciu, jak grają Osjan czy Stańko. Zaufanie nas buduje. Z drugiej strony moja determinacja była też wynikiem straszliwej krytyki mojego ojca. To ojcu chciałam udowodnić, że jestem coś warta. Ta siła pomagała mi chociażby wtedy, kiedy zapytałam legendarnego Michała Urbaniaka o to, czy nie zagra na mojej debiutanckiej płycie. To był mój pierwszy duży akt odwagi. Możliwe, że gdyby nie to, nie odważyłabym się podejść do Cesárii Évory, z którą nagrałam piosenkę „Embarcaçao”. Oni wszyscy nauczyli mnie, że naprawdę wielcy ludzie, gigantyczne i nadludzkie talenty, mają w sobie otwartość.

A jakie wspomnienie ze Staszkiem Soyką najbardziej utkwiło pani w pamięci?

Jedna z pierwszych naszych imprez, kiedy w mieszkaniu na Saskiej Kępie, chyba wynajmowanym przez Staszka, razem z Milo Kurtisem dopadł nas głód i nie było nic do jedzenia poza cebulą, białym serem i olejem. W środku nocy smażyliśmy na oleju ten biały ser z cebulą, który smakował jak sardynki. Wspaniały, beztroski czas... I to ostatnie wspomnienie, kiedy na próbie podczas tegorocznego festiwalu w Sopocie zapytałam go: „Staszku, co z tą tolerancją?”, a on z ogromną melancholią odpowiedział: „Kasiu... nie ma”. Nie minęło parę godzin i dowiedzieliśmy się, że Staszek

eprasa.pl bb931bc7ab



Kayah (Katarzyna Rooijens, ur. 1967 r.) – wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, producentka i założycielka wytwórni płytowej Kayax. Debiutowała w 1988 r. singlem „Córeczko" i albumem „Kayah", ale później wróciła do pracy z różnymi wykonawcami (m.in. Tilt, Obywatel G.C., De Mono) jako chórzystka. „Kamień" z 1995 r. był dla niej nowym otwarciem i restartem kariery, która zaprowadziła ją na szczyt popularności, przynosząc platynowe i diamentowe płyty. Laureatka Paszportu POLITYKI za 1997 r.

zmarł. To bardzo bolesny moment, na który ciężko mi się zgodzić, więc chyba Staszek miał rację.

Pani początki wydają się anegdotą pełną wspaniałych autorytetów, ale czym z perspektywy czasu było dla pani to doświadczenie?

Dzisiaj z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że miałam ogromne szczęście nie tylko poznać i współpracować, ale też tworzyć bliskie, nierzadko przyjacielskie relacje z największymi muzycznymi autorytetami. Staszek Soyka, Tomasz Lipiński, Czesław Niemen, Grzegorz Ciechowski, Milo Kurtis, Atrakcyjny Kazimierz i Cyganie, u których występowałam w chórkach, czy De Mono. Trasa koncertowa z chłopakami była szaleństwem, zarówno towarzysko, jak i organizacyjnie. Zdarzało się także, że w ramach oszczędności spaliśmy w jednym pokoju z jednym łóżkiem, które chłopacy mi odstępowali, śpiąc na podłodze.

Ważny był też Michał Urbaniak. Traktowałam go jak ojca. Przyjechał z Ameryki i pomieszkiwał w mojej małej kawalerce, oddałam mu swoje łóżko, a sama spałam na podłodze w kuchni. Był legendą, a jednocześnie miał serce na dłoni, po które zaczęli sięgać nieprzyjaźni ludzie. Pamiętam, jak jeździłam za nim po Warszawie i pilnowałam jego portfela wypchanego dolarami, zbyt często otaczały go sępy. Wspomniani przeze mnie artyści często traktowali mnie jak córkę, młodszą siostrę, ale też z pełnym uznaniem i szacunkiem traktowali mój talent, i jestem im za to wdzięczna.

„Kamień" to jedna z najintymniejszych spowiedzi w historii polskiej muzyki. Spowiedzi niezwykle dojrzałego, ale i bardzo młodego człowieka.

Chciałam zrobić płytę o złamanym sercu – przez ojca i chłopaka, którego bardzo kochałam. „Kamień" powstał w czasach, w których polski rynek muzyczny zdominowany był przez rock. To, że zdecydowałam się pokazać światu swoje dźwięki i wrażliwość, było aktem odwagi, na który nie wiem, czy dzisiaj byłoby mnie stać. Z wiekiem nabrałam dużej niepewności, wtedy byłam młoda i bezczelna. Ale też nie byłoby mnie tutaj dzisiaj, gdyby nie Małgorzata Potocka. Powiedziała Grześkowi Ciechowskiemu o piosence „Jak liść", którą wcześniej dla niej zagrałam. Ciechowski ściągnął mnie w nocy, płacąc mi za taksówkę, i kazał mi w środku nocy grać. Zagrałam dla niego, a on powiedział mi, że jestem gotowa na to, żeby zrobić swoją autorską płytę.

Minął jakiś czas i w moich drzwiach pojawili się Filip Sojka i Krzysztof Pszona, oznajmiając, że nie wyjdą, dopóki nie nagramy demo, z którym będę mogła pójść do wytwórni. Spali w kuchni na dmuchanych materacach, z których w nocy uchodziło powietrze. Jedliśmy parówki i piliśmy tanie wino, bo wszyscy byliśmy bardzo biedni. Ale łączyła nas muzyka i chęć zrobienia płyty.

...której początkowo nikt nie chciał wydać.

Kiedy przygotowywałam „Kamień", wielu ludzi ze środowiska spisało mnie na straty. Mówiono, że jestem trudna, że nie warto ze mną współpracować. To było pokłosie mojego pierwszego kontraktu, który udało mi się zerwać dzięki pomocy prawników. Umowa była na wzór zachodnich: byłam nikim, rzeczą w ich rękach. Do tego stopnia, że to mój ówczesny menedżer, wiedząc, że od dziecka mówiono na mnie Kaja, wykorzystał to, dołożył pisownię przez „h" na końcu i naznaczył mnie pseudonimem, o czym dowiedziałam się z radia.

Przez wiele lat nie mogła pani nic zrobić?

Jak się chce zdyskredytować artystę w naszym środowisku, najłatwiej zrobić z niego kogoś niepoczytalnego, konfliktowego... Tamci ludzie z wytwórni zrobili ze mnie wariatkę, trudno udowodnić, że jest inaczej, szczególnie na początku swojej drogi artystycznej. Nie były w stanie mi pomóc nawet moje przyjaciółki – Renata Przemyk i Edyta Bartosiewicz – będące wielkimi gwiazdami swoich wytwórni. Obie namawiały swoich szefów, żeby choć przesłuchali materiał demo. Cały czas zderzałam się ze ścianą. Żeby mieć za co żyć, wyjechałam za granicę, gdzie pracowałam jako modelka. Na szczęście szybko wróciłam. Pamiętnym dniem było, kiedy stałam na poczcie w Warszawie, a kilka osób przede mną stał brat Marka Kościkiewicza, któremu pożaliłam się, że nikt nie chce wydać mi płyty. Marek posłuchał mojego demo, zaufał mi i dał szansę. Powiedział wtedy: „Kasia, ta płyta nie rokuje komercyjnego sukcesu, ale artystycznie jest wspaniała". I tak oto jesienią 1995 r. nakładem firmy Zic Zac ukazał się wreszcie mój właściwy debiut – „Kamień".

Z którego pochodzą pani pierwsze przeboje: „Santana" i „Fleciki" z bardzo amerykańskim teledyskiem.

Teledysk do „Flecików" był robiony trochę własnym sumptem. Poleciałam do Ameryki do przyjaciół, do Karoliny i Łukasza Bielanów. Łukasz już wtedy pracował z wybitnymi operatorami w Hollywood. Żeby wypożyczyć sprzęt ze studia filmowego, musiał nakłamać, że potrzebuje go do etiudy filmowej. Samochód pożyczył nam Keith Sutherland, który zaznaczył, że mamy być bardzo ostrożni. Tylko że w pierwszym dniu zdjęciowym, ▶

© PIOTR PORĘBSKI

eprasa.pl bb931bc7ab

▶ kiedy operator położył się na masce, by mnie sfilmować za kierownicą, zasłonił widok i zderzyłam się ze statywem, uszkadzając historyczną i zabytkową tablicę rejestracyjną. Do dziś nie bardzo rozumiem, dlaczego Marek Śledziewski, który reżyserował klip, chciał, bym biegała po Rodeo Drive, uciekając przed gangsterem z pistoletem. Ale wszyscy byliśmy wtedy dzieciakami zauroczonymi amerykańskim kinem. Fantastyczna przygoda i moja jedyna namiastka amerykańskiego snu... To wtedy poznałam wysiadającą z windy Julię Roberts czy Roberta De Niro. No i oczywiście na koncercie Run DMC poznałam rapera Ice-T, który dwa lata później wystąpił w „Supermence".

Wspomniała pani o Edycie Bartosiewicz. Połączył was wtedy również legendarny zakład.

Edyta była pewna, że dostanę za „Kamień" Fryderyka, a ja absolutnie w to nie wierzyłam. Umówiłyśmy się więc, że jeśli naprawdę go zdobędę, przygotuję wannę szampana. No i stało się – Fryderyk wylądował w moich rękach. Honor zobowiązywał, ale wciąż na niewiele rzeczy było mnie stać, więc kupiłam dziecięcą wanienkę, wypełniłam ją tanim ruskim szampanem i podczas imprezy piliśmy go przez słomki. Ważne były też nasze rozmowy przez telefon, które często kończyły się śpiewaniem. Kiedy pracowałam nad „Zebrą", zadzwoniłam podekscytowana do Edyty, żeby zaśpiewać jej „Supermenkę", na co ona, że to nie jest piosenka na nasz rynek, że to by mógł zaśpiewać Stevie Wonder. Tym razem to ona nie miała racji. Z rozrzewnieniem wspominam również, jak ona grała mi przez telefon swoje pomysły na nowe piosenki czy to, jak w moim mieszkanku razem z przyjaciółmi przeżywaliśmy premierę jej teledysku.

Jak wspomina pani show-biznes na chwilę przed erą portali plotkarskich i anonimowych hejterów?

Najboleśniej to odczułam po sukcesie płyty z Goranem Bregoviciem, która dosłownie i w przenośni pozwoliła mi wejść pod strzechy. To było bardzo trudne doświadczenie, ponieważ z dnia na dzień pozbawiono mnie niemal całkowicie prywatności. Oceniano nieżyczliwie każdą moją decyzję, śledzono każdy mój ruch. Paparazzi wisieli przed furtką jak winogrona. Nie rozumiałam też tego niezdrowego zainteresowania mną, bo na co dzień byłam zwykłym człowiekiem chcącym normalnie żyć. Nie mogłam zjeść na mieście ani zrobić zwyczajnie zakupów do domu. Wszędzie śledziły mnie albo profesjonalne obiektywy, albo kamerki w telefonach. Czytałam kłamliwe sensacje na temat mojego życia, które zaczynały mieć wpływ na moje relacje, w tym z własnym synem.

Historia powstania płyty z Bregoviciem to osobny materiał na rozmowę. Do dziś komercyjnie jej sukces był wręcz niewyobrażalny.

Wszystko zaczęło się od ceremonii nieistniejących już nagród Machinery. Na gali posadzono mnie obok jakiegoś mężczyzny... Byłam wielką fanką muzyki Gorana Bregovicia, ale nie miałam pojęcia, jak wygląda, to były zupełnie inne czasy. O tym, że to on, dowiedziałam się, kiedy wywołano go na scenę. Ale nie miałam w sobie tyle śmiałości, żeby do niego podejść. I kiedy wracałam z tej imprezy do domu, otrzymałam telefon: „Kasia, jeśli chcesz poznać Gorana, to zawracaj..." – i tak też zrobiłam. Na miejscu czekała do niego kolejka, kiedy na mnie przyszła pora, nie potrafiłam zapytać o nic sensownego. Spytałam więc, czy „Ausencia" była śpiewana przez Cesárię Évorę, co mogłam przecież sobie sama przeczytać na płycie. Byłam przekonana, że ta „znajomość" na tym się zakończy. Dwa tygodnie później dostałam telefon z propozycją wspólnej płyty, której nagranie zbiegło się z narodzinami mojego syna Rocha. A potem całe to szaleństwo i więź, która trwa do dziś.

Teraz psują odbiór tej płyty rosyjskie kontakty Gorana Bregovicia, który grał m.in. na okupowanym Krymie?

Po pierwsze, jesteśmy osobnymi organizmami i nie mogę odpowiadać za czyjeś poglądy. My o tym nie rozmawiamy. Co najwyżej on pyta, jak mój syn, a ja – co mu uprasować. Po drugie, każdy ma prawo do własnego określenia swojego kręgosłupa moralnego. Jemu jest wszystko jedno, gdzie gra, bo muzykę traktuje jak biznes. Ale to nie znaczy, że opowiada się za zbrodniami i zbrodniarzami. Ostatnie nasze koncerty, gdzie na scenie byli i Bułgarzy, i Cyganie, i górale, zapowiadałam, że wszyscy, jak tu stoimy, jesteśmy przeciwko wojnie.

A jak się pani czuła, kiedy Jacek Kurski nie zgodził się na pani występ w Opolu, wpisując ją na tzw. czarną listę TVP?

Znacznie lepiej się czułam niż wtedy, kiedy po ośmiu latach i zmianie władzy wróciłam do Opola, prowadząc z Piaskiem festiwal. Lawina krytyki i nienawiści, jaka na mnie spadła, była niewyobrażalna (chodzi tu o hejterskie komentarze w sieci – przyp. red.). W najdelikatniejszych słowach ludzie pisali pod moimi zdjęciami, że jestem potworem.

Nie oszczędzają pani ostatnie miesiące. Pożegnała pani ojca, mamę, ukochanego psa, wytwórnię Kayax, sprzedając swoje udziały... Czy da się uodpornić na różne „końce", które nas spotykają?

Jeśli chodzi o nasz rozwój duchowy, o który zawsze bardzo dbałam, to traktuję koniec jako początek nowego. Ale też wiem, że śmierci nie ma. Człowiek nieświadomy nie potrafi przyjąć, że nie ma końca, mnie życie na to zaimpregnowało. Poza tym nie wszystko musi mieć swoją racjonalną odpowiedź. Tuż przed śmiercią, na chwilę po reanimacji, kiedy mojej mamie wróciła jaźń, opowiedziała mi, jak wychodzi z ciała, że uciekają jej mięśnie, skóra, włosy... Moja mama, która zawsze była racjonalna, nagle opowiada o takich rzeczach. Wiem, że ona wciąż tu jest, dlatego jakikolwiek koniec nie powinien nas paraliżować i wykluczać z życia. Tak jak śpiewałam ze Zbyszkiem Wodeckim, należy „chwytać dzień".

Radością z pewnością będzie jubileusz „Kamienia".

Płyta „Kamień" zrzeszyła wielu ludzi, którzy wciąż trwają przy mnie i chcą mnie słuchać, mimo że dokonywałam na przestrzeni tych 30 lat bardzo różnych artystycznych decyzji. Przygotowałam dla nich reedycję płyty, zremasterowaną, z trochę inną szatą graficzną. Wzbogaconą o nową piosenkę, bonus utrzymany w konwencji. Bardzo lubię tę odsłonę. 6 listopada, dzień po moich urodzinach, zagramy „Kamień" w Stodole. Przygotowujemy też inne, dość ekskluzywne wydarzenia, ale o tym szczegółowo będzie na moich social mediach. Trasa „Kamienia" to szczyt marzeń, ale marzenia są od tego, żeby je spełniać.

Była pani kamieniem, potem skałą, kiedyś chciała się pani ukryć za symbolem – jak Prince. Jakim symbolem dla siebie jest pani dzisiaj?

Na płycie „Skała" znajduje się piosenka „Diamenty". Napisałam: „W człowieku jest Boga ślad, nieskończoności jest znak. Światło na dnie, którego nie pokona mijający czas. Szlachetny kamień jak diament w sobie ciągle masz!". Mimo potężnych strat, których doświadczyłam, ostatnio czuję się silna jak nigdy wcześniej. I kiedy rozmawiamy o tych wszystkich ludziach, którzy byli i są przy mnie, to wiem, że nie mogę powiedzieć, że jestem sama, i to jest mój diament.

ROZMAWIAŁ JACEK GÓRECKI

eprasa.pl bb931bc7ab



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Poseł Konfederacji Konrad Berkowicz został zatrzymany w sklepie IKEA, jak próbował wynieść bez płacenia 18 talerzy i patelnię. Skandal. Do „Piątki Konfederacji" dołączyłbym kasjerki i ochroniarzy.

●

Jest autobiografia Dariusza Szpakowskiego: „Wita państwa Dariusz Szpakowski". Darek przeżył 12 mundiali, 11 mistrzostw Europy, 18 igrzysk i 29 prezesów TVP. I w tym ostatnim przypadku liczba fauli była największa.

●

Marcin Najman wyznał, że to on stworzył Krzysztofa Stanowskiego, a także jest twórcą nazwy Kanał Zero, gdyż nazywał Krzysztofa dziennikarskim zerem. Szczegóły w pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju.

●

TVN Warner Bros. sprzedał do Słowacji, Węgier i Czech program Dawida Andresa „Ciężarówką przez Wietnam, Indonezję i Stany". Szkoda, że nie ma nic o nas. Polskie drogi pękałyby z dumy.

●

50-letni Bartosz Żukowski, znany jako Walduś Kiepski, będzie walczył na gali Fame MMA Armageddon 28. To będzie sukces. Od lat krytycy piszą, że „Świata według Kiepskich" nic nie pokona.

●

Republika i wPolsce24 w naziemnej telewizji cyfrowej będą dostępne w wysokiej rozdzielczości. Będziemy oglądać Rachonia i Karnowskiego w HD. Mam nadzieję, że ich mocodawców wkrótce w ZK.

●

Małgorzata Rozenek-Majdan zapytana w TVN, czy jej aktualny wygląd to jest jej ostatnie słowo, powiedziała: „Na pewno nie". Czy to prawda, poznamy, jak nie poznamy.

●

Mateusz Damięcki szczerze oznajmił, że w przypadku wybrania go do roli Goldena w filmie „Furioza" i „Druga Furioza" „reżyser się pomylił". Przypomina mi się hasło: Błędy lekarzy leżą na cmentarzu, błędy nauczycieli siedzą w Sejmie.



●

Sylwia Bomba pojawiła się na Instagramie bez makijażu, co odbiło się w licznych publikacjach. Jak widać, sierpniowe postulaty robotników z 1980 r. odnośnie do wolnych mediów są godnie i skrupulatnie realizowane.

●

Wojciech Mann otrzymał nagrodę ministry kultury i dziedzictwa narodowego Marty Cienkowskiej za całokształt twórczości. Brawo. Mann oznacza mężczyznę, osobę i męża. I tu Wojtek też daje radę.

●

Skolim, obok muzyki disco polo, rozszerzył swój biznes o stację benzynową w miejscowości Czeremcha oraz autorskie klapki i skarpetki. Sprytnie ogarnia dwie grupy odbiorców. Tych zmotoryzowanych i tych nie.

●

Jeden z najbardziej błyskotliwych programów TVP 2, „Niepewne sytuacje" Michała Kempy i Wojciecha Fiedorczuka, notuje udziały poniżej średniej stacji. Gratulacje dla Jacka Kurskiego. Stalinizm też nie skończył się po odejściu Stalina.

●

Ponad 100 tys. widzów zyskała 11. edycja „Hotelu Paradise" w TVN7. Dla uczestników Marsylianka to deser, mezalians to forma medalionu, a salmonella to dzielnica Rzymu. Jak widać, ludzi ciągnie do wiedzy.

●

Pudelek opisał aferę zakupu działki od KOWR przez wiceprezesa Dawtony Piotra Wielgomasa. Znaleźli w sieci zdjęcie Piotra Wielgomasa, tylko nie tego, co trzeba. Wiedza stwarza problemy. Ale ignorancja ich nie rozwiąże.

Tematem tygodnia, miesiąca, roku, a może nawet dekady, był ślub i wesele Kasi Cichopek i Macieja Kurzajewskiego, na którym bawił się Jacek Kurski wraz z małżonką. Sprytny ruch. Dobrze mieć blisko kogoś, kto umie unieważniać małżeństwa.

© INSTAGRAM.COM/KATARZYNACICHOPEK

eprasa.pl bb931bc7ab



Słoń w salonie

Najpierw usłyszałam, że w pewnym polskim mieście aktywiści propalestyńscy zerwali uroczystość w rocznicę likwidacji getta. Uznali, że pamięć o Żydach wywiezionych do gazu nie może się obyć bez wzmianki o Gazie. Potem znana krakowska instytucja, która zaprosiła rumuńsko-niemiecką pisarkę Hertę Müller z odczytem o Tadeuszu Kantorze, zwróciła się do niej z sugestią, żeby może jednak nie przyjeżdżała. Nieco wcześniej w liście otwartym Müller pozwoliła sobie skomplikować obraz wojny w Gazie (nie negując zbrodni Izraela) i wziąć w obronę także Żydów (ale nie politykę Netanjahu), co nie spodobało się propalestyńskim aktywistom.

Następnie we Wrześni staromodni prawicowi antysemici doprowadzili do odwołania imprezy poświęconej Louisowi Lewandowskiemu, urodzonemu w tym mieście wybitnemu kompozytorowi żydowskiemu. Kompozycje Lewandowskiego miały zostać wykonane we wrzesińskiej farze przez chór berlińskiej Synagogi Pestalozzistrasse, kantora Isidoro Abramowicza i miejscowe chóry dziecięce, pod patronatem prymasa Wojciecha Polaka. Organizatorom zarzucono, że impreza profanuje kościół katolicki żydowską muzyką i kala pamięć Dzieci Wrześni (Lewandowski tworzył w języku niemieckim i większość życia spędził w Berlinie). Do nagonki dołączyły znane z antyżydowskich akcji indywidua polityczne, klaskał im pewien prawicowy dziennik.

> Żywi Żydzi w Polsce znowu się boją. To ich strach jest naszą hańbą, a nie zbyt mało deklaracji za Gazą na Facebooku.

Z kolei w Białymstoku dla dobra Gazy lokalne struktury najbardziej lewicowej z lewicowych partii wystosowały do władz apel o zerwanie współpracy partnerskiej z miastem Jechud w Izraelu, nie bacząc na realne więzi (w Jechud znajduje się założona po wojnie osada białostockich Żydów, którzy do dzisiaj pielęgnują pamięć o miejscu pochodzenia). A ostatnio znajoma, skądinąd osoba publiczna, znalazła na dworcu w podwarszawskiej Falenicy podarte i podeptane zdjęcia swojego dziadka i ojca. Były częścią wystawy upamiętniającej żydowskie życie na tzw. linii otwockiej. Przed wojną w samej Falenicy Żydzi stanowili dwie trzecie mieszkańców. Motywacje sprawcy nie są znane, jednak stało się to w czasie, kiedy stara nienawiść do Żydów uzyskuje nową legitymację.

Antyżydowskich incydentów w Polsce przybywa i zdaje się, że nie ma już takiej podłości, której nie można dopuścić się wobec Żydów rzekomo w obronie Gazy. Jednocześnie nie da się o tym rozmawiać, bo demagogia i szantaż moralny blokują wszelkie próby wskazania, że w salonie stoi słoń. Spokojnie, sama się obsłużę: „O ludobójstwie chcesz dyskutować?! Palestyńskie dzieci umierają z głodu, a ty się pochylasz nad jakimiś Żydami, bo się im zrobiło przykro?! Lepiej napisz, ilu Palestyńczyków zabił Izrael po ogłoszeniu rozejmu!”.

Izrael nadużywa prawa do obrony, prowadząc eksterminację ludności Gazy i zasiedlając tereny Autonomii Palestyńskiej. Ale piszę tu o czym innym i zamierzam trzymać się tematu. Mam przed oczami konkretne osoby, które nazwą syjonistą każdego, kto nie gloryfikuje Hamasu; z entuzjazmem podchwycą hasło o zepchnięciu Żydów do morza; Hercie Müller wypomną ojca z SS, a film „Shoah” Claude’a Lanzmanna nazwą cynicznym usprawiedliwieniem zbrodni faszystowskiego Izraela, podpierając się przy tym ulubioną lekturą negacjonistów. Uzależniły się od poczucia moralnej słuszności jak od wyrzutów dopaminy. Poszukają coraz to nowych ofiar, żeby ich kosztem uwypuklić swą szlachetność. Dzieci z Gazy się tym nie najedzą, ale polskie resentymenty – owszem.

Dla porządku trzeba dodać, że Gaza ma również obrońców, którzy nie osuwają się w antysemityzm, ale to bez znaczenia. Upiór nienawiści do Żydów już wylazł z krypty i hula po Polsce. Za późno na niuanse. Polityk z brunatnym nazwiskiem i aktywiści propalestyńscy w wielu przypadkach podają sobie ręce niezależnie od intencji. Żywi Żydzi w Polsce znowu się boją. To ich strach jest naszą hańbą, a nie zbyt mało deklaracji za Gazą na Facebooku.

Być może zagłada europejskich Żydów nie była w skali świata zbrodnią wyjątkową. Tylko że dla nas to bez różnicy. W Polsce Holokaust znaczy więcej, bo wydarzył się na naszej ziemi, na naszych oczach, w jakimś stopniu z naszym nie tylko biernym udziałem. Mamy z nim swoje sprawy, w większości niezałatwione. Greta Thunberg może się tym nie przejmować, ale nam wolno mniej. Tragedia Gazy nie zwalnia nas z intelektualnych i moralnych obowiązków wobec własnej przeszłości. Polacy mają Holokaust w płucach i krwi. Wchłonęliśmy go z powietrzem, w którym rozproszył się dym z krematoriów; z pokarmem zebranym z gleby, którą użyźniły martwe żydowskie ciała. Żydówka z Falenicy, od której przed wojną moja babcia nauczyła się przyrządzać karpia na Wigilię, nie zabiła żadnego palestyńskiego dziecka; udusiła się gazem w Treblince. Ona nie reprezentuje żadnego państwa i żadnej ideologii; na śmierć szła sama. Tak jak żydowska dziewczyna na nagraniu z 7 października 2023 r. – prowadzona do auta ze związanymi z przodu rękami, w jasnych spodniach z rozlaną plamą krwi w kroku.

RENATA LIS

eprasa.pl bb931bc7ab

FELIETON

Sulej



Policja emocji

Odkąd skończyłam ok. 13 lat, po stan teraźniejszy, czyli lat ok. 40, nie przestaję słyszeć, że przecież kobiecie „tego nie wypada". Odnosi się to w szczególności do emocji i pragnień. Nie wypada być „zbyt" – zbyt otwarcie seksualną, zbyt otwarcie smutną, zbyt otwarcie ucieszoną, zbyt otwarcie wkurzoną, w ogóle nie wypada zbyt dużo opowiadać, być wylewną, a już na pewno nie wypada się chwalić, być z siebie zadowoloną czy zachowywać się swobodnie. Bo jak to – tak po prostu żyć, jakby patriarchatu nie było? Ostatnio się okazało, że te zasady odnoszą się zarówno do nas, zwyczajnych obywatelek tej dyktatury, jak i do gwiazd popu.

Muzycy, niezależnie od tego, czy to country, rock czy hip-hop, swobodnie śpiewają o tym, jakie to brunetki, blondynki i generalnie „wszystkie dziewczynki" im się podobają, piszą mało śmieszne żarty pełne erotycznych insynuacji, przechwalają się swoim dobytkiem, dostatkiem, dorobkiem, popijają trunki i popalają substancje, śmigają furami i generalnie są alfa. *Nihil novi*, co? Można wręcz powiedzieć, że to banalne. Ale kiedy kobieta zaczyna być swobodna, po swojemu – no, to inna sprawa.

Można nie cenić nowej płyty Taylor Swift „Life of a Showgirl", ale tak się składa, że większość krytyki pod adresem artystki nie ma żadnego związku z analizowaniem linii melodycznej piosenek, ich prozodii czy cytatów z historii muzyki lub literatury. Większość opinii na temat albumu zawiera się w następującym zdaniu: ta płyta jest nieprzyzwoicie wesoła, a artystka – nieprzyzwoicie z siebie zadowolona.

> Kobieta deklaruje, że jest spełniona w związku i jako artystka? To „burza hormonalna jej zaszkodziła".

Kobieta cieszy się z tego, że jej ciężka praca przyniosła efekty, i śmie deklarować wprost, że jest spełniona w związku i jako artystka? Ewidentnie „burza hormonalna jej zaszkodziła", „zgłupiała przy futboliście", „zbyt wprost opowiada". Ten ostatni zarzut jest szczególnie absurdalny, biorąc pod uwagę, że dociekania, co Taylor ma na myśli, snuje się w internecie nieprzerwanie od lat. Płyta jest więc „zbyt prostacka" oraz „krótka", a poprzednia, której zarzucano, że jest zbyt „rozwlekła, melancholijna i ezoteryczna", teraz okazuje się „głęboka i poetycka".

Co takiego wydarzyło się między poprzednią a najnowszą płytą? Taylor odzyskała prawa do dyskografii (wcześniej straciła je na rzecz wytwórni), zakończyła niewiarygodnie długą trasę, przetrwała dwa trudne rozstania, zrealizowała dwa dokumenty, a jeszcze zdążyła się zakochać – z wzajemnością. Pierwszy raz w karierze nie napisała płyty o tym, jak w siebie wątpi, jak tęskni za miłością, jak czuje się oszukana, jak trudno jej z niezbyt uczciwymi praktykami muzycznego biznesu. To album, w którym deklaruje jasno: „Jestem wielką artystką, która zostawi po sobie dziedzictwo", a do tego ma prywatne życie, w którym wreszcie jest spełniona. A wiecie, jak to jest, kiedy się jest zakochanym? Wiecie. Ja też pamiętam. Taylor wreszcie czuje się chciana, pożądana – i to widać. I tego jej patriarchat wybaczyć nie może. Jest bezczelnie szczęśliwa.

To w ogóle jesień bezczelnych kobiecych emocji. Florence Welsh na albumie „Everybody Scream" gorzko śpiewa, że chciałaby umieć nagrywać „nudne kawałki" jak jej koledzy, ale nie potrafi pisać z dystansem, dlatego od lat słyszy, że jest „zbyt histeryczna", „zbyt teatralna". Na tej płycie, napisanej po osobistej tragedii – utracie dziecka, jest więc – na przekór takim opiniom jeszcze bardziej emocjonalna, jeszcze bardziej odsłonięta, autentyczna i – tak jak Taylor – wolna. Zna swoją wartość i talent.

I jeszcze jest Lily Allen, kolejna Brytyjka, i jej album „West End Girl" – studium rozpadu toksycznego związku, porównywane do „Back to black" Amy Winehouse. Jednak Lily nie zabiera głosu z pozycji porzuconej ofiary. Owszem, pisze jako zdradzana, zraniona żona, ale do nikogo się nie łasi, nie jest słaba. Przepracowuje traumę i wychodzi z niej silniejsza – to jest tutaj najważniejsze.

W samym środku popkultury pojawiły się trzy wiedźmy, które wpadającymi w ucho piosenkami, hit za hitem, wywalczają dla kobiecych emocji w kulturze coraz więcej miejsca. Wypada więc! Wypada opowiadać „suchary". Wypada się sobie podobać. Wypada mieć władzę. Wypada być z siebie dumną. Wypada być wolną. Wypada nie pozwolić się zawstydzać ani przywoływać do porządku.

Mówią to dziś popkulturze dawne *it girls*, które na początku XXI w. pozwalały się szantażować tabloidom, borykały z uzależnieniami i lękami. Przetrwały, teraz są dorosłe i silne. To nie są niszowe gwiazdy – to ikony popkultury. I chociaż nie wprost, robią teraz bardzo polityczną robotę. Bo pop jest zamieszany w politykę płci i bardzo często uprawia ją po myśli patriarchatu. Czasem jednak niektórym kobietom udaje się wymknąć i nagle w samym środku popowego mainstreamu wybucha rewolucyjny granat. „Matko! Ależ matkujesz! Matkuj tak dalej!" – piszą na social mediach zafascynowani fani i fanki. Czasownik *to mother* na poziomie dosłownym i przenośnym to dziś największy komplement. Zrobiłyśmy patriarchatowi jesień średniowiecza.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl bb931bc7ab



Mercosur nie wybacza

To, co przydarza się niektórym politykom, nadaje się dla sztucznej inteligencji, bo tradycyjnym rozumem trudno to ogarnąć. Weźmy posła Berkowicza z Konfederacji, którego oskarżono o to, że próbował wynieść ze sklepu IKEA zakupy, za które nie zapłacił, podczas gdy on wyjaśnia, że miał słuchawki na uszach i nie słyszał, że towar nie nabił się na kasę. Kasy mają ekrany, na których dobrze widać, co się na nie nabija lub nie, ale może Berkowicz nie zobaczył, bo słuchawki zsunęły mu się na oczy.

Koledzy posła tłumaczą, że jest roztrzepany. Ciekawe, ile rzeczy na skutek roztrzepania mógł wynieść Berkowicz ze sklepów, nie płacąc? I jak przy takim roztrzepaniu udało mu się zostać jednym z liderów Konfederacji, wystartować w wyborach i wejść do Sejmu. Możliwe, że zrobił to przez pomyłkę, a gdy się zorientował, było za późno.

O pomyłce nie ma mowy w przypadku posła Telusa, który skarży się, że został zamieszany w sprzedaż działki przeznaczonej pod CPK w zemście za to, że przeciwstawia się Mercosurowi. „Mój zdecydowany sprzeciw wobec Mercosuru stał się powodem ataku na moją osobę" ogłosił Telus. Atak polegał na tym, że tuż przed utratą władzy przez PiS działkę ktoś sprzedał, a osoba Telusa, będąca ministrem rolnictwa, została o tę sprzedaż oskarżona.

Telus i tak miał więcej szczęścia niż zasłużony dla PiS sędzia Iwaniec, bohater afery hejterskiej, któremu prokuratura wmawia, że w stanie nietrzeźwości uderzył autem w drzewo, gdy tymczasem Iwaniec utrzymuje, że z drzewem zderzyła się nieznana mu osoba, która nie wiadomo jak i kiedy weszła do jego auta w celu odwiezienia go do domu, ale po zderzeniu zniknęła, pozostawiając Iwańca samego na fotelu kierowcy, co wskazuje na to, że sprawa była od początku ukartowana.

Jeśli chodzi o Telusa, uważam, że nie powinien z Mercosurem zaczynać, bo wiadomo było, jak to się skończy. Mercosur ludziom takim jak Telus nie wybacza. A ponieważ ma długie ręce, trudno się dziwić, że został przez prezesa PiS zawieszony do czasu wyjaśnienia oskarżeń. Teraz w mediach trwa dyskusja, kim naprawdę jest poseł Telus. Znajomi podkreślają jego religijność i patriotyzm, wątpliwości budzą natomiast jego możliwości umysłowe. Poseł Gliński z PiS ocenił, że działkę pod CPK musiał sprzedać „jakiś głupek". Z kolei redaktor Krzysztof Stanowski twierdzi, że mamy raczej do czynienia „z absolutnym kretynem", który nie byłby w stanie nikomu żadnej ważnej działki sprzedać.

Sądzę, że Telus dałby radę. W końcu to były minister rolnictwa w rządzie Morawieckiego. Pytanie, czy tę posadę dostał ze względu na przypisywaną mu przez Glińskiego i Stanowskiego niepełną dyspozycję umysłową, czy dlatego, że sprytnie udawał głupiego.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa

eprasa.pl bb931bc7ab

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

50 lat temu

A dokładnie w numerze 45. z 1975 r., w cyklu „Muzyka łagodzi obyczaje” Jerzy Waldorff pisał o IX Konkursie Chopinowskim. Jak widać, konkurs ten zawsze budził niesamowite emocje, sportowe wręcz.



„Jeszcze się nie zdarzyło w blisko pięćdziesięcioletnich dziejach konkursów warszawskich, aby jeden laureat zgarnął wszystkie czołowe nagrody i wyróżnienia: Grand Prix i Złoty Medal oraz za najlepsze wykonanie mazurków, poloneza, sonaty – Krystian Zimerman.

Talent niespełna 19-letniego chłopca dominował i zarazem błyszczał ponad uzdolnieniami reszty międzynarodowych kandydatów. (...)

Finał zatem konkursu pełen niekwestionowanej glorii, aczkolwiek przebieg wymagałby odmiennego komentarza. Wiadomo, że opinia publiczna była z etapu na etap coraz bardziej wzburzona. Młodsi koledzy moi wrzeli. Ja mniej, gdyż wspominałem przeszłość. W hallu pierwszego piętra, w antrakcie koncertu laureatów przypominaliśmy sobie z Jarosławem Iwaszkiewiczem, jak to on w 1932 r., podczas II Konkursu Chopinowskiego, krzyczał na cale gardło „Precz z Wieniawskim!”, bo Adam Wieniawski był przewodniczącym jury, a posądzano go o diabelskie knowania. Ja zaś w 1937 r. ryczałem „Jury do kitu!”, gdyż byłem jednym z wielu, co uważali za ciężko pokrzywdzoną Japoneczkę Chieko Harę (...)

Można by rzec, iż społeczeństwo nasze zadziorne, lubi stawać okoniem także w muzyce. Na pociechę jednak dałoby się przytoczyć wypadek sprzed kilkunastu lat ze sławnego Konkursu im. Marguerite Long i Jacques Thibaud w Paryżu, kiedy pani Long na estradzie rzuciła się z pięściami na profesora Lazare Lévy, co widząc, krewkie audytorium rzuciło się bić jury, co widząc, jurorzy zaczęli zmykać przez kuchnię.

Nie zmienia to jednak i nie usprawiedliwia faktu, iż system skrutacyjny w Konkursie Chopinowskim w Warszawie prowadzi czasem do tego, że jurorzy sami stają zdumieni i niezadowoleni wobec wyników głosowania tajnego, za pomocą punktacji, której nie wolno zmienić, a która – obliczana mechanicznie – bywało, że ułamkiem punktu dawała przypadkowo pierwszeństwo jednemu młodemu kandydatowi przed drugim: nie zawsze bardziej zdolnemu!

W tym roku (...) doprowadziło to do zjawisk szczególnie drastycznych. Po drodze odrzucone zostały talenty oryginalne i warte popierania (...), zaś na ich miejsce przeceniono kandydatów tylko poprawnych (...).

Specyficznym problemem Konkursów Chopinowskich jest ich nie tyle publiczność, ile ta jej część, którą nazwałbym klientelą. Owi sportowo nastawieni „melomani” jawią się w Filharmonii Narodowej tylko raz na pięć lat, a zachowują jak na torze wyścigowym. (...) Ci właśnie (...) wpłynąć musieli na gwałtowne zachowanie się części młodzieży, która zła z powodu niedopuszczenia do finałów Hendricksona – odpowiedzialność za to przeniosła na przesadnie wysoko ocenioną przez jury i do finałów dopuszczoną postać z grupy Polaków. W rezultacie Bogu ducha winny muzyk anonimowymi pogróżkami w listach i przez telefon został po prostu zaszczuty: załamał się nerwowo i do finałowej rozgrywki nie przystąpił.

Tak zachowała się wszakże tylko nieliczna część młodzieży, judzona przez starych wyjadaczy hazardu. Resztę podziwiałem raczej za żarliwy stosunek do muzyki i trafność reakcji. Że były burzliwe?... Jednym z podstawowych uprawnień młodych jest przywilej szumienia, a z różnych możliwych rodzajów szumienie muzyczne cenię szczególnie wysoko. Dlatego i temu przyglądałem się z sympatią, gdy młodzież – niewpuszczona do gmachu Filharmonii na finały konkursu – zatarasowała wejście tak, że trzeba było początek koncertu opóźnić o pół godziny. (...)

Czy młodzież, która szturmowała Filharmonię Narodową, wejdzie na stałe do jej audytorium? Wątpię. Czy powyższe uwagi przyczynią się choć trochę do ulepszenia mechanizmu przyszłych Konkursów Chopinowskich? Brak mi wiary”.

© ARCHIWUM POLITYKI

eprasa.pl bb931bc7ab

Latte na kartoflanym



Prawicę szydzącą z młodej lewicy pijącej „sojowe latte” czeka potężny szok kulturowy: mleko z ziemniaka.

TREND

W mrokach dziejów ginie geneza mema o „sojowym latte”, choć ten jest wciąż żywotny. „W zniewieściałych czasach chłopców, pijących latte na sojowym mleku, odnajdź siłę, równowagę i spokój, trenując pod moim okiem” – zachęca do bokserskich treningów „męski mężczyzna” z Instagrama. Łatwiej zrozumieć, skąd w ogóle się wzięła moda na przesiadywanie w kawiarniach z kubkiem kawy z mlekiem: z serialu „Przyjaciele”. Gdy pojawiła się opcja wegańska – z mlecznym napojem na bazie soi – spotkała się z alergiczną reakcją konserwatystów. Dziś doją soję, jutro zabronią steków!

Ważne też było zbudowanie obrazu młodej lewicy jako wielkomiejskiej, uprzywilejowanej (za mleko roślinne w wielu kawiarniach trzeba było dopłacać) i odklejonej od rzeczywistości. W dodatku tamto dawne sojowe latte nie było zbyt smaczne dla kogoś przyzwyczajonego do krowiego mleka. Ze względu na obecność izoflawonów – fitoestrogenów – soja stała się także internetowym symbolem zniewieścienia.

To ideologiczne podejście do żywieniowego progresu jest przedziwne, przecież z produktów roślinnych nie korzystają tylko weganie (i nie każdy z nich jest lewicowcem!), ale np. osoby z alergią na krowie mleko (np. atopowym zapaleniem skóry) i laktozę. Na szczęście branża roślinnych alternatyw nie przejęła się sieciowymi hejterami i wprowadzała nowe rozwiązania. Do sojowego dołączyło mleko migdałowe, kokosowe i ryżowe – problemem ich wszystkich był jednak wyraźny smak bazowej rośliny.

Przełomem było mleko owsiane, opracowane jeszcze w latach 90. na uniwersytecie w Lund przez szwedzkiego naukowca Rickarda Öste, założyciela firmy produkującej mleko owsiane Oatly. Od niedawna marka jest obecna w Polsce, oferuje kilka produktów, w tym mleko smakowe i wersję barista, która się pieni, co pozwala na tworzenie tzw. latte art, czyli piankowych obrazków. W Szwecji oprócz alternatywy dla mleka krowiego Oatly oferuje m.in. śmietany i lody.



Michał R. Wiśniewski – pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej oraz współczesnych obyczajach. Autor książek „Jetlag”, „Wszyscy jesteśmy cyborgami”, „Zabójcze aplikacje” i „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci”.

Obawy konserwatystów, że roślinne mleko będzie odbierać smak życia, okazały się nieuzasadnione. Owsiane lody mają gęstą konsystencję i są pyszne. Ważna jest też ekologia. W porównaniu z mlekiem krowim i innymi napojami roślinnymi produkcja mleka owsianego wymaga mniej ziemi i wody.

Tymczasem do Polski dotarł jeszcze nowszy szwedzki wynalazek: DUG, czyli mleko z ziemniaków (dostępne także w wersji barista, z dodatkiem białka grochu). W smaku przypomina nieco mleko ryżowe, pozostawia lekki posmak, ale wcale nie czuć w nim kartofla. Do tego doskonale nadaje się do kawy (chociaż osoby przyzwyczajone do mleka owsianego mogą kręcić nosem).

To kolejne dzieło uniwersytetu w Lund, choć tym razem stoi za nim prof. Eva Tornberg. Odkryła ona, że białko ziemniaczane ma wyjątkowo korzystny profil aminokwasowy i wartość biologiczną (mierzy ona przyswajalność przez organizmy) porównywalną z białkiem jaja kurzego, uznawanym przecież za jedno z najpełniejszych źródeł białka. Do tego znacznie wyższą niż w przypadku białek soi, owsa czy migdałów. Prof. Tornberg opracowała opatentowaną metodę produkcji stabilnej cieplnie emulsji z ziemniaków i oleju rzepakowego. W sieci można znaleźć przepisy, jak zrobić mleko ziemniaczane w domu – wymaga to jednak użycia migdałów. Natomiast metoda Tornberg, wykorzystywana w założonej przez nią firmie DUG Foodtech, dzięki wykorzystaniu specjalnej maszyny pozwala wykluczyć konieczność dodawania migdałów – które mogą niektórych uczulać.

Kartoflane mleko (DUG Foodtech używa niemieckich ziemniaków) według producenta jest też bardziej ekologiczne: proces jego wytworzenia wymaga mniej ziemi niż w przypadku napoju owsianego; ma mniejszy wskaźnik emisji dwutlenku węgla niż mleko krowie i mniejsze zużycie wody niż w przypadku produkcji mleka migdałowego. Prof. Tornberg widzi w ziemniakach przyszłość żywienia. Być może więc niedługo konserwatyści będą się lękać nie tylko latte na kartoflanym, ale też steka z ziemniaczanymi proteinami. ■

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, PARTICLE6/XICOIA, NBP

eprasa.pl bb931bc7ab

TECHNO

Aktorka z komputera

Jakiś czas temu światem popkultury wstrząsnęła informacja, że hollywoodzcy agenci są zainteresowani podpisaniem kontraktu z aktorką **Tilly Norwood**. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie fakt, że ta jest... awatarem wygenerowanym przez AI. Za Norwood stoi Xicoia (część firmy producenckiej Particle6); pokazany przez nią kilkuminutowy skecz „AI Commisioner" przedstawia wizję brytyjskiej produkcji telewizyjnej sterowanej przez algorytmy sztucznej inteligencji. Chociaż wszystkie postacie w skeczu wygenerowano maszynowo, kluczową postacią jest rzeczona Tilly Norwood, aktorka nowej ery, która, jeśli trzeba, może nawet płakać w talk show Grahama Nortona.



Wiadomość o rzekomym zainteresowaniu agentów była jedynie marketingową sztuczką, ale wielu się na nią nabrało, a oburzenie było całkiem realne (z okazji skorzystał Ryan Reynolds, występując w reklamie sieci komórkowej z prawdziwą aktorką o nazwisku Tilly Norwood). Właścicielka Particle6, producentka i komiczka Eline Van der Velden, wydała oświadczenie „dla tych, którzy wyrazili złość" – przekonując, że jej produkt nie ma zastępować ludzi, tylko stanowić akt twórczy: nowe narzędzie artystyczne i eksperyment. Stwierdziła też, że sztuczna inteligencja powinna być oceniana jako odrębna forma sztuki, wzbogacająca teatr, film i inne dziedziny o nowe głosy i sposoby ekspresji.

Przyjrzyjmy się zatem Tilly Norwood. Została zaprojektowana jako „zwykła dziewczyna" (typem urody przypomina nieco Emilię Clark znaną z „Gry o Tron"); bezpieczne i uśrednione wyobrażenie piękna. Na filmikach występuje w różnych kostiumach, ale jej twarz jest niezmieniona – bo wygląd to wszystko, co ma. Znika cała frajda ze śledzenia przemian aktorów. „Aktorzy" tego rodzaju pewnie sprawdzą się w fabrykach treści, np. masowo tworzonych serialach smartfonowych. Bać się mogą naturszczycy z paradokumentów, ale gwiazdy raczej mogą spać spokojnie.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Odszopenienie

Do temperatury, ciśnienia i wilgotności powietrza warto dodać jeszcze jeden czynnik opisujący aktualną atmosferę: zaszopenienie. Co oznacza, podpowiedział swoim wystąpieniem na koncercie laureatów Konkursu Chopinowskiego marszałek Szymon Hołownia. „Nawet Sejm udało nam się w tym roku, wybaczcie Państwo to słowo, zaszopenić" – żartował. Z kontekstu można się domyślić, że parlament, podobnie jak wiele innych sfer życia, uległ pewnemu pozytywnemu paraliżowi podczas tej emocjonującej imprezy. A jeden wieczór w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej zaowocował aż dwoma neologizmami.

Prezydent Karol Nawrocki spojrzał bowiem na Chopina z perspektywy, w której liczy się spalanie i energia. I skomplementował jurorów jako „wielką kalorię intelektualną". Kaloria kojarzy się ze zjadaniem, być może więc chodziło o to, że jurorzy zjedli wszystkie rozumy (i nie starczyło dla innych). Uznajmy – dla uproszczenia – że wielkość intelektualnej kalorii idzie w parze z wysokim zaszopenieniem.

Chopin w języku funkcjonował u nas dotąd jako wyznacznik stylu, najczęściej fryzury („Pa, jaki szopen"). Do dziś



zresztą część widowni Konkursu szuka wzorca nie tylko w muzyce i sposobie przeżywania muzyki przez artystę, ale i w jego wyglądzie zewnętrznym. Polski rap z kolei w Chopinie najbardziej interesuje jego funkcja patrona warszawskiego lotniska. „Z Chopina na Schiphol, ze Schiphol na LAX/ Serce rozdarte tak jak boarding pass" – słyszymy u Quebonafide. Choć już Kaz Bałagane wykazał się jako taką inwencją, rapując: „Moje serce pływa w alko jak Chopina". Niewykluczone bowiem, że płynem konserwującym przechowywany w warszawskim kościele św. Krzyża organ jest wysokoprocentowy koniak.

Nasz narodowy kompozytor był też przez moment miernikiem wartości, jako postać widniejąca na banknocie o nominale 5000 zł. Początkowo była to wartość wysoka, ale już w latach 90. można było za trzech Chopinów kupić raptem jedną kostkę masła. Czyli niewiele wychodziło kalorii. Ostatnio zwyżkowała za to pianistyka. Po zakończeniu konkursu współczynnik zaszopenienia – jak co pięć lat o tej porze – powoli wraca jednak do normy.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Jak pi...da mi powie, że fit jak bezdomny, to wtedy już wiem, że jest dobry
Young Multi, Gdzie mój dom?, 2025 r.
fit – ubranie, stylówa (było tu już o tym ostatnio, ale ten przykład precyzyjnie opisuje modny styl)

eprasa.pl bb931bc7ab



PODRÓŻE

W Aragonii przez kilkaset lat sztuka chrześcijańska splatała się z muzułmańską. Efekty tego połączenia zachwycają do dziś.

Owoc z drzewa spotkania

Jego sylwetkę widać z daleka: góruje nad maleńką, przycupniętą na wzgórzu miejscowością Cervera de la Cañada. Dopiero z bliska można zauważyć, że kościół wcale nie jest duży, to kształt fortecy dodaje mu przysadzistości. Powstał jako jedna z wielu aragońskich świątyń-twierdz, w okresie naznaczonym przez konflikt z sąsiednią Kastylią. Ma jedną, nieco krzywą nawę – budowniczowie wykorzystali mury dawnego zamku, które w tym miejscu skręcały. Ale to zupełnie nie przeszkadza, gdy wzrok błądzi między malowidłami, wzorami geometrycznymi, stiukowymi inskrypcjami i stylizowanymi pnączami oplatającymi kapitele kolumn.

Bogate zdobienie wnętrza kontrastuje z prostą elewacją. – *To typowe dla architektury muzułmańskiej* – zauważa Eugenia Gallego, historyczka i przewodniczka aragońskiego stowarzyszenia Territorio Mudejár. O tym, że mamy do czynienia z kościołem zbudowanym przez rzemieślników muzułmańskich, świadczy także wiele innych elementów, choćby surowiec. Maurowie, jak nazywano arabskich mieszkańców Półwyspu Iberyjskiego, specjalizowali się w konstrukcjach z cegły. Co ciekawe, w Cerverze pokryta jest ona warstwą gipsu, na której namalowano... cegły. Podziwiać można też zdobienia z motywami mauretańskimi i – rzecz niezwykła w średniowieczu! – podpis budowniczego, mistrza Mahomy Ramiego, widoczny poniżej chóru.



Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

Kościół św. Tekli w Cerverze to jedno z wielu arcydzieł mudejaru w Aragonii, choć styl ten kojarzony jest najczęściej z Andaluzją. – *Al-Andalus nie ograniczało się do południa Hiszpanii* – przypomina Eugenia. Nazwą tą określano ogół terytorium zajętego w VIII w. przez muzułmanów, czyli niemal cały Półwysep Iberyjski. Tereny współczesnej Aragonii chrześcijanie podbili na początku XII w., ale wielu muzułmanów, w tym wybitni rzemieślnicy, pozostało.

– *Mudejarowie to dosłownie „ci, którym pozwolono zostać". Z połączenia ich wiedzy i umiejętności z pieniędzmi chrześcijańskich zleceniodawców narodził się styl mudejar* – tłumaczy Eugenia. Oni sami jednak nie używali tej nazwy, a w odniesieniu do architektury zaczęto stosować ją dopiero w XIX w.

Charakterystycznym elementem mudejaru są też zdobne drewniane stropy. Ten w kościele św. Tekli to prostsza odmiana *alfarje*, z belek i paneli pokrytych czerwono-czarną polichromią. Bardziej wyszukaną i późniejszą wersję – *artesonado* z kasetonami z misternie łączonych elementów – oglądamy w warownym pałacu Aljafería w Saragossie. Wznieśli go władcy muzułmańscy, potem przejęli i przebudowali chrześcijańscy. Najbardziej imponujące, kapiące od złota stropy powstały za panowania Królów Katolickich. – *O tym, że wykonali je mudejarowie, świadczy kilka kartek z Koranu znalezionych podczas renowacji* – opowiada miejscowy przewodnik Hubert Kurdelski, gdy wchodzimy do sali tronowej.

Aby zobaczyć najbardziej oszałamiający z mauretańsko-chrześcijańskich stropów w Aragonii, trzeba się udać do **Teruel**, niewielkiego miasta ok. 170 km na południe od Saragossy, które szczyci się zabytkiem nazywanym Kaplicą Sykstyńską mudejaru – tak określa się sufit w katedrze Santa María de Mediavilla. To długi na 32 m cykl malowideł szczelnie pokrywających belki, deski i panele. Obok motywów geometrycznych widać tłum postaci: królowie, rycerze, damy dworu, tancerki, rzemieślnicy, a nawet para w łóżku. Poza ludźmi dostrzec można też zwierzęta, smoki czy mitologiczne bestie – mamy tu więc całą gamę istot, których muzułmanom teoretycznie nie wolno było przedstawiać. Przewodniczka Isabel tłumaczy, że strop był dziełem zespołowym, o czym świadczą także sąsiadujące ze sobą inskrypcje arabskie i łacińskie.

Zachwycona spoglądam na kolorowe arabeski, gwiazdy, kwiaty – i na równie barwny portret XIII-wiecznego społeczeństwa. Kilkaset postaci, z których każda jest inna i wyjątkowa, zdaje się tworzyć tu spójną, harmonijną całość. W Hiszpanii często opowiada się o pokojowym współistnieniu kultur, zarówno w czasach Al-Andalus, jak i w pierwszych wiekach panowania chrześcijan. W rzeczywistości napięć i sporów nie brakowało. Ale faktem jest, że to właśnie ten świat wydał z siebie mudejar – wyjątkowo piękny owoc współpracy dwóch wielkich kultur. ■

© ARCHIWUM PRYWATNE (2), JULIA ZABRODZKA, ALICJA ROKICKA

eprasa.pl bb931bc7ab



W jesiennej wersji kulebiak staje się pełnowartościowym comfort foodem.

Tradycja z twistem

KUCHNIA

Kulebiak, czyli drożdżowe ciasto wypełnione farszem, to tradycyjne danie kuchni rosyjskiej i wschodnioeuropejskiej. Był popularny już w XVII–XVIII w., farsz stanowiły wówczas ryby (np. karp), mięso, grzyby, kasza, czasem ikra czy jajka – wszystko warstwowo ułożone w cieście. Taka efektowna forma przyciągała uwagę, dlatego kulebiak służył za danie reprezentacyjne, przygotowywano go na uczty i bankiety arystokracji. Długo pieczony i zamknięty w cieście farsz był symbolem dostatku, bogactwa i finezji.

Kulebiak szybko rozprzestrzenił się w krajach ościennych – w tym w Polsce, szczególnie na Kresach Wschodnich. W XIX w. dotarł nawet do Paryża, gdzie stał się znany dzięki słynnym rosyjskim kucharzom pracującym we Francji.

Przez te wszystkie lata przepis na farsz ewoluował. Kulebiak faszerowano rybami, dostępnymi rodzajami kasz i ryżem. W Polsce i na Kresach kulebiak stał się daniem rodzinnym, świątecznym, łączącym tradycję z lokalnymi składnikami i zwyczajami. To klasyczny przykład, jak potrawa „migruje" przez kultury, przyjmując nowe smaki i formy.

Kulebiak, choć w Polsce kojarzony jest przede wszystkim z Bożym Narodzeniem, moim zdaniem świetnie wpisuje się w jesienny klimat, bo to danie ciepłe, sycące i aromatyczne. Co więcej, jego farsz – w grudniu najczęściej kapusta i grzyby – można modyfikować sezonowo. Jesień to czas, w którym króluje dynia, nie mogło więc jej zabraknąć w moim przepisie. Tym bardziej że świetnie pasuje do kapusty, nadając całości delikatnej słodyczy. Jak zwykle z łatwo dostępnych dyń polecam użyć hokkaido – jest słodkawa, orzechowa w smaku i można ją jeść razem ze skórką. Do tego ma piękny kolor. Dynia piżmowa z kolei ma mało wody i gładki miąższ, więc również dobrze się tu sprawdzi. Jest też mniej intensywna w smaku niż hokkaido.

Do farszu z kiszonej kapusty dodaję też ugotowane ziemniaki. Alternatywnie będą pasować także namoczone suszone grzybki oraz szklanka ugotowanej soczewicy (dowolnej).

Kulebiak w takiej wersji staje się pełnowartościowym, jesiennym comfort foodem, który łączy tradycję z nowoczesną kreatywnością.



Alicja Rokicka – autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Ciasto:

- 300 ml ciepłej wody
- 20 g świeżych drożdży lub 7–8 g drożdży instant
- łyżka cukru
- łyżeczka soli
- 500 g mąki pszennej
- 4 łyżki oleju

Farsz:

- 5 łyżek oleju + 2 łyżki do posmarowania
- 1 cebula
- 2 ziemniaki
- 200 g dyni
- 500 g kapusty kiszonej
- 2 łyżeczki majeranku
- sól
- czarny pieprz
- kminek
- otręby

Wykonanie:

- W dużej misce połącz cukier, wodę, drożdże i 4 łyżki mąki. Odstaw na 15 min. Kiedy pojawią się bąbelki, stopniowo dodawaj mąkę. Mieszaj ręką lub przy pomocy robota kuchennego z hakiem. Dodaj sól oraz olej. Wyrabiaj przez 20 min. Następnie ciasto przykryj ścierką i zostaw na 2 godz., aż podwoi swoją objętość.
- Ziemniaki ugotuj w osolonej wodzie do miękkości. Kapustę kiszoną lekko odciśnij z soku i posiekaj. Cebulę pokrój w kostkę.
- Na patelni rozgrzej olej. Podsmaż cebulę przez 4 min. Dynię zetrzyj na tarce o dużych oczkach i dodaj do cebuli. Jeśli używasz dyni hokkaido, nie musisz jej obierać. Smaż oba składniki przez 3 min. Dodaj kapustę i majeranek. Dobrze wymieszaj.
- Ziemniaki pokrój w ok. centymetrową kostkę. Dodaj do farszu. Wymieszaj i spróbuj – być może będziesz potrzebować soli. Dopraw pieprzem; niech będzie intensywnie! Przenieś farsz do miski – teraz musi całkowicie ostygnąć.
- Blat podsyp mąką. Ciasto rozwałkuj na placek o grubości 1 cm. Na całej powierzchni rozprowadź farsz. Zwiń w rulon. Przenieś placek na blachę do pieczenia i posmaruj olejem. Posyp kminkiem i otrębami. Lekko ponacinaj w kilku miejscach. Zostaw jeszcze na 30 min do wyrośnięcia.
- Piecz w 200 st. przez 25–30 min aż kulebiak się zarumieni.

eprasa.pl bb931bc7ab

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Rumuni jako pierwsi odczuli strategiczny zwrot Ameryki – kontyngent w bazie Mihail Kogalniceanu, jednej z kluczowych na wschodniej rubieży NATO, uszczupli się o ok. 700 osób. Donald Trump zapewniał, że Polski ten los nie spotka, ale powodów do radości czy ulgi nie ma. **„Najbardziej niepokoi fakt, że uszczerbek zachodnich sił dotyka wschodniej flanki i tego, że nie wiadomo, jak zostanie wypełniony", pisze na polityka.pl Marek Świerczyński.** A ciąg dalszy może nastąpić.



Wycieczek nie będzie?

„Wygląda na to, że mieliśmy w Polsce kolejny strajk nauczycieli. Tym razem bez megafonów, transparentów i marszów" – pisze w naszym serwisie Iga Kazimierczyk, pedagożka, nauczycielka i działaczka edukacyjna. Najnowsza afera dotyczy wycieczek. Za aktywności poza klasą nauczycielom się nie płaci, a po korektach MEN system znów jest dziurawy. Premier Tusk obiecał poprawę, ale czara goryczy się przelała, a nastroje w szkole znów siadły.



Patrzmy na ten kraj

Javier Milei odbudował Argentynę w dwa lata i znów sięgnął po władzę – to kolejny bohater podkastu „Portret polityka" Łukasza Wójcika. Okazuje się, że nawet w kraju na skraju bankructwa społeczeństwo potrafi wybrać ból reform zamiast iluzji. Na czym polegał radykalny eksperyment Mileia i dlaczego Argentyna jest dziś laboratorium przemian dla całego Zachodu – o tym autor POLITYKI opowiada w 10 minut, które warto na nasz program wygospodarować. Może zwłaszcza ludzie władzy powinni je znaleźć.



Kasia czyta

W podkaście „Polityka o książkach" gościmy tym razem Katarzynę Kasię, filozofkę, wykładowczynię, publicystkę. Co czyta, dlaczego warto dziś zajrzeć do Marka Aureliusza, co o nas mówią ulubione książki z dzieciństwa i dlaczego to podkastowe spotkanie tak naszą rozmówczynię zestresowało (Justynę Sobolewską, która je prowadzi, też!) – o tym wszystkim w najnowszym odcinku. Do zobaczenia na YouTube.



Zimno u Wazów

Zamek na Wawelu, siedziba królów, trzeszczał od przeciągów. Polscy władcy wcale nie lubili w nim przebywać. Jak wyglądała ich codzienność? Jak się czuli poddani? Objaśnia Kamil Janicki, historyk i pisarz, znawca nie tylko średniowiecza. **W XIX w. słynny wawelski zamek stał się „religijnym sercem kraju". Jak do tego doszło i dlaczego Kościół miał tyle do powiedzenia – o tym w historycznym podkaście POLITYKI.** O smoku też mówimy.

© DANIEL MIHAILESCU/AFP/EAST NEWS, KPRM, KENT NISHIMURA/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH (2),

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl bb931bc7ab

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl bb931bc7ab

Albatros travel



4,8/5

Japonia z Albatrosem

Poznaj wszystkie oblicza Japonii – od nowoczesnego Tokio przez historyczne Kioto i Narę po wulkaniczną wyspę Kiusiu podróżując najszybszym pociągiem świata – Shinkansen.

Podczas tej klasycznej podróży odwiedzimy m.in. słynne skrzyżowanie Shibuya w Tokio, Złoty Pawilon i Zamek Shoguna w Kioto, Park Pokoju w Hiroshimie, bramę tori na wyspie świątyń Miyajima czy górę Fuji. Skosztujemy wołowiny wagyu oraz odkryjemy świat samurajów i gejsz.

13 dni | Wylot z Warszawy
25/05, 13/10 2026 | 19.998,-



4,8/5

Japonia – święto kwitnącej wiśni

Zobacz kwitnące drzewa wiśniowe na półwyspie Izu i wszystkie największe atrakcje Japonii – od tętniącego życiem Tokio po historyczne Kioto i Hiroszimę.

Na Półwyspie Izu drzewa wiśniowe kwitną już w lutym, a uczestnicy naszej wycieczki wezmą udział w słynnym festiwalu Sakura. Odwiedzimy również Tokio, Kioto, Hiroszimę i wyspę Miyajima, spróbujemy sushi oraz delikatnej wołowiny wagyu, podróżując jak Japończycy – pociągami i metrem.

11 dni | Wylot z Warszawy
10/02 2026 | 14.998,-

NOWOŚĆ



Japonia – z Sapporo do Kioto

Odkryj wyjątkową mieszankę oświetlonych neonami metropolii, zachwycającej przyrody i japońskiej kultury zen.

W trakcie tej fantastycznej podróży przez całą Japonię odwiedzimy Tokio, Hiroszimę, wyspę Miyajimę z bramą tori i spokojną Morioką z tradycyjnym onsenem. Poznamy Sapporo oraz popłyniemy w rejs do Kioto, gdzie zobaczymy Złoty Pawilon, Muzeum Miho i herbaciane pola.

14 dni | Wylot z Warszawy
13/05 2026 | 23.998,-

4,5/5



Japonia i Korea Południowa – azjatyckie tygrysy

Wspaniała podróż do Seulu, Kioto oraz Tokio, gdzie nowoczesność, tradycja, piękna przyroda i urokliwe świątynie tworzą niepowtarzalną mieszankę kulturową.

Podczas tej wyjątkowej podróży poznamy dwie azjatyckie potęgi – Koreę Południową i Japonię. Odwiedzimy Seul, cesarskie Gyeongju i strefę zdemilitaryzowaną, a następnie wyruszymy do Japonii. Zwiedzimy Kioto, Tokio, Hiroszimę i Narę, z opcjonalną wycieczką na górę Fuji.

15 dni | Wylot z Warszawy
10/05 2026 | 24.998,-



albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL42**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl bb931bc7ab